

PiS NIE WYGRAŁO WYBORÓW
WEDŁUG METODY SAINTE-LAGUÉ MIAŁOBY 200 POSŁÓW

JERZY DZIEWULSKI
AGENTURA W KOŚCIELE

BARANINA Z WIEPRZOWINY
– O PODRABIANIU ŻYWNOSCI



JAK FAŁSZOWANO WYBORY W 1930 ROKU

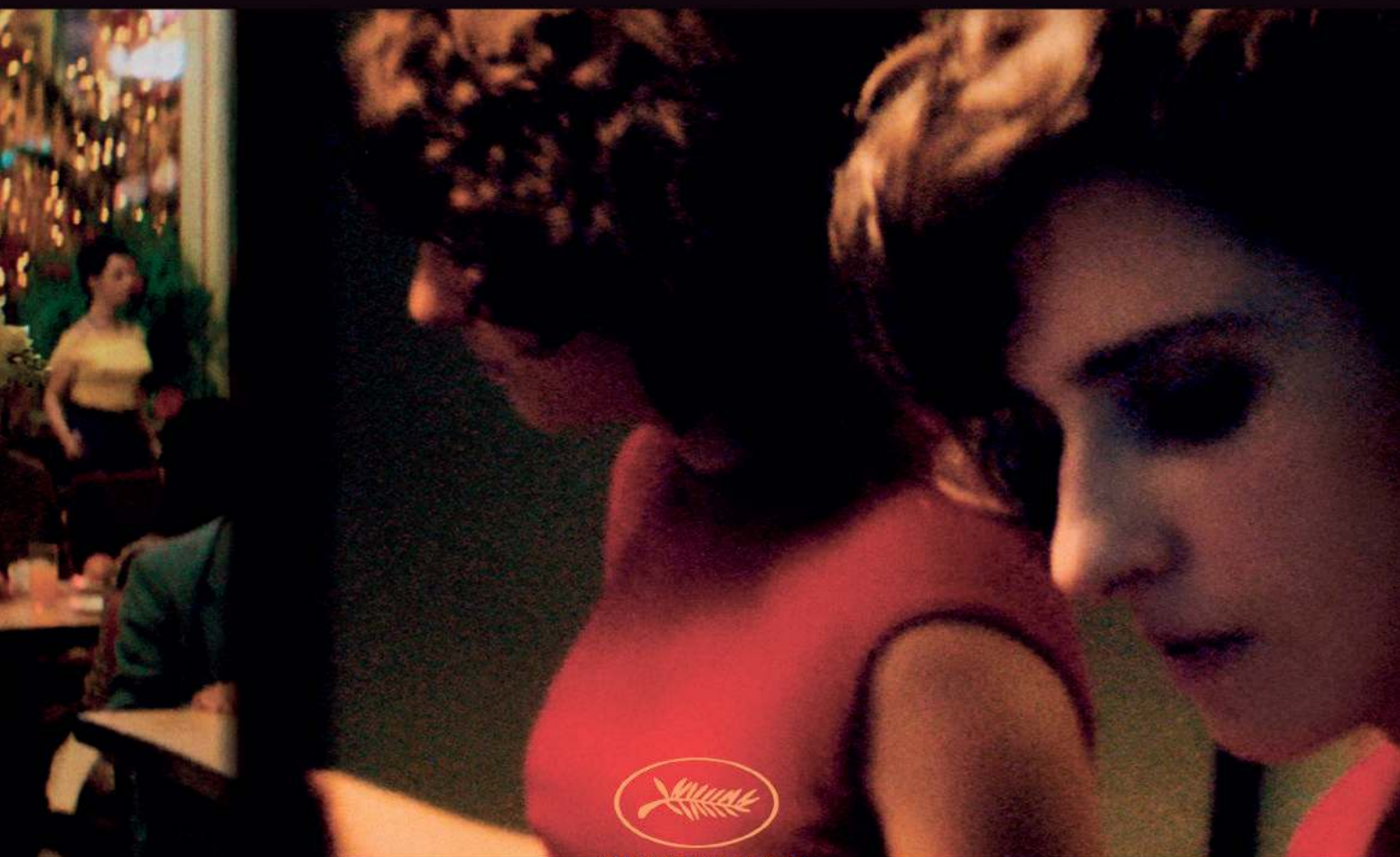
Okręgowa Komisja Wyborcza w Warszawie liczy głosy

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311904

BRAZYLIJSKI KANDYDAT DO OSCARA



UN CERTAIN REGARD
NAGRODA GŁÓWNA
CANNES



MFF W MONACHIUM
NAGRODA CINECOPRO
DLA NAJLEPSZEGO FILMU



FESTIWAL FILMOWY
TRANSATLANTYK
W ŁODZI



MFF W JEROZOLIMIE
KONKURS GŁÓWNY

TROPIKALNY MELODRAMAT W NAJLEPSZYM WYDANIU

NIEWIDOCZNE ŻYCIE SIÓSTR GUSMÃO



KSIAŻKA DOSTĘPNA
W KSIĘGARNIACH
ORAZ W INTERECIE

AURORA

W KINACH OD
8 LISTOPADA

CYTATY

PROF. MAREK CHMAJ,
konstytucjonalista
PiS trzy razy złamało konstytucję, żeby protesty mogła rozpatrywać izba składająca się z konkretnych sędziów.
„Angora”

JERZY URBAN,
redaktor naczelny
Morawiecki kłamie nałogowo, a nie jak ja w PRL, od czasu do czasu.
„Nie”

ABP SŁAWOJ LESZEK GŁÓDŹ,
metropolita gdański
Nie potrafią jajka ugotować cioty pie...lone.
TVN 24

KUBA WOJEWÓDZKI,
showman
RMF ma hasło: „Najlepsza Muzyka”, Eska – „Hity na czasie”, a Radio Maryja – „Rozdajemy numer konta”.
„Polityka”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Socjotechnik z talentem drwala

W polityce nikt nie przegrywa definitywnie. Bo jeśli jest cierpliwy i uparty, może mieć drugie, a nawet i trzecie życie. Gdyby szukać na to dowodu, Jarosław Kaczyński pasuje jak ulał. Przez 30 lat szedł od porażki do porażki. Mało było takich, którzy wierzyli w jego geniusz. Wybitnych osobowości tam nie znajdziemy. I kiedy po latach politycznych wojen Kaczyński trafił wreszcie szóstkę w politycznym totku, jego ówczesne zaplecze obsiadło strategiczne miejsca w państwie. Pozycję u boku wodza buduje się na totalnej wierności. I na coraz większej czotobitności. Pisowski tygodnik drukuje nawet instrukcję, jak trzeba się zachowywać wobec prezesa. Przytoczę ją dosłownie, bo obawiam się, że czytelnicy mi nie uwierzą. „Każdy nominat na dzień dobry zapewnia o swojej wdzięczności i uznaniu dla lidera. W PiS przywódcę naprawdę szanują, bo wiedzą, że przerasta całą resztę”. Ten ton od razu podchwyciła Elżbieta Witek, marszałek Sejmu, nauczycielka z zawodu, która do historii szkolnictwa przejdzie jako medium uczące się o zbrodni katyńskiej z gazet i książek sprzed 1939 r. Witek ratuje się, mówiąc o Kaczyńskim: strateg, konstruktor sukcesów, demiurg, patron itd.

Zobaczcie, co o prezesie pisał Szydło, Morawiecki i niżej usytuowani w partii. Podlizują mu się bez skrawka godności. Choć Kaczyński wie, że te cyniczne umizgi są bardzo interesowne, upaja się atmosferą tego poddaństwa i reżyserowanego aplauzu. Tyle lat na to czekał, że nie potrafi się im oprzeć.

Opozycja zresztą też. Prawie wszyscy uwierzyli w jakiś nadzwyczajny geniusz prezesa. Przypominają zajączka zahipnotyzowanego przez węża i czekającego na nieuchronne nieszczęście. Pisowcy budują prezesowi pomnik człowieka ze spiżu. Większość opozycji widzi z kolei w prezesie demona zła. Postać złą, ale też o nadzwyczajnych cechach. A to tylko fatamorgana. W realnym życiu Kaczyński nie jest ani nowym Piłsudskim, ani wcielonym diabeł. A kim jest? Politykiem, który żeby dostać się tam, gdzie jest, zmienił w swoim życiu wszystko. Nie ma idei, której by po drodze nie porzucił.

Sprawny socjotechnik. I tyle. W sposobie działania bardzo podobny do Tuska. Obydwaj mają talent drwala. Wycięli wszystkich potencjalnych konkurentów. Dla osobistej kariery, a nie w imię jakiejś wielkiej idei. Jeden odszedł, a drugiego to czeka. Zostawiają po sobie słabe, mało sprawne państwo. I coraz bardziej skłócone społeczeństwo.

BAKOWSKI

Dla miłośników e-książek

Sprawdź, gdzie możesz kupić e-booki PRZEGLĄDU:

- **muve**
- **inbook.pl**
- **empik**
- **Legimi**
- **nexto.PL**



W NUMERZE

KRAJ

- 8** Gdyby liczyć głosy metodą Sainte-Laguë, PiS miałoby 200 posłów
- 11** Ustawy do kosza – cd.
Nadal nie ma ustawy reprivatyzacyjnej
- 18** Klęska powołań w bastionie prawicy
Tylko 17 alumnów na pierwszym roku podlaskich seminariów
- 20** Sąsiedzki konflikt bez rozwiązania
26 lat niszczenia sprzętu, zatrucia wody, pożarów
- 34** Agentura w Kościele
– rozmowa z Jerzym Dzięwulskim
- 38** Dronowy most medyczny
Polska może być liderem w wykorzystaniu dronów w transporcie
- 42** Baranina z wieprzowiny
Podrabianie żywności dotyczy niemal jednej czwartej produktów

HISTORIA

- 12** Jak sanacja fałszowała wybory
Wyborcze nadużycia w II Rzeczypospolitej

ZAGRANICA

- 24** Laboratorium demokracji
Korespondencja z Turynii
- 28** Chile się budzi
Korespondencja z Ameryki Południowej
- 32** Szkoła na wielu językach
Językowa integracja dzieci

PSYCHOLOGIA

- 40** Toksyczne poświęcenie
Rozmowa z Magdaleną Sękowską

KULTURA

- 46** Kiedy widz wychodzi przed końcem seansu
Rozmowa z Václavem Marhoulem
- 50** Culturalia
- 66** Leonardo da Vinci: ekspozycja stulecia

OBSERWACJE

- 52** Herbata dobra na wszystko
Zalety naparu z samowara
- 54** Plemię Shanenawa
- 56** Z założenia nienaprawialne
Zamaskowane postarzanie produktów
- 58** Człowiek, który zaprzyjaźnił się z kusaczką
Przypadek splótł los drwala z tajemniczym ptakiem

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Socjotechnik z talentem drwala
- 27** Bronisław Łagowski
Dzielski – kim był?
- 37** Roman Kurkiewicz
Potworny, cudowny pięćdziesięcioletni
- 45** Tomasz Jastrun
Martwi i żywi
- 49** Wojciech Kuczok
Zespół niespokojnych bioder
- 53** Agnieszka Wolny-Hamkało
Życie towarzyskie, badania terenowe z początku XXI wieku



28

ZAGRANICA

CHILE SIĘ BUDZI

Korespondencja
z Ameryki
Południowej



DRONOWY MOST MEDYCZNY

Polska może być liderem w wykorzystaniu dronów w transporcie

52

OBSERWACJE

HERBATA DOBRA NA WSZYSTKO

Zalety naparu z samowara



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. NAC

Celibat

– polski „problem”?

Hiszpania skutecznie
walczy z terroryzmem

Klaudia Jachira

Przez satyrę do parlamentu

Polska szkoła

w Ameryce

✉ Miasto wspiera Fabrykę Pełną Życia

W numerze 43. PRZEGŁĄDU w wywiadzie z Magdaleną Okską „Zagłębie widziane od środka” pojawia się zdanie: „Po Defumie zostały tylko budynki, z których lokalne stowarzyszenia próbują zrobić nowe centrum Dąbrowy. Nie jestem przeciwniką tych działań, ale mam do nich sceptyczne podejście (...)”.

Pomysł modernizacji dawnej fabryki DEFUM pod nazwą Fabryka Pełna Życia jest projektem miejskim, w który zaangażowane są władze miasta, a nie tylko lokalne stowarzyszenia. Zakłada on przebudowę śródmieścia. Dzięki projektowi Fabryka Pełna Życia powstanie wizytówka i tętniące życiem serce Dąbrowy Górniczej. Ten proces już się rozpoczął. Polecam państwu uwadze materiał z naszej strony internetowej, zapowiadający otwarcie pierwszego nowego budynku w Fabryce Pełnej Życia, usytuowanej na terenie po Defum: <https://www.dabrowa-gornicza.pl/aktualnosci/dzien-otwarty-warsztatu-fabryki-pelnej-zycia-juz-w-sobote-2/>.

Zdzisława Górską-Nieć, zastępca naczelnika Wydziału Marki Miasta

✉ Zbrojenia zamiast leczenia

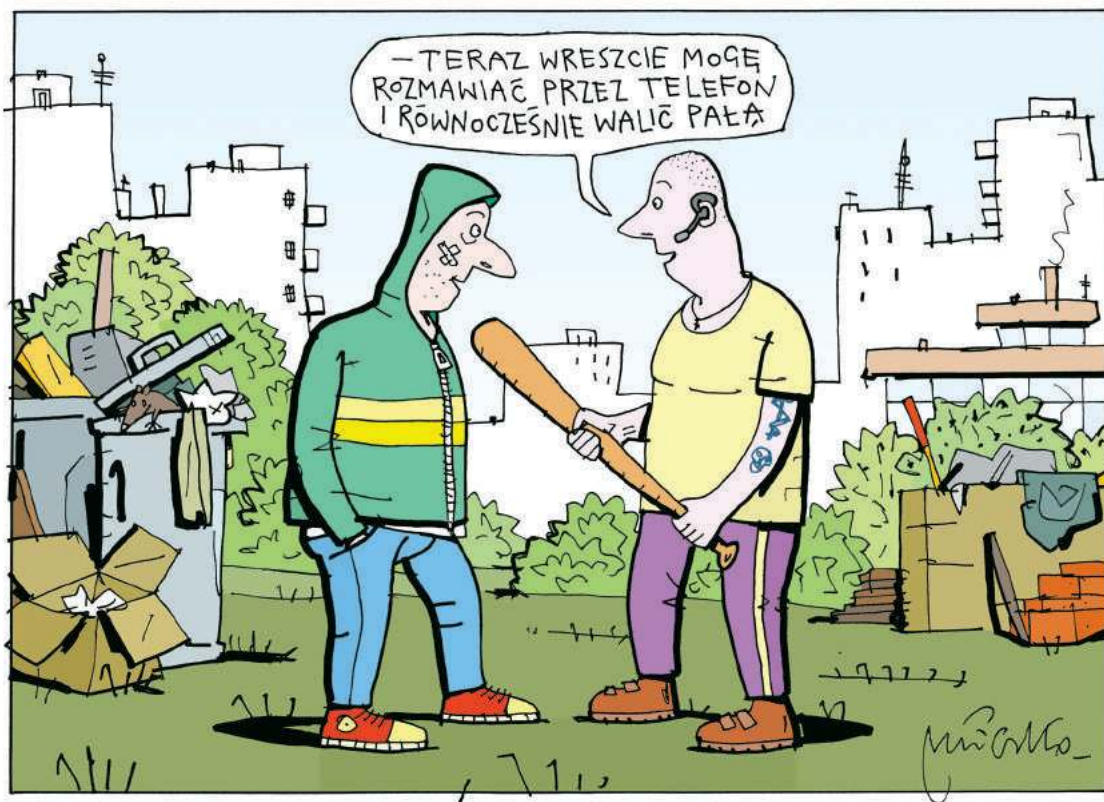
Pozwolę sobie uzupełnić felieton prof. Bronisława Łagowskiego „Naród ciągle wojowniczy” (PRZEGŁĄD nr 42) kilkoma liczbami. Państwo polskie zamierza w ciągu najbliższych 15 lat wydawać na zbrojenia 524 mld zł, czyli prawie 35 mld zł rocznie. Dla porównania: zadłużenie polskich szpitali to kilkanaście miliardów. Koszt spełnienia oczekiwań płacowych pracowników edukacji to 10 mld zł rocznie. Innymi słowy, już w pierwszym roku planowanego uzbrajania Polski można by radykalnie poprawić sytuację szpitali i zacząć uzdrawiać sytuację w oświacie, a proces ten kontynuować przez następne 14 lat. Za dodatkowe 17 mld zł rocznie można utrzymać zadowalający poziom płac w oświacie i doposażyć szkoły. Pozostałe 17 mld zł to wystarczająco dużo, żeby zatrudnić ok. 100 tys. (!) lekarzy i pielęgniarek, zwiększając ich liczebność o jakieś 25%. Oczywiście 30 lat zaniedbań III RP nie da się nadrobić, nawet mając do dyspozycji taką kwotę, bo tych pielęgniarek i lekarzy nie ma skąd dziś wziąć. Ale można by szybko wyszkolić zastępy personelu pomocniczego, który wykonywałby np. zadania administracyjne, odciążając wykwalifikowane kadry lekarskie i pielęgniarskie. Możliwe byłoby zakupienie nowoczesnego sprzętu medycznego czy wyremontowanie infrastruktury. Ale to wszystko nie zostanie zrobione, ponieważ żadna partia polityczna nie zakwestionowała tej orgii militarizmu. (...) W ciągu ostatnich 30 lat tzw. wolności państwo polskie wycofało się z jakiegokolwiek długofalowego planowania. Jedynym wyjątkiem okazują się zbrojenia – tu całkiem szczegółowo wszystko zaplanowano na 15 lat naprzód.

Radostaw S. Czarnecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Mimo nieustannych prób wymazania z kart historii postaci Wojciecha Jaruzelskiego, pamięć o nim jest wciąż żywa. Grób generała na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach, 31 października 2019 r.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co trzeba zrobić, by piesi byli bezpieczniejsi?

KRZYSZTOF LIPKA,
ruch społeczny Pieszy Lublin

Przykłady z wielu miast pokazują, że strefy z ograniczeniem prędkości do 30 km/godz., zwężenia pasów ruchu, wyniesione przejścia dla pieszych oraz fizyczne zabezpieczanie chodników przed nielegalnym parkowaniem, zwłaszcza w pobliżu przejść i skrzyżowań, realnie wpływają na bezpieczeństwo pieszych. Szwedzi przeprowadzają audyty miejsc, w których dochodzi do wypadków, i wskazują konkretne elementy do poprawy. W naszych miastach warto pomyśleć o audytach wszystkich przejść dla pieszych pod kątem wzajemnej widoczności pieszych i kierowców, oświetlenia, przestrzegania ograniczeń prędkości. Przede wszystkim należałoby się skoncentrować na przejściach w pobliżu szkół, przychodni i szpitali. Lokalne władze powinny zrozumieć, że mają do czynienia z transportem pieszym, o który należy się troszczyć nie mniej niż o transport kołowy.

DR HAB. INŻ. JACEK WESOŁOWSKI
urbanista, PL

Zwiększenie bezpieczeństwa pieszych bez zniszczenia miast można osiągnąć

poprzez ograniczanie roli i wielkości ruchu pojazdów indywidualnych (których jest najwięcej), ale też pojazdów w ogóle. Dochodzi się do tego na różne sposoby. Poprzez ograniczanie liczby ulic, na których możliwa jest większa prędkość, zwężanie jezdni, geometryczne komplikowanie ich osi, eliminację arterii tam, gdzie to możliwe, szczególnie w obrębie osiedli mieszkaniowych. Poprzez rozszerzanie stref pieszych i stref z ruchem ograniczonym, odpowiednią politykę parkingową, takie kształtowanie jezdni, by dawało preferencje pieszym na przejściach. Tym działaniom musi oczywiście towarzyszyć utrzymanie, modernizacja i rozwój transportu zbiorowego oraz rowerowego, a także odpowiednie planowanie przestrzenne, niedopuszczające do sytuacji, w której do danej lokalizacji można dotrzeć jedynie samochodem.

LESZEK WOJTAS,
Straż Miejska w Łodzi

Problem jest złożony i nie rozwiążą go działania w jednej sferze, np. same zmiany w przepisach. Na pewno niezbędne jest podnoszenie wiedzy społeczeństwa, m.in. poprzez zmianę sposobu prowadze-

nia kursów na prawo jazdy. Warto także rozważyć podniesienie wysokości grzywien, które nie były zmieniane od lat i są nieadekwatne do obecnych zarobków. Jeszcze ważniejsza jest większa nieuchronność kar i szybkość ich egzekwowania. Ważne są także zmiany inżynierskie, np. zmiana usytuowania przejść dla pieszych, zadbanie o lepsze oznakowanie i oświetlenie tych miejsc.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
JAROSŁAW GÓRSKI

Zainstalować w każdym samochodzie elektroniczny rejestrator drogi i prędkości, który wysyła raporty do centralnego systemu, wystawiającego mandaty i punkty karne. Kierowca powinien być karany zawsze, kiedy popełnia wykroczenie, a nie tylko wtedy, gdy złapie go patrol.

ANDRZEJ B. IZDEBSKI

Nic nie wyeliminuje całkowicie niebezpieczeństw na drogach i chodnikach, ale najpilniejsze jest wprowadzenie, wzorem wielu państw europejskich, przepisu o bezwzględnej pierwszeństwie pieszego na pasach. Powinna tu wystarczyć zwykła kultura, ale dla Polaków to trochę za mało.

Not. Michał Sobczyk

Gdyby liczyć głosy metodą Sainte-Laguë, PiS miałoby 200 posłów

Robert Walenciak

I znów mniejszość będzie rządzić większością. W październikowych wyborach PiS zdobyło trochę ponad 8 mln głosów, a opozycja (nie licząc Konfederacji) 8,9 mln. Ale co z tego – to PiS będzie miało 235 mandatów, czyli bezwzględną większość. Uzyskało 43,59% głosów, ale w Sejmie będzie miało 51,09% posłów. Wszystko za sprawą ordynacji wyborczej i systemu liczenia głosów.

Polacy głosowali więc inaczej, niż pokazuje to rozkład miejsc w Sejmie. Zostali, można powiedzieć, wykiwani przez polityków, którzy kilkanaście lat temu przyjęli taką ordynację i taki system liczenia głosów. Kłania się baron D'Hondt – i nie tylko on.

Oczywiście system liczenia głosów miał decydujący wpływ na kształt Sejmu, ale w grę wchodziły też inne czynniki – podział okręgów wyborczych oraz ich wielkość. Z kolei próg 5% (8% dla koalicji) tym razem nie odegrał roli. Partie polityczne, wchodząc w sojusze wyborcze, skutecznie się zabezpieczyły przed tą gilotyną.

Ważniejsze jest jednak coś innego. Otóż gdyby w Polsce obowiązywał inny system liczenia głosów, bardziej sprawiedliwy, dokładniej oddający preferencje społeczeństwa, mielibyśmy zupełnie inny parlament.

Sprawdziliśmy to, Sejm wyglądałby zupełnie inaczej.

D'Hondt kontra Sainte-Laguë

Jak podzielić mandaty w systemach wyborczych proporcjonalnych, w których nazwiska kandydatów wystawione są na listach partyjnych? Najpopularniejsze są dwie metody – D'Hondta (nazwa pochodzi od nazwiska belgijskiego matematyka Victora D'Hondta) i Sainte-Laguë (ta nazwa z kolei pochodzi od nazwiska francuskiego matematyka André Sainte-Laguë).

Metoda D'Hondta polega na tym, że dzielimy liczby uzyskanych przez komitety głosów przez kolejne liczby naturalne, czyli 1, 2, 3, 4, 5 itd. Następnie wyszukujemy najwyższe ilorazy, stosownie do liczby mandatów przypadających w danym okręgu. Zakładając, że w danym okręgu jest do obsadzenia np. 15 mandatów, szukamy 15 najwyższych ilorazów. I one wskazują nam, ile mandatów wziął dany komitet.

Metoda D'Hondta przyciąga prostotą liczenia, ale ma jedną zasadniczą wadę – niedokładnie przekłada liczbę otrzymanych głosów na liczbę mandatów. Dodaje tym, którzy zdobyli najwięcej głosów, a zabiera mniejszym. Przykładem niech będą październikowe wybory – PiS zdobyło w nich 43,59% głosów, a otrzymało 51,09% mandatów. Z kolei Konfederacja zyskała 6,81% głosów, jednak przełożyło się to ledwie na 11 mandatów, czyli 2,39%.

Żeby tę wadę wyeliminować, w demokracjach opracowano inne metody, znacznie dokładniej wiążące liczbę mandatów z wynikiem wyborczym. Najbardziej znaną jest metoda Sainte-Laguë, też bardzo prosta i też polegająca na wskazaniu najwyższych ilorazów. Różni się od metody D'Hondta tym, że wyniki wyborcze poszczególnych komitetów dzielimy przez kolejne liczby nieparzyste, czyli 1, 3, 5, 7, 9, 11 itd.

Metoda ta jest dość dokładna, choć daje lekkie fory słabszym komitetom. Pojawily się więc różne jej modyfikacje, ale to odłożymy na bok.

Przeliczyliśmy metodą Sainte-Laguë, okręg po okręgu, wyniki październikowych wyborów. Efekt naszych wyliczeń zamieszczamy w tabeli poniżej. Sejm tak wyłoniony byłby zupełnie inny. PiS miałoby nie 235 mandatów, ale 200, otrzymałoby ich procentowo niemal tyle samo, ile głosów (43,47%). Te 200 mandatów odpowiadałoby wpływom tej partii w społeczeństwie. Jarosław Kaczyński, by rządzić, musiałby szukać sojusznika albo w Konfederacji, albo w PSL. Ciekawy jest zresztą wynik Konfederacji – ona w systemie Sainte-Laguë zyskałaby najwięcej, zamiast 11 posłów miałaby ich aż 36 (7,82% mandatów!). Stan posiadania zwiększyłoby również Lewica i PSL – oba komitety zyskałyby po 10 posłów. Z kolei Platforma straciłaby 10 mandatów i miałaby w Sejmie klub liczący 124 posłów.

Gdy analizowaliśmy okręg po okręgu wyniki wyborów, jedna rzecz

ROZKŁAD MANDATÓW W ZALEŻNOŚCI OD METODY LICZENIA

partia	liczba głosów	% głosów	liczba mandatów liczona metodą D'Hondta	% mandatów	liczba mandatów liczona metodą Sainte-Laguë	% mandatów	różnica mandatów
PiS	8 051 935	43,59%	235	51,09%	200	43,47%	- 35
PO	5 060 355	27,40%	134	29,13%	124	26,95%	- 10
Lewica	2 319 946	12,56%	49	10,65%	59	12,82%	10
PSL	1 578 523	8,55%	30	6,52%	40	8,69%	10
Konfederacja	1 256 953	6,81%	11	2,39%	36	7,82%	25



Głosowanie nad nową ordynacją wyborczą w 2001 r.

rzucała się w oczy. W systemie D'Hondta PiS brało nieproporcjonalnie dużo mandatów w małych okręgach, ośmio-, dziewięciomandatowych. W systemie Sainte-Laguë modyfikacja tego podziału najczęściej była taka, że ostatni mandat przechodził z PiS do Konfederacji, choć nie zawsze.

Przykładem niech będzie podkrakowski okręg nr 12. Tam zdecydowanie wygrał PiS, zdobywając 53,48% głosów (ponad 169 tys.). Druga była Platforma z 23,04% głosów (72 tys.). I tylko te dwie partie podzieliły się mandatami – PiS wzięło ich sześć (75% puli!), Platforma – dwa, Lewica, PSL i Konfederacja nie dostały nic. W systemie Sainte-Laguë podział byłby inny. PiS dostałoby cztery mandaty, PO – dwa, po jednym – Lewica i PSL.

Takich małych okręgów, zwłaszcza na południu i wschodzie Polski, jest więcej. Wszędzie tam wygrywało PiS i wszędzie brało bonus w postaci „dodatkowych” mandatów.

Jeżeli więc ktoś się dziwił, dlaczego w ostatnich dniach przed wyborami PiS z takim zaangażowaniem prowadziło kampanię w swoich bastionach, w Galicji czy na ścianie wschodniej – ma odpowiedź. Bo dzięki temu zyskało więcej, niż gdyby walczyło na zachodzie. Być może na zachodzie kraju albo w dużych miastach ugrałoby trzy-cztery mandaty więcej. Ale w Galicji i na wschodzie zgarnęło ich dodatko-

wo może i kilkanaście. Na przykład w okręgu nr 15, Tarnów, zdobyło 59% głosów, ale przełożyło się to na siedem mandatów w dziewięciomandatowym okręgu! W okręgu nr 22, Krosno, zdobyło 63% głosów, a uzyskało osiem mandatów na 11 możliwych. W okręgu nowosądeckim (nr 14) 65% poparcia dało osiem mandatów na 10 możliwych.

PiS, by zyskać lepszy wynik, wykonało jeszcze jeden manewr. Otóż przed wyborami Państwowa Komisja Wyborcza rekomendowała korekty okręgów wyborczych. Powód był prosty – w Polsce zmienia się liczba ludności, jedne miejsca pustoszeją, do drugich napływa ludność, a na jeden mandat powinna przypadać podobna liczba wyborców. Dlatego PKW proponowała, by w pięciu okręgach zmniejszyć liczbę mandatów o jeden. Chodziło o okręgi nr 9 w Łodzi, 31 w Katowicach, 32 w Sosnowcu, 33 w Kielcach oraz 34 w Elblągu. Za to po jednym mandacie należało dodać do okręgu nr 3 we Wrocławiu, do podwarszawskiego okręgu nr 20 oraz do okręgów nr 25 w Gdańsku, 26 w Gdyni i 39 w Poznaniu. Rząd puścił te sugestie mimo uszu. I ze swojego punktu widzenia miał rację, bo okazało się, że gdyby wprowadzono korekty, PiS miałoby o dwa mandaty mniej, a Platforma i Lewica o jeden więcej. Innymi sło-

wy, miałoby większość nie pięciu, ale trzech posłów.

Dlaczego wygrał D'Hondt?

Wszystko jest więc jasne – 13 października dwa elementy wpłynęły na to, że Sejm nie odzwierciedlał preferencji wyborczych: system D'Hondta i małe okręgi wyborcze. Dlaczego tego nie zmieniono? Dlaczego w Polsce obowiązuje taki system? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, powinniśmy się cofnąć do początków III RP.

Plagą tamtego czasu było rozdrobnienie w Sejmie I kadencji, w którym największa partia miała 56 posłów, a żeby złożyć rząd, potrzebna była koalicja siedmiu partii. Przerażeni tamtą sytuacją, kiedy każdego dnia w Sejmie mogło się zdarzyć wszystko, posłowie przyjęli ordynację wprowadzającą próg 5% dla partii politycznych i 8% dla koalicji partii. Ponadto zmieniono system liczenia z metody Sainte-Laguë na D'Hondta i zwiększono liczbę okręgów wyborczych z 37 do 52, tworząc okręgi małe, sześć-, pięcio-, czter-, a nawet trójmandatowe.

W wyborach w roku 1993 te progi zadziały jak gilotyna. Do Sejmu nie weszły główne ugrupowania prawicy – Katolicki Komitet Wyborczy Ojczyzna (czyli ZChN), Porozumienie Centrum i Koalicja dla Rzeczypospolitej oraz NSZZ Solidarność i KLD.

W efekcie SLD, który uzyskał poparcie 20%, otrzymał 171 mandatów, a PSL, z poparciem 15,40% – 132 mandaty.

Druga zmiana nastąpiła w roku 2001, w ostatnim roku rządów koalicji AWS-UW. Wtedy to, 12 kwietnia, parę miesięcy przed wyborami, Sejm głosami posłów AWS, UW i PSL uchwalił nową ordynację wyborczą. Zmieniono w niej metodę liczenia głosów w wyborach do Sejmu – z D'Hondta na Sainte-Laguë (zmodyfikowaną), zniesiono listę ogólnopolską oraz zmniejszono liczbę okręgów do 41, jednocześnie je powiększając.

Zmiana ta miała jeden cel. Ponieważ wszystkie sondaże przewidywały miażdżące zwycięstwo opozycji, czyli SLD (w sondażach Sojusz otrzymywał 43-50% poparcia), prawica postanowiła lewicę zatrzymać. W związku z tym przyjęto ordynację, która miała zmniejszyć liczbę mandatów zwycięskiej partii. ▶

► I tak się stało. Sojusz zdobył 41% poparcia i 216 miejsc w Sejmie. Choć gdyby mandaty liczono metodą D'Hondta, miałby ich 245 i bezwzględną większość.

Oczywiście ta zmiana ordynacji pół roku przed wyborami sztyta była tak grubymi nićmi, że nikt nie traktował poważnie argumentów, które padały podczas dyskusji nad nową ordynacją. Wiadomo było, że chodzi o jedno – o zatrzymanie SLD. Jeszcze więc podczas debaty w Sejmie Leszek Miller zapowiedział, że zaraz po wyborach zmieni ordynację i powróci do metody D'Hondta. Tak też się stało, to była jedna z pierwszych decyzji nowej koalicji SLD-PSL. Co odbija się lewicy czkawką w zasadzie do dzisiaj.

Głos ludu czy sprawność władzy?

W ten sposób, w gruncie rzeczy przypadkowo, ukształtował się w Polsce system wyborczy preferujący i wzmacniający duże partie. Zwyciężyła filozofia, że trzeba wzmacniać partie zwycięską, żeby łatwo było jej powołać rząd, żeby nie musiała zawierać „zgniłych” koalicji, żeby wygodnie jej się rządziło, z komfortową większością w Sejmie.

W imię efektywności władzy odrzucono ideę, że Sejm powinien być emanacją poglądów społeczeństwa i w sposób maksymalnie wierny odzwierciedlać istniejące w społeczeństwie podziały. Że podziały te powinny w Sejmie się docierać poprzez debatę i kompromisy. Sejm żywy, debatujący został uznany za niebezpieczny i niepotrzebny. Zresztą w kolejnych latach poprzez zmiany regulaminowe ograniczono w nim rolę opozycji i debat.

Robiono to, strasząc zawsze Sejmem I kadencji i przypominając głosowanie nad wotum nieufności dla rządu Hanny Suchockiej – wniosek zgłosił poseł partii koalicyjnej Alojzy Pietrzyk z NSZZ Solidarność, a przeszedł on jednym głosem, bo inny poseł koalicji podobno zatrzasnął się w toalecie...

Tylko że dziś te ostrzeżenia nijak się mają do rzeczywistości. Sejm I kadencji to lata 1991-1993, a od roku 1997 mamy w Polsce nową konstytucję, która wprowadziła bezpieczniki zde-

cydowanie wzmacniające pozycję premiera, m.in. poprzez to, że Sejm może go odwołać jedynie poprzez konstruktywne wotum nieufności, czyli zgłaszając własnego kandydata na premiera. Innymi słowy, musi powstać nowa koalicja, by szefa rządu obalić.

Taka sytuacja teoretycznie powinna zachęcać do poluzowania, do ordynacji lepiej odzwierciedlającej polityczny kształt społeczeństwa. Tymczasem kolejne rządy, SLD, PO, teraz PiS, uznawały, że ordynacja uchwalona w 2001 r., ale z systemem D'Hondta, jest najbardziej użyteczna.



Najpopularniejsze metody dzielenia mandatów zawdzięczamy Belgowi Victorowi D'Hondtowi i Francuzowi André Sainte-Laguë.

Dla Tuska i Kaczyńskiego ten system wyłaniania władzy okazał się wręcz wymarzony, bo płynnie budował system dwublokowy. I lewica, i skrajna prawica były w nim wypychane gdzieś na margines, a polityka toczyła się wokół sporów PO kontra PiS. Sejm zaś był do tego coraz mniej potrzebny. Tymczasem, patrząc na lata 2005-2019, czyli wojny PO z PiS, możemy ocenić, że system dwublokowy w polskich warunkach okazał się nieszczęściem niszczącym życie publiczne.

System dwublokowy preferuje dyscyplinę i twardą postawę wobec przeciwnika. To system dwóch armii maszerujących jedna na drugą, podporządkowanych wodzowi, zdyscyplinowanych. Armii, w których największymi cnotami są lojalność wobec wodza i nieustępliwość.

System wielu partii preferuje inne cechy. Przede wszystkim umiejętność dogadywania się, zawierania sojuszy. Hejterzy trafiają w nim na margines, bo są nieefektywni. Najwyżej ceni się za to tych, którzy są kompetentni i nie palą mostów – bo

dzisiejszy przeciwnik za parę tygodni może być koalicjantem.

Inaczej też wygląda debata sejmowa. Gdy mamy dwa bloki, ceni się mówcy wyraziści, którzy atakują drugą stronę, ośmieszają ją. Kiedy jest wiele partii, a wynik debaty nieprzesądzony, bardziej liczą się argumenty merytoryczne oraz umiejętność szukania porozumienia.

Teraz warto więc rozważyć, w kierunku którego systemu Polska powinna zmierzać. Wyniki październikowych wyborów wskazują, że Polacy mają dość wojny dwóch wielkich partii, że odrzucają system dwublokowy. Może pora odrzucić go także w ordynacji wyborczej i wrócić do systemu Sainte-Laguë? Tak aby nie dodawać mandatów największym, ale żeby Sejm odzwierciedlał barwy polskiego społeczeństwa.

Przy okazji takiej zmiany moglibyśmy się pokusić o zniesienie progów wyborczych. Albo, tak jak jest w Hiszpanii, o ograniczenie ich do okręgów wyborczych (tam obowiązuje próg trzyprocentowy, ale w okręgu, nie w skali kraju).

Dlaczego to ważne? Otóż plagą polskiego życia politycznego jest również wielka rola partyjnych szefów. Mają oni nad członkami partii olbrzymią przewagę – dysponują funduszami partyjnymi i ustalają listy wyborcze. W ten sposób wymuszają posłuszeństwo i łamią ludziom charakter.

A wystarczyłoby zlikwidować pięcioprocentowy próg i zagwarantować duże okręgi wyborcze. W ten sposób każdy polityk cieszący się poparciem wyborców mógłby startować do Sejmu z własnego komitetu i miałby szansę na sukces. Dziś to w ogóle niemożliwe, próg 5% jest przeszkodą, którą pokonać mogą tylko nieliczni. A tak każdy działacz mocno osadzony w elektoracie mógłby powiedzieć wodzowi do widzenia i wystartować z własnej listy. Wzrosłaby rola tych, którzy są silni w terenie i popularni, a zmalałaby rola partyjnych dworzan nadskakujących szefowi. To uwolniłoby polską politykę od różnych wodzów i od mentalności wojennej.

Zmiana D'Hondta na Sainte-Laguë, likwidacja progów wyborczych... Te proste posunięcia odmieniłyby polską politykę. Warto o nie walczyć.

Robert Walenciak

Ustawy do kosza – cd.

Ustawę reprivatyzacyjną, która chroniłaby lokatorów, Sejm VIII kadencji się nie zajął

Anna Brzeska

Afera dotycząca licznych nadużyć związanych z roszczeniami do stołecznych nieruchomości była jednym z wiodących motywów kampanii Patryka Jakiego w ostatnich wyborach prezydenta Warszawy. – Obiecaliśmy, że przygotujemy projekt ustawy i go przygotowaliśmy. Decyzja należy do premiera – mówił Jaki w czerwcu 2018 r. w TVP Info jako ówczesny wiceminister sprawiedliwości i przewodniczący komisji weryfikacyjnej ds. reprivatyzacji nieruchomości warszawskich.

Ministerialny projekt został przedstawiony nieco wcześniej, w październiku 2017 r. Zakładał m.in. zakaz handlu roszczeniami i zwrotu nieruchomości „w naturze” oraz określał, że maksymalna rekompensata za przejęte po wojnie mienie wynosiłaby 20% wartości nieruchomości i mogłaby dotyczyć jedynie spadkobierców w pierwszej linii lub małżonków. Ustawa miała też zabraniać ustanawiania kuratorów dla spadkobierców. Taka możliwość dawała bowiem pole do nadużyć, np. dochodzenia praw do nieruchomości na rzecz nieistniejących osób, a następnie handlu tak pozyskanymi roszczeniami.

Najpoważniejsze straty w dzięki reprivatyzacji ponieśli lokatorzy „odzyskiwanych” nieruchomości, wyrzucani z mieszkań przez czyszcicieli kamienic, zastraszani i gnębieni. Tajemnica śmierci Jolanty Brzeskiej, która nie chciała się wyprowadzić z kamienicy przy ul. Nabełaka 9 w Warszawie,

– Realizacja przepisów projektu ustawy reprivatyzacyjnej przekracza możliwości budżetu państwa – mówił w lutym 2018 r. ówczesny szef Stałego Komitetu Rady Ministrów Jacek Sasin w rozmowie z portalem wPoli-tyce.pl.

Ustawa wróciła więc do resortu sprawiedliwości, gdzie mimo późniejszych obietnic Jakiego utknęła na zawsze. Kolejnych kwot, które trzeba będzie przeznaczyć na odszkodowania dla spadkobierców na skutek wyroków sądowych, rząd PiS jakoś się nie obawia.



Najpoważniejsze straty w dzięki reprivatyzacji ponieśli lokatorzy „odzyskiwanych” nieruchomości, jak ta przy ul. Nabełaka 9 w Warszawie.

– Projekt Ministerstwa Sprawiedliwości z 2017 r. to była dobra ustawa. Przede wszystkim wprowadzała zakaz zwrotu kamienic wraz z lokatorami, którego w tej chwili nie ma w żadnych przepisach polskiego prawa. Nadal więc możliwe są sytuacje, w których

politycznych, na czas kampanii wyborczej. Z pewnością będą kontynuowane, póki nie będzie ustawy, która ich zabrania.

Patryk Jaki nie jest już szefem komisji weryfikacyjnej, obecnie zasiada w Parlamencie Europejskim. Jakub Żaczek: – Nie udało się im nic wywalczyć. Wszystkie decyzje komisji zostały cofnięte. Lokatorzy nie dostali odszkodowań, miasto nie przejęło administracji budynkami. Jedynym osiągnięciem jest to, że lokatorzy zyskali platformę do wypowiedzenia się i mogli pokazać całej Polsce swoją sytuację. Wcześniej na poziomie instytucjonalnym nikt nie interesował się ich losem.

Komitet Obrony Praw Lokatorów nadal walczy o ustawę reprivatyzacyjną lub zmiany w przepisach na gruncie innych ustaw. – Zapisy zabraniające przekazywania kamienic

z lokatorami pojawiały się w kilku projektach – mówi Jakub Żaczek. – Żaden z nich nie został procedowany. Tymczasem sprawę rozwiązałyby w zasadzie zmiany jednej linijki w Ustawie o gospodarowaniu nieruchomościami. Chodzi o dopisanie mieszkalnictwa do kategorii użyteczności publicznej.

Na razie komitet nie otrzymał nowych zapewnień czy obietnic ze strony polityków. – Do tej pory udało nam się jedynie rozmawiać na prywatnym gruncie z Patrykiem Jakim i Sebastianem Kaletą. Obiecywali, że ustawa zostanie procedowana i podpisana jeszcze przed końcem kadencji. Tak się nie stało. Mamy poczucie, że nas zawiedli.

Z powodu braku ustawy reprivatyzacyjnej można nadal oddawać kamienice z lokatorami.

pozostaje niewyjaśniona, a decyzję komisji weryfikacyjnej, nakazującą nabywcy roszczeń Markowi M. zwrot odszkodowania, stołeczny sąd administracyjny uchylił w październiku br.

Niestety, wyczekiwany projekt Patryka Jakiego nie zyskał aprobaty

lokatorzy są „zwracani”, bez uznania ich podmiotowości – mówi Jakub Żaczek z Komitetu Obrony Praw Lokatorów. Według aktywisty ratusz przygotowuje się do zwrotów kolejnych nieruchomości. – Wcześniej zostały one wstrzymane ze względów

Jak sanacja fałszowała wybory

Począwszy od 1928 r. piłsudczycy ograniczali swobodę wyborów, a od 1935 r. społeczeństwo mogło głosować jedynie na tych polityków, których wskazała władza

Krzysztof Wasilewski

Druga Rzeczpospolita pożegnała się z demokracją w maju 1926 r. Sanacja, która siłą przejęła wówczas rządy, zachowała wprawdzie pozory jawności i wolności wyborów, ale nie zamierzała respektować ich wyników. Oczywiście z wyjątkiem tych potwierdzających jej dominację.

Dla Józefa Piłsudskiego i jego zwolenników demokracja stanowiła zaledwie narzędzie, dzięki któremu można było zdobyć i utrzymać władzę. „Jeżeli demokracja służyła państwu, to ją współtworzył. Gdy zorientował się, że demokracja w warunkach polskich państwu szkodzi, rozpoczął z nią walkę”, tłumaczył strategię marszałka prof. Mariusz Wołos, historyk dziejów najnowszych. Zdaniem innego historyka, prof. Andrzeja Friszkego, Piłsudski rozczarował się demokracją po zamachu na prezydenta Gabriela Narutowicza 16 grudnia 1922 r. To wówczas uznał prawicę za przeszkodę w budowaniu nowoczesnego państwa. „Miał poczucie – mówił prof. Friszke – że nie da się wspólnie odpowiadać za państwo, i szedł na coraz ostrzejszy konflikt z całym systemem demokratycznym”.

To wszystko zapewne prawda. Czy jednak potrzebą naprawy państwa i uchronienia go przed upadkiem nie tłumaczą się wszyscy dyktatorzy? Przecież większość z nich dochodzi do władzy w wyniku demokratycznych wyborów, które następnie zawiesza, aby uporządkować najważniejsze sprawy. Oczywiście moment, kiedy będzie można ponownie odwołać się do woli ludu, raz po raz jest odkładany, aż w końcu

Marzec 1931 r. Policja rozpędza na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie studentów protestujących przeciwko rządowi sanacji.

społeczeństwo zapomina, że w ogóle pojawiła się taka obietnica.

Zamach majowy z 1926 r. i objęcie rządów przez piłsudczyków to podreźnikowy przykład. Zwolennicy marszałka przejęli władzę, obiecując, że jak tylko naprawią państwo, czyli dokonają jego sanacji, oddadzą się pod osąd społeczeństwa. I rzeczywiście. Do wybuchu II wojny światowej regularnie wybierano reprezentację parlamentarną, choć

fasadowa, czego zresztą nie ukrywali sami piłsudczycy. Wspominając rozmowę z jednym z najbliższych współpracowników marszałka Walerym Sławkiem, dyplomata i pracownik MSZ Kajetan Morawski zanotował: „Zapytałem Sławka, aby mi szczerze odpowiedział, czy jest możliwość, aby partie w Sejmie będące doszły do władzy drogą parlamentarnych przesileń, jak to miało miejsce przed majem. Sławek odpowiedział mi, że jest

Podczas kampanii wyborczej w 1930 r. dochodziło do nadużyć i łamania prawa przez władze.

trudno nazwać ten proces demokratycznym. Począwszy bowiem od pierwszych po zamachu majowym wyborów do Sejmu i Senatu w marcu 1928 r., piłsudczycy coraz śміiej ograniczali ich swobodę, aż w końcu od 1935 r. społeczeństwo mogło głosować jedynie na tych polityków, których wskazała władza.

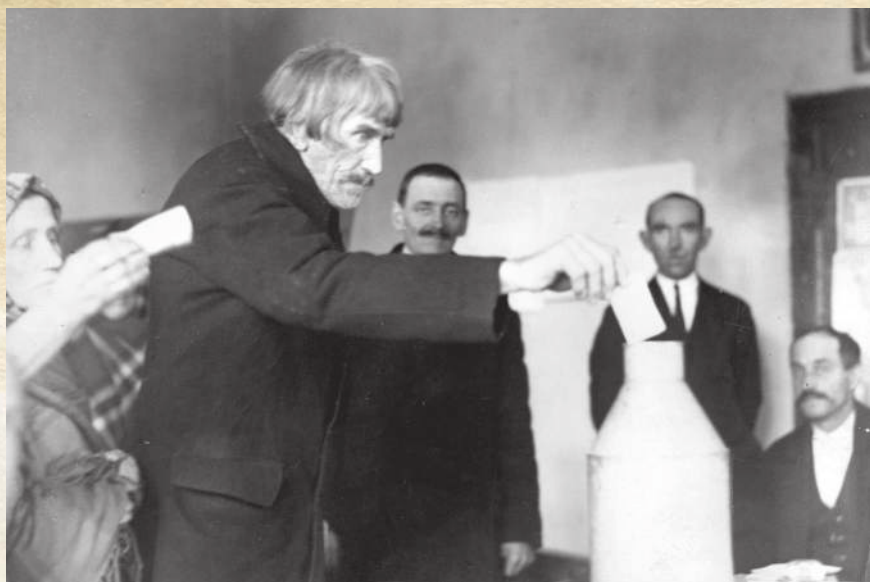
Władzy raz zdobytej...

Po zamachu majowym demokracja w Polsce stawiała się coraz bardziej

to wykluczone, bo legioniści wzięli władzę przez krew w walce na ulicy i tylko w ten sposób ją oddadzą”.

O tym, że wyniki wyborów niczego nie przesądzą, mówił sam Piłsudski. Chociaż zatem próba generalna, wybory z marca 1928 r., zawiodła sanacyjne nadzieje, marszałek tłumaczył współpracownikom, aby nie traktowali głosu społeczeństwa zbyt poważnie. „Musicie pójść na rewizję konstytucji – przekonywał podczas jednej z narad – ale to praca bardzo długa, gdyż tam jest tyle





zagadnień i spraw, że szybko ich wy-czerpać niepodobna. Natomiast na razie najważniejszy jest regulamin i ten musicie przepracować. Jedną z ważniejszych rzeczy jest to, by porządek Sejmu był razem z rządem układany. Tymczasem Sejm jako instytucja się zatracza. Sejm nie jest od tego, by zamęczał rząd. Zresztą, o ile Sejm nie będzie chciał z rządem współpracować, to będzie rozpędzony”.

Finansowy rozmach BBWR

Wybory z 1928 r. piłsudczycy potraktowali jako laboratorium do testowania poszczególnych strategii wyborczych. Chcąc zachować pozory demokracji, obóz sanacyjny wystawił aż cztery odrębne listy. Oczywiście okręt flagowy całego ruchu, czyli Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem – BBWR – startował z symboliczną jedyneką. Podobnie jak pozostałe trzy ugrupowania kampanię opierał na kulcie marszałka i zapowiedzi naprawy państwa. Jego główny slogan wyborczy brzmiał: „Jedynym budowniczym Polski, w którego kraj dziś wierzy, jest Józef Piłsudski – wódz, obrońca, twórca państwa, wychowawca narodu i dobry gospodarz – głosuj na jedynekę”. W ulotkach, które blok sanacyjny drukował na niespotykaną wcześniej skalę, można było również przeczytać: „Tworzymy potęgę demokracji, tworzymy potęgę ludu pracującego. Niech żyje potężny, zjednoczony lud polski”.

BBWR i siostrzane listy dysponowały potężnymi finansami, których trzon stanowiły defraudacje państwowej kasy. Jak przekonuje historyk Wojciech Roszkowski, „aparatus wyborczy zaopatrzono w ogromną ilość druków i plakatów, wszędzie rozwieszano portrety Piłsudskiego. Rozmach tej akcji, przytłaczającej inne partie, wskazywał wyraźnie na poparcie bogatych kół przemysłowo-ziemiańskich. Domyślano się, że część funduszy pochodzić musi z kasy państwa”. Gwoli sprawiedliwości należy wspomnieć o rozwoju gospodarczym, który zbiegł się z objęciem rządów przez sanację. Dzięki temu zdołano zmniejszyć o ponad jedną trzecią wysokie bezrobocie – największy koszmar Drugiej Rzeczypospolitej. Jed-

Aresztowano ok. 5 tys. osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów oraz wielu polityków kandydujących do parlamentu.

nak największy w tym udział miała pomyślna koniunktura światowa i zapewne porównywalne rezultaty – jeśli nie lepsze – mogły osiągnąć rządy demokratyczne.

Finansowanej z budżetu państwa kampanii wyborczej sanacji towarzyszyły działania podkopujące partie opozycyjne. Najaktywniejszy na tym polu był Kazimierz Świątalski, który z jednej strony oferował politykom prawicy intratne stanowiska – w zamian za rezygnację ze startu w wyborach – z drugiej zaś chętnie sięgał po groźby, kiedy rozmówcy okazywali się nieczuli na polityczną korupcję.

Kampania wyborcza i same wybory 1930 r. były zapowiedzią, jak niebawem sanacja będzie traktować opozycję – wytoczyła im proces brzeski. Nz.głosowanie mieszkańców Bronowic.

Do jego niewątpliwych sukcesów należało m.in. storpedowanie wspólnej listy endecji. W rezultacie narodowcy wystawili kandydatów jedynie z rachitycznym Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym, co zakończyło się klęską prawicy.

W diariuszu skrzętnie prowadzonym przez Świątalskiego można odnaleźć fragmenty, które dosadnie przedstawiają jego pogląd na demokrację. W grudniu 1927 r., a więc trzy miesiące przed wyborami parlamentarnymi, notował: „Rozpocząłem swoje przemówienie od zaznaczenia, że rząd ma prawo (...) wpływać na przebieg wyborów, o ile ten wpływ ogranicza się do nacisku moralnego na wyborców, i na wpływanie na ludzi mających jakiegokolwiek znaczenie na tym terenie. Starostowie (...) chcieliby mieć możliwość operowania koncecjami jako pewną bronią agitacyjną”. Kolejne miesiące i lata udowodniły, że były to założenia nader skromne, a każde następne wybory przynosiły coraz radykalniejsze środki w walce z opozycją.

Przemocą w opozycję i prasę

Wątpliwe jednak, aby taki czy inny wynik wyborów parlamentarnych mógł cokolwiek zmienić. W realiach po zamachu majowym władze

sanacyjne traktowały głosowanie co najwyżej jako sondaż poparcia, bez większego wpływu na to, kto znajdzie się w rządzie, a kto z niego wypadnie. Bardziej niż społeczeństwo byli tego świadomi politycy opozycyjni, dla których immunitet przestał być gwarancją nietykalności. Podczas spotkania z sympatykami Sławek otwarcie przyznawał, że „lepiej połamać kości jednemu posłowi, niż wyprowadzić na ulicę karabiny maszynowe”. Słowa te przyszły premier wypowiedział w 1929 r., a więc tuż przed uruchomieniem twierdzy brzeskiej. Z kolei w 1934 r. zostało utworzone miejsce

► odosobnienia w Berezie Kartuskiej, dokąd zsyłano niepokornych polityków, działaczy i dziennikarzy.

Gdyby komuś przyszło do głowy pytać o wolność prasy i jej znaczenie dla polskiej demokracji po maju 1926 r., to z odpowiedzią śpieszył komendant główny policji Janusz Jagrym-Maleszewski. „Tych tajdaków,

urzędzie pana pośta należy usuwać za drzwi; jeśli zaś przy tym coś im dołożą – to także nie szkodzi”.

Trzy dni po tym wywiadzie aresztowano 19 pośtów Centrolewu, zgodnie z listą zatwierdzoną wcześniej przez Piłsudskiego. Wśród nich znaleźli się Stanisław Dubois, Adam Ciołkosz, Karol Popiel, Herman Lieberman,

Policja i bojówki sanacyjne na rozkaz władz rozbiły wiece ugrupowań opozycyjnych.

co siedzą przy biurkach i piszą artykuły, to my się nie boimy, gdyż, jak panowie wiedzą, umiemy bić i bić będziemy”, mówił podczas jednej z ogólnokrajowych narad. Lista dziennikarzy, na których sprawdzono umiejętności policjantów, była długa. Jeszcze przed zamachem majowym pobito Stanisława Strońskiego, pośta i publicystę obozu narodowego. Już podczas rządów sanacji ten sam los spotkał m.in. Adolfa Nowaczyńskiego i Tadeusza Dołęgę-Mostowicza. Autor „Znachora” i „Kariery Nikodema Dyzmy” pisał w „Rzeczpospolitej” z 1926 r.: „W zdrowe szeregi oficerskie wtargnął powiew nadwożańskiego chuligaństwa, między kapłanów honoru i rycerskości po cichu wszedł, wślizgnął się cham. Wulgarny cham z cepem w pięści, co się w bandy zbiera, ludzi po nocach napada i bije bezbronnych do krwi, do utraty przytomności, a zemdłonych butem kopie”.

„Zwyczajne ścierwo”, czyli marszałek o pośtach

Spełniając życzenie Piłsudskiego, 30 sierpnia 1930 r. prezydent Ignacy Mościcki rozwiązał obie izby parlamentu. Wkrótce potem na

Wojciech Korfanty i Wincenty Witos. Zostali osadzeni w twierdzy brzeskiej, gdzie poddawano ich ciągłym torturom fizycznym i psychicznym. Działacz PPS Lieberman tak zapamiętał swój pobyt w Brześciu: „Od czasu do czasu, pomiędzy jednym uderzeniem a drugim, ręka komisarza posuwała się po moim ciele i zatrzymywała na okolicy nerek. (...) Poprzez przykrywający moją głowę płaszcz słyszałem kilkakrotnie okrzyki komisarza: »Niech żyje Józef Piłsudski!«. Innym razem w czasie tej katowni usłyszałem okrzyk komisarza: »Józef Piłsudski przelewał za nas krew swoją, a ty będziesz go oskarżał przed Trybunałem Stanu? Zdechniesz i zaraz cię zakopie my. My ci tu grób wykopie my, tu cię parchu wrzucimy jak psa«”.

Dyplomata, niegdysiejszy Delegat Rządu Polskiego w Gdańsku, Mieczysław Jałowiecki, który swego czasu sympatyzował z Piłsudskim, zapisał: „Jak się okazało, metody traktowania więźniów były tak brutalne, tak pozbawione zasadniczego poszanowania godności ludzkiej, tak potworne, że nawet w dawnej carskiej Rosji byłyby nie do pomyślenia. Były to metody jakby żywcem skopowane z systemu bolszewickiego, gdzie ludzi deptano i plugawiono bez

nym procesie w historii Polski” pojawiały się regularnie w amerykańskich i brytyjskich dziennikach. „The New York Times” oceniał, że proces brzeski stawiał „reżim Piłsudskiego” w jak najgorszym świetle, podkreślając, że władze blokowały polskiej prasie możliwość drukowania pełnych zeznań oskarżonych. Z kolei „The Washington Post” powtarzał plotkę o możliwej koronacji marszałka, co zdaniem dziennika dobrze oddawało nastroje zwolenników Piłsudskiego. Bardziej bezpośrednia była prasa brytyjska. Lewicowy „The Manchester Guardian” donosił o brutalnym traktowaniu więźniów politycznych w twierdzy brzeskiej, nazywając to „metodami rodem ze średniowiecza”.



Pozostałe dzienniki również uznały proces za symboliczny koniec demokracji w Drugiej Rzeczypospolitej.

Kampania wyborcza

Proces brzeski poprzedziły przyspieszone wybory rozpisane przez prezydenta Mościckiego na 16 i 23 listopada 1930 r. W „Czarnej księdze sanacji” Sławomir Suchodolski pisał: „Podczas kampanii wyborczej dochodziło do krzyczących nadużyć i łamania prawa przez władze. Ogółem aresztowano ok. 5 tys. osób – w tym 84 byłych pośtów i senatorów oraz wielu polityków kandydujących do parlamentu. Policja, ale także bojówki sanacyjne na rozkaz władz rozbiły wiece ugrupowań opozycyjnych, np. w Warszawie po manifestacji w Dolinie Szwajcarskiej policja konna

W Warszawie po manifestacji w Dolinie Szwajcarskiej policja zaatakowała ludzi – zginęły dwie osoby, a 79 zostało rannych.

łamach „Gazety Polskiej” marszałek Piłsudski – sprawujący wówczas funkcję premiera – oznajmił: „Gdy Sejm jest rozwiązany, to pośtów nie ma – nie istnieją – i każdemu wolno sądzić, że o ile chcą zatrzymać swoje uprawnienia, to mogą być uważani, jak to podkreślam, za zwyczajne ścierwo, które musi zatruwać swoim istnieniem powietrze. W każdym

żadnych skrupułów; ale żeby coś podobnego mogło stać się w kraju wolnym, w narodzie, w którym godność osobista i poczucie honoru zawsze było szanowane, tego nikt z nas nie mógł pojąć”.

Aresztowanie opozycyjnych polityków i pokazowe procesy zwróciły uwagę zachodnich mediów. Informacje o „największym politycz-

i pieszka zaatakowała rozchodzących się ludzi (zginęły dwie osoby, a 79 zostało rannych)".

W całym kraju wymuszano na samorządowcach deklaracje posłuszeństwa. Tego typu praktyki szczególnie nasilone były na Kresach, gdzie lokalni działacze – w tym przedstawiciele mniejszości narodowych – musieli „dobrowolnie” zgłaszać się i podpisywać uchwały lojalnościowe. W rezultacie demokratyczny wybór został ograniczony do dwóch możliwości: poparcia BBWR lub wstrzymania się od głosowania. Co więcej, cytując za Suchodolskim, „tak jak przed wyborami w 1928, tak i teraz wywierano naciski na urzędników, aby oddawali głosy na listę rządową. Prasę opozycyjną

kres osób wybierających senatorów w formie pośredniej zmniejszono do ok. 270 tys.". Polska demokracja cofnęła się o kilka stuleci.

Komentując przyjęcie nowej konstytucji, jeden z liderów PPS Kazimierz Czapliński trafnie zauważył: „Z demokracji nie zostało prawie nic. »Konstytucja« przybiera charakter monarchistyczny. Biurokracja uzyskuje olbrzymią władzę. Nie posuwamy się tylko tak daleko jak hitlerowska ustawa o upoważnieniach z marca 1933 r., która nadaje rządowi prawa ustawodawcze – nawet wbrew Konstytucji”.

Nie tracąc czasu, obóz sanacyjny doprowadził do rozwiązania parlamentu i wyznaczenia daty

tytu jest też obszarników, przeważnie z arystokracji i przeważnie na pierwszych miejscach w kolejności kandydatur. Również tytuł też znajdziemy przemysłowców”, uskarżała się „Gazeta Robotnicza”.

Obywatele do głosowania niepotrzebni

W porównaniu z wyborami z 1935 r. te sprzed siedmiu lat mogły się wydawać niezwykle demokratyczne. Rządzący zdawali sobie sprawę, że nie wszędzie mogą liczyć na powszechne poparcie, dlatego postanowili dopomóc społeczeństwu, wypełniając za nie karty do głosowania. W relacji z komisji wyborczej w Koziniętach

Przedłuż prenumeratę PRZEGLĄDU na pocztę

Zamówienia można składać do 25 listopada 2019 r.

Prenumeraty pocztowe będą realizowane od stycznia 2020 r. po dokonaniu przedpłaty:

74 zł – I kwartał 148 zł – I półrocze 296 zł – cały rok

- we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy;
- drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl.

Od stycznia 2020 r. nie kontynuujemy prenumeraty redakcyjnej.

Nie zapomnij jej przedłużyć na pocztę!

Prosimy o niedokonywanie wpłat na konto Fundacji Oratio Recta.

Liczymy, że pozostaniecie Czytelnikami PRZEGLĄDU.

nęcano konfiskatami czasopism i nie pozwalano ugrupowaniom antysanacyjnym rozwieszać plakatów. W końcu zakazano organizowania demonstracji i wieców pod gołym niebem, a spotkania wyborcze mogły się odbywać tylko w salach”.

Nowa konstytucja, nowa ordynacja wyborcza

Trwałość sanacyjnego reżimu miała zostać zagwarantowana przez nową ustawę zasadniczą. Konstytucja z 23 kwietnia 1935 r. dawała potężne uprawnienia prezydentowi, tym samym przekształcając parlament w klub dyskusyjny. Proces wyborczy ograniczono zaś do głosowania na narzuconych przez władzę kandydatów. „W ten sposób – zauważał Wojciech Roszkowski – za-

nowych wyborów na 8 września 1935 r. Zgodnie z założeniami miały one być już przeprowadzone według nowej ordynacji wyborczej. W tej sytuacji większość partii opozycyjnych ogłosiła bojkot, co prasa przychylna rządowi uznała za obranie drogi, która „wiedzie poza nawias życia”.

Nową ordynację wyborczą zdecydowanie krytykowała prasa socjalistyczna. Na jej łamach podkreślano niedemokratyczny charakter głosowania, jawne finansowanie kampanii BBWR ze środków publicznych oraz brak na listach kandydatów reprezentujących robotników. Zważając to ostatnie budziło rozgoryczenie, bo BBWR przedstawiał się jako partia całego narodu. „Na przeszło 500 ustalonych kandydatur naliczyliśmy wszystkich 12 robotniczych, w tym dwóch sekretarzy związkowych! Co najmniej

na Kresach Józef Mackiewicz notował słowa miejscowych: „Jak tylko pojdzie stary jaki albo niepiśmienny, albo baba, tak jej zaraz wtykają starą kartkę, na przykład co już postawiony znak na Kieńcia, to jej każą jeszcze na Kamińskiego postawić kreskę”. Wiele osób odprawiono z kwitkiem, gdy okazało się, że ich głosy zostały już dawno oddane, najprawdopodobniej przez samych członków komisji.

Zapewne podobnych cudów nad urną było w skali kraju znacznie więcej. Mimo to trudno uznać wybory z 1935 r. za sukces sanacji. Już sama frekwencja, która wyniosła zaledwie 46,51%, dowodziła, że piłsudscy nie mogli liczyć na poparcie większości społeczeństwa. Przy bojkocie wyborów przez opozycję wstrzymanie się od głosowania było bowiem jedyną formą sprzeciwu wobec

► rządzących. Co więcej, po śmierci marszałka w maju 1935 r., w BBWR uwidoczniły się podziały, które skutecznie osłabiały partię.

W nowym parlamencie niepodzielnie dominował BBWR. Na 208 miejsc senatorzy zdobyli aż 153. Pozostałe objęli przedstawiciele mniejszości narodowych. Podobne proporcje zachowano w Senacie. Jedynym zaskoczeniem był brak niektórych „pewnych” kandydatów, którzy przepadli w głosowaniu. Na przykład w okręgu nr 97 w Wielkopolsce startujący z drugiego (a więc biorącego) miejsca Euzebiusz Basiński, wójt Kotlina, przegrał z Włodzimierzem Krzywoszyńskim, 32-letnim właścicielem ziemskim. Analogiczna sytuacja miała miejsce w okręgu nr 98. Z kolei w okręgu nr 99 mandatu nie otrzymał żaden z dwóch pierwszych, kojarzonych z sanacją kandydatów, tj. ani Stefan Rosada, ani Antoni Michalski.

Zamiana BBWR w OZON

Walki wewnętrzne w obozie władzy i napięta sytuacja międzynarodowa skłoniły prezydenta Mościckiego do rozwiązania parlamentu rok przed upływem jego kadencji. Jednak wynik przyspieszonych wyborów był znany na długo przed ich zakończeniem. Podobnie jak w 1935 r. także w listopadzie 1938 r. zwycięstwo odniosła sanacja, która jako jedyna partia wystawiła swoich kandydatów. Tym razem w miejsce skompromitowanego BBWR powołano Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZN), wprost odwołujący się do nacjonalistycznych tendencji w polskim społeczeństwie. W deklaracji ideowej ugrupowania popularnie nazywanego Ozonem przypomniano rolę Józefa Piłsudskiego w budowie polskiej państwowości oraz podkreślono znaczenie armii i dyscypliny dla dalszej pomyślności ojczyzny. Wprawdzie potępiano akty przemocy wobec mniejszości narodowych, jednak definitywnie odrzucano możliwość

równouprawnienia kulturalnego mniejszości.

Radykalizacja postaw społecznych sprzyjała władzy. Bardziej niż wysokość poparcia OZN – w końcu była to jedyna lista partyjna – liczyła się bowiem frekwencja, która tym razem podskoczyła do ponad 67%. Swoje

zrobiły zastraszenie i mobilizacja obywateli wokół obozu sanacyjnego jako jedyne go zdolnego poradzić sobie z narastającym kryzysem międzynarodowym. Mimo to kilku prominentnych działaczy OZN otrzymało zdumiewająco mało głosów, co dowodziło pewnego rozczarowania wyborców dotychczasową linią rządu.

Łagodna dyktatura, lecz dyktatura

Historycy zgadzają się, że kres demokracji w Polsce nastąpił w maju 1926 r. Późniejsze wybory miały charakter fasadowy, służąc jedynie legalizacji rządów obozu sanacyjnego. W celu osiągnięcia

jak najlepszego wyniku władza posuwała się często do drastycznych środków, takich jak zastraszanie, pobicia, a później także aresztowania i torturowanie polityków opozycyjnych. Wypada zatem zgodzić się z prof. Friszkiem, gdy mówi, że „to była dyktatura, owszem, ale nie faszystowska, choćby

Prasę opozycyjną nękaną konfiskatami czasopism, ugrupowaniom antysanacyjnym nie pozwalano rozwieszać plakatów.

Nr. 64

Nadużycia

Z uczuciem palącego wstydu drukujemy depesze poniższe. Tędy depesz nie otrzymywaliśmy dotąd, nigdy w Polsce niepodległej. Zamieszczamy je w tekście dosłownym tak, jak nadchodzą. Niech mówią same za siebie.

Pińczów, 4 marca, g. 13.40. Mętów zaufania nie dopuszczają do urn wyborczych. Administracja agnity i rozdaje numery w lokalach wyborczych. Policja terroryzuje włościan.

Okręgowy Komitet PPS.

Jest to okręg tow. Leona Wasilewskiego.

Tczew, 4 marca, g. 1.55. Na zarządzenie województwa pomorskiego policja skonfiskowała kartki wyborcze Polskiej Partii Socjalistycznej, dwójki z kropką. Zwrócone zostały po trzech i pół godzinach. „Konfiskata” kartek trwała od 10 r. do 13.30, godziny największej frekwencji głoszących.

Okręgowy Komitet PPS.

Pińczów, 4 marca, g. 9.30. Okręgowy Komitet Wyborczy wydał 4 marca rozporządzenie, że numery z kropką są nieważne. Interwencje, odpowiedzieli natychmiast.

Powiatowy Komitet PPS.

NIEOPIECZĘTOWANA URNA 118 OBWODU

Długość historii daty się w dniu wczorajszym w obwodowej komisji wyborczej Nr. 118, przy ul. Ciepłej 18. Przewodniczący otworzył głoszące w tej komisji, mimo że urna nie była zabezpieczona, lecz tylko skłobek był przewiązany w kokardkę zwykłym papierowym sznurkiem. Przewodniczącemu zwracano uwagę, iż ten rodzaj zabezpieczenia urny nie może żadną miarą uchodzić za zgodny z przepisami ordynacji wyborczej, jednakże pan przewodniczący przekonywał członków komisji i mętów zaufania, iż wszystko jest w porządku. Dopiero w godzinach popołudniowych, mając zaufania PPS, zwrócił się do OKR. PPS, domagając, iż głoszenie odbywa się od razu przy niezapieczetowanej urnie. Natychmiast ulano się do Okręgowej Komisji wyborczej na m. Warszawa, która wydelegowała swego urzędnika. W obecności którego, dopiero o godz. 16.45 popoł. p. przewodniczący przekazał na „dobre formalności” urnę opieczetowaną. Przez ów wiec blisko godzin wyborcy 118 obwodu składali głosy do urny niezapieczetowanej zamkniętej.

Krzysztof Wasilewski



unicef 

dla każdego dziecka

**Dzieci w Nigrze
umierają z głodu**

**Uratuj dziecko takie
jak 8-miesięczna Omara**

unicef.pl/niger

Marek Kowszytów

Kłęska powołań w bastionie prawicy

Kandydaci na księży szerokim łukiem omijają seminaria na Podlasiu. W tym roku zwerbowano tylko 17 chętnych

To musiał być szok dla katolickich biskupów na Podlasiu. Z bastionu PiS udało się zwerbować do tutajszych seminariów raptem 17 chętnych. To dokładnie tyle samo osób, ile rozpoczęło nowy rok akademicki u największej konkurencji katolików w Polsce, w Prawosławnym Seminarium Duchownym w Warszawie podległym polskiej Cerkwi.

Poza wyświechtanym argumentem, że dzieje się tak dlatego, iż „dezunicy”, jak pieszczotliwie mówi się o nich w katolickiej Polsce, mogą jako kapłani w pełni czerpać z doczesności, np. mieć legalne żony, niebagatelnym czynnikiem wydaje się masowy dopływ świeżej krwi z Ukrainy czy – w mniejszej skali – z Białorusi.

Takiego komfortu katolickie seminaria nie mają, bo ten model kariery zawodowej stracił na atrakcyjności, a dodatkowo swoje zrobiły „brutalna socjalizacja spod znaku ideologii LGBT”, jak twierdzi mniej więcej w tym stylu Patryk Jaki, czy filmy Wojciecha Smarzowskiego i braci Sekielskich. Tyle że to argumentacja o dużym stopniu ogólności. Warto przyrzeć się szczegółom i przywołać fakty, które każą omijać seminaria na Podlasiu szerokim łukiem.

Pedofil

16 października odbyła się inauguracja 101. roku akademickiego w Wyższym Seminarium Duchownym im. Papieża Jana Pawła II w Łomży. Homilię wygłosił miejscowy biskup Janusz Stepnowski, który poza pobożnym banałem, że „seminarzysta ma być narzędziem sprawiedliwości w dzisiejszym świecie”, przestrzegł przyszłych duchownych przed wścibstwem parafian, którzy w mig się zorientują, czy „jest on księdzem całkowicie poświęconym Panu, czy Pan jest w jego dłoniach i jego sercu, czy może staje się grobem, który nic nie może przekazać”.

Biskup, co było oczywiste dla słuchaczy, w zawołany sposób nawiązał do przyprawiającego go o ból głowy głośnego przypadku ks. Adama S., który nastolatkowi „przekazywał” własne przyrodzenie. „W bliżej nieokreślonym czasie, w okresie

od 2009 r. do 2013 r., w Grądach Woniecko, działając w krótkich odstępach czasu, w wykonaniu z góry powziętego zamiaru, kilkakrotnie doprowadził małoletniego poniżej lat 15 Tomasza R. do poddania się innym czynnościom seksualnym oraz prezentował mu wykonanie innej czynności seksualnej – informowała w ubiegłym roku Prokuratura Okręgowa w Łomży. – Nadto Adamowi S. przedstawio-

no zarzut popełnienia przestępstwa polegającego na doprowadzeniu małoletniego Tomasza R. do poddania się innym czynnościom seksualnym, za które udzielono korzyści majątkowej. Ponadto Adamowi S. przedstawiono zarzut rozpijania małoletniego”.

Jeszcze zanim śledczy postawili księdzu zarzuty, zakład karny w Grądach (powiat zambrowski), w którym Adam S. pełnił funkcję



kapelana, rozwiązał z nim za porozumieniem stron umowę o pracę. Co zastanawiające, jednym z siedmiu nowych alumnów tomżyńskiego seminarium (rok temu było ich 39) jest młody człowiek z Grądów, co świadczy o tym, że albo buja w obłokach i nic nie wie, bo pod latarnią najciemniej, albo wie i jest cynikiem, co w przyszłości pozwoli mu łatwo piąć się po szczeblach księżowskiej kariery.

Chęć studiowania w Wyższym Seminarium Duchownym w Drohiczynie zgłosił jeden kandydat. To swoisty rekord w 63-letniej historii uczelni.

Ale bardziej niż przypadek ks. Adama S. młodych, gorliwych katolików musi odpychać od tego seminarium historia tragicznej śmierci kleryka z 18 maja br. Alumn pierwszego roku z niewyjaśnionych przyczyn powiesił się na poddaszu seminaryjnego budynku, dokładnie w rocznicę śmierci Iana Curtisa, lide-

ra Joy Division, legendarnej nowofalowej kapeli przełomu lat 70. i 80., idola ówczesnej młodzieży.

Gwałtcieli

W cieniu wydarzeń z ostatniej prostej kampanii wyborczej do parlamentu umknęła sensacja z diecezji drohiczyńskiej. „Dla nowego ordynariusza drohiczyńskiego, księdza biskupa Piotra Sawczuka, było to

krotny gwałtcieli 14-latkę, skazany w ubiegłym roku na pięć lat więzienia.

Biznesmen

Z dziewięciu nowych alumnów Archidiecezjalnego Seminarium Duchownego w Białymstoku też specjalnej radości nie ma. Do szóstego roku studiów, biorąc pod uwagę statystykę, dotrwa pewnie połowa, bo choć skandali z udziałem księży w tej diecezji jak na lekarstwo, to ordynariusz diecezji, metropolita abp Tadeusz Wojda, swoimi wypowiedziami sam sku-

tecnie obrzydza myślącą młodzieży ten model edukacji. W lipcu zgodnie z jego uduchowioną sugestią hordy kiboli zaatakowały pierwszy Marsz Równości w Białymstoku, co zdenerwowało większość polskich nastolatków.

Ale wpadek białostocki hierarcha miał więcej. Wojda bowiem to biznesmen, który nie zrezygnował z planów inwestycyjnych i konsekwentnie chce posiąść kawałek cudnej leśnej przestrzeni, zwanej Lasem Turczyńskim (gmina Choroszcz), aby pobrać na niej cmentarz, zakłady kamieniarskie, domy pogrzebowe, a może jeszcze coś. Ekolodzy oraz okoliczni mieszkańcy protestują, ale wszystko wskazuje, że sprawa już jest załatwiona.

Na prawicy twierdzą, że w sprawie powołań swoje zrobiła „brutalna socjalizacja spod znaku ideologii LGBT”.

liturgicznej w seminaryjnej auli powitano wszystkich obecnych gości (wśród nich nie brakowało przedstawicieli władz samorządowych, służb mundurowych, lokalnych instytucji), gdzie odczytane zostało sprawozdanie za poprzedni rok akademicki. Następnie dokonano immatrykulacji alumna I roku. Jedynym, który zgłosił w tym roku chęć zostania księdzem, jest Maciej Mieszczyński. Pochodzi on z parafii Strabla, znajdującej się w granicach powiatu bielskiego, w gminie Wyszki”.

To swoisty rekord w 63-letniej historii tej uczelni. Ale nie ma co współczuć. We wspomnianej gminie Wyszki posługę jako wikariusz sprawował niejaki Marcin Ł., niedawny absolwent tego seminarium, kilku-

Początek tej historii sięga stycznia 2018 r. Arcybiskup wysłał wówczas pismo do burmistrza Choroszczy, aby ten jak najszybciej przystąpił do opracowania zmian w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego. Kościelny dostojnik zapewne miał już w tym czasie cichą zgodę Lasów Państwowych na wycinę, gdyż to one są właścicielem 64-hektarowej działki. Nie grał zatem *va banque*. Teraz sprawy układają się jeszcze bardziej po jego myśli, bo burmistrz gminy Robert Wardziński rozpoczął procedurę zmiany planu miejscowego „w obrębie wsi Turczyn, przy granicy Białegostoku (osiedle Nowe Miasto) i Kleosina”. Niech no tylko Greta Thunberg o tym się dowie!



Helena Leman

Gdy we wsi Nowe Stojło w gminie Suchowola pytam, gdzie mieszka 64-letnia Teresa Burnewicz, starszy mężczyzna wybuchą: – Do tej piep... chce jechać?! Za czym?! Po co?! – naciska groźnie, nie udzielając mi w końcu odpowiedzi. Gdy pukam do sołtysa, nikt nie otwiera. Drogę wskazują mi dopiero dwie kobiety pracujące w warzywniku. Mówią, że ta rodzina jest hańbą dla całej wsi. Gdy pytam dlaczego, odpowiadają, że sama zrozumieć, jak tam pojadę.

– Tego sporu nie da się opisać ani rozwiązać, z tą kobietą nie sposób się dogadać – tłumaczą. – A zaczęło się od drogi, którą jej sąsiad chciał poszerzyć, i od obcięcia gałęzi drzew, które w końcu obcięła ekipa z gminy. A teraz robią sobie na złość z tym sąsiadem i tyle. Pani jedzie, po lewej stronie jest takie zaniedbane gospodarstwo, z porozwalanymi balotami, tam oni mieszkają – dodają na odchodnym.

Większość rolników z Nowego Stojła coraz bardziej przestawia się na hodowlę drobiu, we wsi jest 16 ferm, obok drogi powstaje kolejna. W sąsiedniej wsi Piątek jeszcze więcej. Na polach, wzdłuż szutrówek, ciągną się niskie budynki, kiedy wiatr zawieje, czuć intensywny zapach. Moje rozmówczynie też mają fermę. Rodzina Burnewiczów fermy nie ma, gospodarują na 12 ha, hodując bydło.

Zaczęło się wcześniej

Przy bramie najpierw pojawia się Teresa Burnewicz, potem nadchodzi jej synowie. Najstarszy Tadeusz Adam – gospodarz, 40-letni Szczepan i o 10 lat młodszy Wojciech. Długo sprawdzają moją legitymację. Przepraszają za nieufność, ale żyją jak w oblężonej twierdzy, bo ciągle coś się dzieje. Oprócz monitoringu, założonego rok temu po pożarze, posesji pilnuje ostry pies; teraz poszczekuje zamknięty w kuchni. Rozmawiamy w pokoju, przy kawie i ciastkach.

– Wszystko zaczęło się w 1993 r., kiedy moich rodziców pobili Koreccy – mówi Szczepan Burnewicz. – Rodzice zrobili obdukcję i zgłosili sprawę na policję. Ojciec początkowo nie chciał zgłaszać, ale mama uważała, że nie wolno tego tak zostawić.



Sąsiedzki konflikt bez rozwiązania

Nikt nas nie słucha, policja tylko nam radzi, żeby nie chodzić w pojedynkę. Tak się nie da żyć – mówi nękana rodzina Burnewiczów

Kiedy sołtysiem był Grzegorz Smyk, we wsi żyło się spokojnie, była jedność i wspólnota. To się zmieniło, gdy został nim Zbigniew Korecki. W 2009 r. zażądał poszerzenia drogi kosztem naszej działki. Nie rozmawiał z nami, dowiedzieliśmy się o tym z gminy, po tym jak sołtys wystąpił do burmistrza Suchowoli z pismem o wywłaszczenie nas z 1 m szerokości działki na długości 400 m. Oznaczało to wycięcie drzew, które były dla nas źródłem opału, bo lasu nie mamy. Burmistrz odpowiedział, „że takiej możliwości nie ma”, my też nie wyraziliśmy zgody.

W 2013 r. Koreccy zaczęli budować kurniki. Sprawę tak opisywał sześć lat temu Andrzej Sabat w piśmie „Top Agrar”, w artykule „Szlaban na dojazd”: „Inwestorami są bracia Zbigniew i Łukasz Koreccy, zamierzają wybudować kurnik za 2 mln zł. Na inwestycję zgromadzili część gotówki, reszta ma pochodzić z unijnego wsparcia. Gdyby nie przeciągająca się zima, inwestycja na 30 tys. stanowisk dla brojlerów (siedem rzutów w ciągu roku) już by ruszyła. Jednak to nie

dokuczliwe śniegi spędzają sen z oczu inwestorom, ale zbyt wąski dojazd do gospodarstwa drogą gminną, która w najwęższym miejscu ma zaledwie 3,30 m szerokości”.

– Redaktor Sabat rozmawiał wtedy tylko z Koreckimi, a powinien wysłuchać dwóch stron – zaznacza Teresa Burnewicz.

Dziwne zemsty

Po odmowie poszerzenia drogi w gospodarstwie Burnewiczów zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

– W 2010 r. ktoś zawiesił metalowe pręty w naszej kukurydzy – mówi Szczepan Burnewicz. Przez to w kombajnie zniszczonych zostało 12 noży, jeden kosztuje 120 zł. To powtarzało się przez dwa lata. W 2011 r. ktoś porobił wkrętarką dziury w naszych drzewach i wlał trującą substancję w otwory. Uschło 30 drzew. Potem ktoś wlał truciznę do naszej studni, zanim brat się spostrzegł, napoił dwie krowy, jedna zdechła, w tym samym roku wylano środek chwastobójczy na nasze uprawy, a na łąkę beton

Teresa Burniewicz z synami Wojciechem i Tadeuszem.

z „gruszek”, w 2015 r. i w czerwcu 2018 r. pocięto nam folię na przymie kukurydzy i belach sianokiszonki. 25 maja 2018 r. szykowałem skoszoną trawę do belowania i zauważyłem, że na niej coś błyszczy – rozsypane szkło, było rozrzucone w ok. 40 miejscach, całe siano musiałem wyrzucić. Zadzwoniłem na policję, pies tropiący podjął ślad, wskazując, że sprawca nadszedł od strony sąsiada, Łukasza Koreckiego.

Oprócz działań ukrytych coraz częściej zdarzają się zajścia bezpośrednie. Szczepan Burniewicz pokazuje opatrzone datami zdjęcia zniszczeń i incydentów, wymienia sprawców.

– W lipcu 2015 r. zatrzymano traktor Wojciecha na drodze z Kizielan do kolonii Dryga: „Czego ty ch... tą drogą jeździsz” – zapytało trzech mężczyzn, podkreślając, że to

– Ogień zauważyłam kwadrans przed pierwszą po południu, zadzwoniłam po straż pożarną. Wiatr rozwiewał płonące kłaki słomy i przenosił je na sianokiszonkę owiniętą folią, która się topiła. Było sucho, ogień mógł dojść do zabudowań. Na ratunek, jako jedyny z wioski, przybiegł

W 2011 r. ktoś porobił wkrętarką dziury w drzewach i wlał trującą substancję w otwory. Uschło 30 drzew.

nasz sąsiad Marcin – opowiada Teresa Burniewicz.

Rolnicy, którzy mieli wówczas 50 sztuk bydła, zostali bez paszy na zimę. Nikt z Nowego Stojła im nie pomógł, nie ogłoszono też zbiórki w parafii.

Niemoc

Spraw zgłoszonych na policję i do prokuratury, jak ocenia Szczepan, jest ok. 40. Większość została umorzona.

15 tys. zł na szkodę Tadeusza Burniewicza, i w sprawie z sierpnia 2017 r., kiedy uszkodzono 14 bel sianokiszonki i 6 bel słomy na kwotę 2 tys. Wobec niewykrycia sprawcy przestępstwa 23 lipca 2018, po dwóch miesiącach od zdarzenia, umorzono też dochodzenie dotyczące zniszczenia

trawy posypanej stłuczonym szkłem. Wszystkie umorzenia zatwierdzała Prokuratura Rejonowa w Sokółce.

Tymczasem nękanie nie ustaje. W listopadzie 2018 r. powyrywano Burniewiczom kolejne drzewa, a 12 listopada 2018 r. o godz. 3.40 nad ranem obrzucono ich posesję kamieniami, wybijając szybę w samochodzie. 20 maja i 18 września 2019 r. nastąpiły podobne zdarzenia. W czerwcu tego roku poprzyskano środkiem chwastobójczym pół hektara ich pszenżyta.



W sierpniu 2018 r. w gospodarstwie Burniewiczów wybuchł pożar. Rolnicy zostali bez paszy na zimę. Nikt z Nowego Stojła im nie pomógł, nie ogłoszono też zbiórki w parafii.

„obywatelskie zatrzymanie”. O sprawie napisały „Nowiny Sokólskie”. Na tej samej drodze rok wcześniej, wiosną, zaatakowano Wojciecha, gdy jechał samochodem, walono pięściami w maskę. Jednego roku sianowaliśmy na „klinku” – opowiada Szczepan. – Podjechał nasz sąsiad i zapytał mojego brata: „Tadeusz, kiedy mam tobie głowę rozszczępić?”. Rzucał też kamieniami w kosiarkę.

23 sierpnia 2018 r. w gospodarstwie Burniewiczów wybuchł pożar. Zniszczeniu uległo 500 bel słomy i 200 bel sianokiszonki, straty oceniono na kwotę 70 tys. zł.

Sprawę pożaru, czyli czyn z art. 288 par. 1 Kodeksu karnego umorzono 14 lutego 2019 r., choć powołany biegły stwierdził podpalenie. Pod pismem zatwierdzonym przez Prokuraturę Rejonową w Sokółce podpisał się asp. sztab. Wojciech Piwowarczyk z Dąbrowy Białostockiej. Większość spraw prowadziła ta jednostka policji. Powód umorzenia: „niewykrycie sprawcy przestępstwa”.

To samo uzasadnienie powtarza się w innych sprawach, np. w sprawie pocięcia folii na przymie z kukurydzą i na 35 belach z sianokiszonką w maju 2018 r., co spowodowało straty

W sierpniu na złożonych po żniwach balach słomy ktoś umieścił lupę, żeby wywołać pożar.

– Przeważnie przyjeżdżają nad ranem, po łapanie kurczaków. Wszystkie nagrania z kamer monitoringu przekazałem organom ścigania, podałem też nazwiska rozpoznanych osób – mówi Szczepan Burniewicz. – Nikt nas nie słucha, policja tylko nam radzi, żeby nie chodzić w pojedynkę, tak się nie da żyć.

Dziwna niemoc organów ścigania zastanawia. Krążą plotki, że Łukasz Korecki ma mocne plecy gdzieś wysoko i policji się nie boi. Tymczasem

► Burnewiczowie próbują szukać pomocy poza wymiarem sprawiedliwości.

Poszliśmy do mediów w ostateczności

Tadeusz Burnewicz pokazuje mi pismo, które wysłał 7 stycznia 2019 r. do Rzecznika Praw Obywatelskich, odpowiedź nie nadeszła do dziś. Szczepan Burnewicz jeździł też do proboszcza w Chodorówce i prosił, by na mszy chociaż metaforycznie potępił praktyki sąsiada i jego kompanów.

– Usłyszałem od księdza: „Z głodu nie pomieracie, a od tych spraw jest policja i prokuratura” – mówi Szczepan. – Boimy się pożaru, śpimy w ubraniach. Dziesięć lat temu poszło o drogę, a o co teraz chodzi, już zupełnie nie wiemy. Do mediów poszliśmy w ostateczności, doradziła nam to pewna osoba.

24 września 2019 r. w reportażu Pawła Kaźmierczaka „Czy ktoś nas usłyszy” („Ekspres Reporterów”), oprócz rodziny Burnewiczów wystąpił mieszkaniec Suchej Góry, który twierdził, że ten sam mężczyzna, który nęka rodzinę z Nowego Stojła, zniszczył mu kombajnem warzywnik. Zwrócił mu uwagę, a kilka dni po tym spłonął jego samochód. Po jakimś czasie sprawca wrócił i chciał podpalić dom, mężczyzna przytapał go i rozpoznał. Sprawę jednak umorzono.

– Każdy się boi, to jakiś niepoczytalny człowiek – mówią w reportażu ludzie z Suchej Góry, a ci z Nowego Stojła stwierdzają ogólnikowo: – Nie chcemy się mieszać, bo to są bardzo brzydkie sprawy.

7 października program o sąsiedzkim konflikcie w Nowym Stojle nagrywa „Uwaga!” TVN. Jest ostro, padają mocne słowa. Podczas nagrania obecni są sędzia i pani psycholog. Kiedy psycholożka zwraca uwagę, że źródłem konfliktu jest trzymanie się utartych przekonań i uraz z przeszłości, że zamiast oskarżania, lepiej słuchać się nawzajem, Łukasz Korecki komentuje, że „mówi bzdury”.

Oczernili mnie przed całym światem

W wypowiedzi zamieszczonej w reportażu Pawła Kaźmierczaka mężczyzna podkreśla, że „o nękanii rodziny wie bardzo mało, a wszystko, co miał



Samochód obrzucono kamieniami.

do wyjaśnienia, wyjaśnił na policji”. – Ja z tą sprawą nie mam żadnych powiązań – zaznacza Korecki.

Jednak w rozmowie ze mną szeroko odnosi się do tej kwestii.

– Rodzina Burnewiczów taka święta nie jest, jak się przedstawia – mówi. – Nazywają mnie bandytą, oczernili mnie przed całym światem, lecz ja nigdy nie zostałem skazany prawomocnym wyrokiem, a Wojciech Burnewicz tak. Za pobicie mnie w 2016 r. dostał

Oprócz działań ukrytych coraz częściej zdarzają się ataki bezpośrednie.

karę ośmiu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata. Oprócz tego został skazany za składanie fałszywych zeznań. Czemu wieś się odsuwa od nich? Bo cwaniakują. Mają niezapłacone należności sprzed ośmiu lat, za usługi, za zboże, a ostatnio za słomę. Nikt z okolicy już słomy im nie da, teraz muszą jeździć nawet 30 km za Sokółkę, żeby trafić na naiwnego. Kto wie, może spalili się sami, żeby grać na ludzkich uczuciach i zbierać pieniądze po parafiach, a teraz może i przez telewizję. Pewnie wymyślili sobie taki sposób na życie. Dokuczają wszystkim. Ich ulubiony numer to 997, jak ktoś przejedzie bez świateł czy zapiętych pasów, już dzwonią.

Podczas pożaru Kornacki był w Białymstoku. O pobiciu Burnewiczów w 1993 r. nic nie wie, miał wtedy trzy lata. – A zawiesić pręty w kurydzy, zatruć studnię czy zniszczyć siano mógł każdy, oni mają wielu wrogów – dodaje. Bez szerokiej drogi się obejdzie, przez sześć lat przejechało ich ponad tysiąc tirów do jego

fermy i jakoś dały radę. A warzywnika nie zniszczył.

– Jak to? – dziwię się. – Ten człowiek pana rozpoznał.

– W takim razie powinienem zostać przesłuchany.

Kornacki zapowiada, że nie daruje Burnewiczom tego oczerniania, pójdzie do sądu. A grupa rolników złożył pozew zbiorowy o odzyskanie należności. Nowy sołtys zaś, kolega Koreckiego, zgłosił pobicie przez

Teresę Burnewicz, gdy ostatnio rozwoził pisma w sprawie zmian opłat za śmieci. Wojtko to Kornackiemu nawet trochę żal, kumpłowali się, razem jeździli autobusem do szkoły rolniczej w Janowie, ale po szkole wszystko się odwróciło, bo matka przejęła nad nim kontrolę.

Na potwierdzenie przysłał mi skany wyroków. Pobicie, za które zostali skazani Wojciech Burnewicz i jego matka, zdarzyło się 1 lutego 2016 r., a wyrok zapadł 23 grudnia 2016 r. Oboje zostali skazani na osiem miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata, do tego doszły koszty procesu i nawiazka łącznie ponad 4 tys. zł. W lipcu 2015 r. było fałszywe zeznanie Wojciecha Burnewicza dotyczące niezapiętych pasów u Łukasza Koreckiego i jego dwóch kolegów, a już 23 listopada odbyła się rozprawa. Wyrokiem z 25 października 2016 r. zasądzone mu sześć miesięcy ograniczenia wolności z obowiązkiem wykonywania pracy na cele społeczne, a na rzecz każdego z trzech oskarżycieli posiłkowych kwoty 1230 zł tytułem zwrotu kosztów ustanowienia w sprawie pełnomocnika. Do tego doszło 300 zł

nawiązki i 190 zł kosztów sądowych. Tymczasem sprawy z zawiadomienia Burnewiczów są umarzane albo się ciągną.

Żeby nie doszło do tragedii

Szef prokuratury w Sokółce Artur Kuberski w reportażu Pawła Kaźmierczaka mówi, „że są pewne poszlaki, ale to za mało, żeby cokolwiek zrobić, sprawę pogłębiamy”. Gdy po miesiącu pytam prokuratora Kuberskiego o postęp, informuje: „Obecnie prowadzone są postępowania na szkodę jednej z rodzin. Te postępowania prowadzone są w sprawie”.

Sekretarz gminy Suchowola, dodaje, że przydałby się dobry mediator, lecz po programie „Uwaga!” widać, że woli do pogodzenia brak. – Nikt, żadna instytucja nie próbowała nas godzić – dodaje Wojciech Burnewicz.

Burmistrz gminy Grzegorz Matyskiel mówi, że po pożarze rodzina otrzymała zapomogę i została zwolniona z podatku. A spór między dwoma sąsiadami to sprawy prywatne,

które nie należą do naszych kompetencji – podkreśla.

– To się nasila – mówi mieszkanka Kizielan, która prosi o anonimowość. – Ta droga to był tylko pretekst. A teraz wyszły jeszcze jakieś naleźności. Nic jednak nie usprawiedliwia prześladowania i przemocy. Pobito brata Teresy Burnewicz, starszego człowieka, miał złamaną nogę. Zmarł niedawno. Szczepan został napadnięty na drodze i ze wstrząśnieniem mózgu trafił do szpitala. I co? Żadnej reakcji. Ci ludzie są wyczerpani psychicznie i przestają nad sobą panować. Ktoś musi to w końcu przerwać, bo inaczej dojdzie do tragedii.

Rolnik, z którym rozmawiam na polu, gdzieś pod Goniądzem, mówi, że takie zemsty jak wieszanie prętów w kukurydzy, rozsypywanie szkła czy przecinanie folii na sianokiszonce do rzadkości nie należą. – Dlaczego ludzie to robią? – pytam. – Ze złośliwości i zawiści – odpowiada. Ktoś kupił sobie nowy ciągnik, drogi kombajn, wymienił samochód na lepszy i już jest powód. Wieś

teraz goni za pieniądzem bardziej niż miasto, staby się nie liczy, nie ma już jedności.

W połowie października tego roku pojawia się informacja, że pod Kościerzyną „tajemniczy śrubiarz terroryzuje rolników, policja obawia się samosądu”. Na sprawcę, który oprócz zawieszenia śrub na kolbach rozrzucał w kukurydzy również szkło, zostały zastawione zasadzki i fotopułapki, lecz śrubiarz pozostaje nieuchwytny. Podobne zdarzenia zanotowano też w tym roku w województwie warmińsko-mazurskim.

Wojciech Burnewicz twierdzi, że przyczyną konfliktu z Koreckimi jest zazdrość. Gdy pytam o to Łukasza Koreckiego, nie odpowiada.

PS Niedawno Rodzina Burnewiczów otrzymała kolejne umorzenie za najście 12 listopada 2018. Powód – niewykrycie sprawców, chociaż przedstawili nagranie z monitoringu, które pojawiło się także w „Ekspresie Reporterów”.

Helena Leman

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!

STODOLA MORE THAN JUST MUSIC



**KASIA
KOWALSKA**

10.11 | STODOŁA, WARSZAWA



**PIWNICA
POD BARANAMI**

24.11 | STODOŁA, WARSZAWA



DŻEM

06.12 | STODOŁA, WARSZAWA
07.12 | STODOŁA, WARSZAWA



**MAZOLEWSKI
PORTER**

08.12 | STODOŁA, WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA
(ul. Batorego 10, Warszawa)

Bodo Ramelow świętował wynik wyborów z żoną Germaną Alberti vom Hofe i z liderkami Lewicy: Katją Kipping oraz Susanne Hennig-Wellsow.



Laboratorium demokracji

Lewica uzyskała w Turyngii najlepszy wynik w swojej historii, ale populiści dalej rosną w siłę

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Ostatnie wybory lokalne w Turyngii to kolejne ogniwo łańcucha wydarzeń skutkującego zmierzchem tradycyjnych partii ludowych. W SPD i CDU od lat trwają zawirowania, na czym skorzystały inne partyjne ugrupowania. Chadeacy, którzy w Turyngii wygrywali niezmiennie od 1990 r., uzyskali tym razem najgorszy wynik w swojej historii (21,8%). Wyprzedziła ich populistyczna Alternatywa dla Niemiec (AfD), która stała się drugą siłą w landtagu (23,4%) i z kontrowersyjnym czołowym kandydatem Björnem Höckem zdołała nawet podwoić wynik w porównaniu z 2014 r. Zwycięzcą wyborów w Turyngii została Lewica dotychczasowego premiera Bodo Ramelowa (31%), która wprowadziła pięć lat temu przegrała z chadekami, ale nie dopuściła ich do władzy, zyskawszy większość w sojuszu z SPD i Zielonymi.

A jednak to, że Ramelow jako pierwszy premier z ramienia Die Linke przekonał przez ostatnie pięć lat rządzenia najwięcej turyngińskich

wyborców, uzyskawszy dla partii najlepszy wynik w jej historii, nie rozwiązuje patowej sytuacji. Sukces AfD oraz złe rezultaty SPD (8,2%) i Zielonych (5,2%) sprawiają, że lewicowy rząd nie będzie miał niezbędnej większości. Turyngię czekają długie rozmowy na temat utworzenia koalicji.

Odsłonięte flanki

Niezależnie od tego szef klubu Die Linke w Bundestagu Dietmar Bartsch mówi o historycznym zwycięstwie, nadal utrzymując, że Ramelow zdoła utworzyć stabilny rząd. W istocie, aby nie dopuścić AfD do władzy, dochodzi ostatnio w lokalnych rządach do egzotycznych sojuszy. W Brandenburgii, gdzie populiści na początku września osiągnęli prawie identyczny wynik jak w Turyngii, dotychczasowy premier Dietmar Woidke utrzymał władzę dzięki zawarciu „koalicji ke-nijskiej” (od kolorów flagi tego kraju) z Zielonymi i CDU. Natomiast Ramelow rozważa nawet utworzenie „gabinetu Zimbabwe”, czyli z SPD, CDU, FDP i Zielonymi. W lokalnym rządzie Turyngii znalazłyby się wszystkie partie oprócz AfD. Przed wyborami czo-

łowy kandydat CDU Mike Mohring wykluczał wprowadzenie współpracy z Lewicą, ale zdecydował się na rozmowy z Ramelowem. Sam premier jest spokojny, bo nie ma terminu, do którego musi powstać nowy rząd. 63-letni Ramelow będzie sprawował funkcję tak długo, aż nie zostanie wybrany nowy rząd bądź jego następca. „Rządziliśmy swobodnie przez ostatnie pięć lat i obiecuję wyborcom, że tak pozostanie przez kolejne pięć”, mówił w wywiadzie dla ARD.

Ramelow opowiada się za podtrzymaniem dotychczasowej koalicji z SPD i Zielonymi, dlatego niewykluczone, że zaproszeni do rządu chadeacy i liberałowie będą musieli się zadowolić pozycją młodszych partnerów. Czy na to się zgodzą? Przed wyborami CDU i FDP atakowały Lewicę z każdej odsłoniętej flanki, krytykując ją za błędną politykę oświatową i energetyczną oraz za rzekome zaniedbanie bezpieczeństwa wewnętrznego. „Tak, to wszystko prawda, ale powyborcza sytuacja wymaga nowych odpowiedzi, a CDU na pewno będzie zabiegała o to, by powstał stabilny rząd”, powtarza dziś Mohring. „Turyngia staje się laboratorium dla

partyjnej demokracji podczas dramatycznych przemian. Chodzi też o to, jak otwarty i pluralistyczny nasz kraj chce pozostać”, wtóruje mu dziennik „Nürnberger Nachrichten”. Zresztą *gros* niemieckich mediów krzepi się przeświadczeniem, że najważniejszym przesłaniem wyborów nad Gerą jest miążdzące zwycięstwo Die Linke. „Słaba w innych landach Lewica zawdzięcza wyborcze zwycięstwo wyłącznie Bodo Ramelowowi”, orzeka magdeburska gazeta „Volksstimme”.

Pragmatyczny premier

Pierwszy premier z ramienia Lewicy jest w swoim kraju związkowym niezwykle popularny. Ramelow uchodzi za skutecznego samorządowca, który zauważa, że więcej zysków może przynieść kompromis niż stawianie spraw na ostrzu noża. W najmniej sprzyjającym wariantcie nie wyklucza rządu mniejszościowego, który jednak byłby narażony na ostrzał ze strony AfD. Trudno też w każdej kwestii liczyć na poparcie upokorzonych chadeków. Ambitna polityka premiera będzie teraz wymagać znacznie większej elastyczności i chodzenia opłotkami.

wydobyć ani jednego złego słowa o premierze. Ciekawe zresztą, że Ramelow – szef rządu wschodniego landu i jeden z liderów postkomunistycznej Lewicy – pochodzi wcale nie z NRD, lecz z Dolnej Saksonii, znanej głównie z rozwiniętych związków zawodowych. Był działaczem jednego z nich i dlatego ma trzeźwe podejście do gospodarki. Odkąd zasiadł w erfurckim ratuszu, nie obnosi się zbyt nio z tym, że jest politykiem Die Linke. Na pytanie, czy zgadza się z partyjnymi kolegami chcącymi wywłaszczyć bogatych właścicieli nieruchomości, odpowiada zwięźle: „Nie, wolę budować nowe mieszkania, to zdecydowanie bardziej odpręży sytuację”.

Doktryna politologa prof. Wernera Patzelt, zgodnie z którą kryzys SPD i CDU wzmacnia lewicowych radykałów oraz ultrapravicę, w Turynii się nie sprawdza. Ramelow radykałem nie jest.

Zmiana kursu

Pragmatyczność zmusza Ramelową do łagodzenia zbyt radykalnych stanowisk Lewicy i zmierzania ku centrum ze stopniowym zdobywaniem liberalno-konserwatywnego

nym. Tyle że Lewica musiałaby nieco zmienić kurs, zastępując wyznawców leninizmu elastycznymi politykami jak Bodo Ramelow. Nastawienie musiałoby też zmienić niektóre niemieckie lewicowe media, które dotąd skupiały się na krzewieniu nadziei związanych ze skonsolidowaniem socjaldemokratycznego elektoratu, a nie z przejęciem przestrzeni tradycyjnie wrogiej Lewicy. Die Linke utrzymała bowiem supremację w Turynii głównie dzięki temu, że kontynuowała tam politykę finansową godną Wolfganga Schäublego. Pod rządami Ramelowa wschodniemiecki kraj związkowy wyszedł z ogromnych długów, i to przy dużych wydatkach na oświatę, infrastrukturę oraz bezpieczeństwo. Krótco przed objęciem przez Ramelową urzędu premiera w 2014 r. ówczesny prezydent RFN Joachim Gauck powątpiewał, że można to stanowisko powierzyć politykowi z Die Linke. Dziś była głowa państwa namawia chadeków, aby pomyśleli o koalicji z pragmatycznym Ramelowem.

Sam premier i jego koledzy pozostają oczywiście zwolennikami czerwono-czerwonego sojuszu z SPD. Tyle że socjaldemokraci biją obecnie rekordy niepopularności. W Turynii

SPD uzyskała zaledwie jednocyfrowy wynik, a kiedy wiosną 2017 r. postanka Marion Ro-

sin opuściła swoją partię i zbiegła do CDU, rząd Ramelowa niemal stracił większość. Wyborcy o tym nie zapominają.

SPD w konwulsjach

Niemieccy socjaldemokraci są więc znów w okresie powyborczych konwulsji i walk o przywództwo, które mogą ich sparaliżować na wiele miesięcy. Liderzy SPD regularnie wywołują w swoich wyborcach poczucie zagubienia, bo mimo kolejnych druzgocących klęsk bombardują ich triumfalnymi pohukiwaniami. Politycy SPD mają mnóstwo sposobów wypierania porażek. Tymczasem ich wynik w Turynii okazał się najgorszym, jaki kiedykolwiek przyszedł im przełknąć. Ostatnią nadzieją są wyznaczone na 2020 r. wybory w Hamburgu, uchodzącym za bastion SPD. W ostatnich dniach socjaldemokraci rozpaczliwie próbowali wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu, bo

Bodo Ramelow opowiada się za podtrzymaniem koalicji z SPD i Zielonymi.

Mimo to Ramelow ma kilka powodów do radości. Ponad 60% mieszkańców Turynii opowiada się za obecnym szefem rządu. Według sondażowni Infratest dimap jedna trzecia wyborców CDU jest zadowolona z rządów lewicowego polityka. Jak to możliwe?

„W ostatnich 30 latach Ramelow był pierwszym premierem, który odwiedził nasz zakład”, podkreśla Karsten Stelzner, właściciel piekarni w Erfurcie. Kiedy jednak w 2014 r. lider Lewicy przejął tekę szefa rządu, głównie drobni przedsiębiorcy wyrażali oburzenie. Ich emocje ostudziło to, że Ramelow wykreował się na gwaranta kontynuowania polityki chadeckich poprzedników. Z tą różnicą, że okazał się lepszy w kontaktach ze zwykłymi ludźmi. Odwiedził setki lokalnych firm, tam gdzie trzeba, osobiście zapewniając pomoc. Gdy w kwietniu wybrał się z delegacją przedsiębiorców do Wietnamu, podróżujący z nimi dziennikarze nie mogli od nich

elektoratu jako bonusem. Występami w mediach premier Turynii regularnie ściągą na siebie krytykę partyjnych kolegów, ale ci dobrze wiedzą, że bez niego nie mieliby w tym landzie takiego poparcia. Dlatego tolerują jego liberalne wybryki, godząc się również na plakaty wyborcze Ramelowa bez logo Lewicy. On sam utrzymuje, że jego ugrupowanie powinno zdjąć z siebie wreszcie odium „postkomunistycznego szwarczaka”, jeśli chciałoby kiedyś naprawdę rządzić na szczeblu federalnym. „Znaczenie naszej partii rośnie, gdy uprawiamy *Realpolitik*, a nie gdy odgrywamy rolę opozycyjnej marudy”, zapewnia premier.

Nie można jednak powiedzieć, że Ramelow odcina się od partii. Odwojował dla niej Turynię, ale martwi się, że na jego sukcesie kładą się cieniem porażki Die Linke w innych landach. Tymczasem jego lokalna popularność pobudza oczywiście do myślenia o udziale w rządzie federal-

► partia szuka właśnie nowych szefów, którzy odmieniają jej oblicze.

Po złych wynikach w majowych wyborach do parlamentu regionalnego w Bremie i Parlamentu Europejskiego ze stanowiska przewodniczącej ugrupowania i klubu w Bundestagu zrezygnowała Andrea Nahles. Od tego czasu SPD była zarządzana kolegiąlnie przez troje przewodniczących: Malu Dreyer, Manuelę Schwesig i Thorstena Schäfera-Gümbela, jako że nie znalazł się nikt, kto tak szybko podjąłby się misji podźwignięcia partii z sondażowego dołka. A gdy Schwesig zrezygnowała ze stanowiska z powodu problemów zdrowotnych, Schäfer-Gümbel zaś przyjął inną intratną posadę, na fotelu komisarzycznego szefa partii pozostała jedynie Dreyer. Przy czym nie brakuje wyborców, którzy chcieliby, aby skromna i popularna premier Nadreń-Palatynatu na nim pozostała. Niestety, odmówiła, zresztą dzień przed wyborczym dramatem w Turynii członkowie SPD wskazali w listowym głosowaniu innych kandydatów.

Na pierwszym miejscu uplasował się minister finansów Olaf Scholz (wraz z Klarą Geywitz), który jednak nie zdobył większości zapewniającej zwycięstwo w pierwszej turze. Ale nawet jeśli – z niemałą dozą prawdopodobieństwa – zwycięży w drugiej, nie zacznie kadencji na fali poparcia. Obecny wicekanclerz jest bowiem zbyt silnie kojarzony z targaną konfliktami Wielką Koalicją, działającą na wielu wyborców jak płachta na byka. Ostatni lokalny plebiscyt jest więc poważnym sygnałem dla federalnej

SPD, co unaoczniają liczby obrazujące przepływy wyborców – ok. 7 tys. osób powędrowało do AfD, zwłaszcza w Turynii ugrupowania radykalnego.

Kontrowersyjny frontman

Prawie co czwarty wyborca w Turynii postawił krzyżyk przy AfD, a tym samym przy jej skrajnie nacjonalistycznym odłamie Der Flügel (Skrzydło), który znalazł się na celowniku Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV). Jego frontman Björn

W przeszłości można było odnieść wrażenie, że po każdym ataku na Höckego AfD zyskiwała w sondażach. Uznano więc, że trzeba Höckego pomijać. Ta strategia może jednak się okazać najbardziej brzemiennym w skutki wspomnieniem z ostatniej kampanii wyborczej. Media nie chciały robić populiście reklamy, lecz uporczywie ignorowanie jego osoby zemściło się falą irytacji nieprzekonanego elektoratu i czymś, czego chciało uniknąć – awansem AfD na drugą siłę polityczną w landtagu.

Turyngię czekają długie rozmowy na temat utworzenia koalicji.

Höcke od lat budzi w RFN kontrowersje, np. krytykując berliński pomnik ofiar Holokaustu bądź świadomie używając w przemówieniach słów brzmiących w niemieckich uszach złowrogo (np. *Lebensraum* – przestrzeń życiowa albo *Umvolkung* – zmiana składu etnicznego społeczeństwa). Niemniej jednak (lub może właśnie dlatego) udało mu się przekonać wielu nieprzekonanych. Frekwencja wyborcza wyniosła ok. 66%, była więc znacznie wyższa niż w 2014 r., kiedy do urn poszło niespełna 53%. Uprawnionych do głosowania było 1,7 mln osób, z czego 75 tys. głosowało po raz pierwszy. Już przedwyborcze sondaże zwiastowały ogromny przyrost zwolenników populistów. Niektórzy komentatorzy zastanawiają się, i słusznie, czy dotychczasowa marginalizacja AfD w mediach była najlepszym sposobem na zwabienie jej wyborców do innych partii.

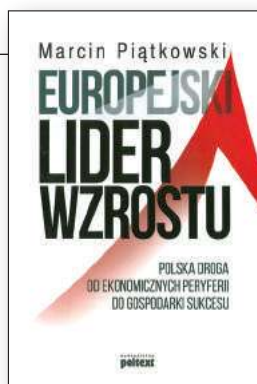
Z drugiej strony, kiedy główne niemieckie media starały się uzyskać wywiad z Höckem, ten często odmawiał, reagując sztucznym oburzeniem. Ostatnio zaś w telewizji ZDF zarzucił dziennikarzom rażącą stronniczość. „Gdy zostanę premierem Turynii, w 2020 r. wydalimy z landu wszystkich imigrantów, którzy obciążają nasz system socjalny. Osobiście pożegnaj każdego z nich na lotnisku w Erfurcie”, obiecywał zachwyconym ludziom na wiecu wyborczym. Jego przemówienia są łudząco podobne do tyrad neonazistów, z których zresztą wielu właśnie dlatego powędrowało do AfD, pozbawiając tym samym lokalną NPD racji bytu. To głównie dlatego inni prominentni politycy jego partii (jak choćby Alexander Gauland, Jörg Meuthen czy Alice Weidel) niechętnie pozowali z nim do zdjęć. Choć już po ogłoszeniu wyników w Turynii media społecznościowe obiegiło zdjęcie, na którym czoło AfD bez większych zahamowań świętuje z Höckem jego wiktoryę. Najszczerzej wypowiedziała się na temat triumfu AfD była szefowa Centralnej Rady Żydów w RFN Charlotte Knobloch, która ostrzegała przed upadkiem kultury demokratycznej. „W naszym systemie politycznym coś całkowicie wymknęło się spod kontroli”, stwierdziła. Na razie partia Höckego wciąż nie jest istotnym sworzniem ogólnokrajowej politycznej maszyny. Pozostaje mieć nadzieję, że nerwowe uciekanie czołowych partii w kolejne egzotyczne sojusze nie sprawi, że w następnych lokalnych wyborach AfD uzyska samodzielną większość.

KSIAŻKA

JAK ZMIENIAŁA SIĘ POLSKA GOSPODARKA

Największą wartością książki Marcina Piątkowskiego jest nowatorski opis drogi, która doprowadziła nas do „nowego złotego wieku”. Wrażenie robi zdystansowane po-traktowanie historii dwóch poprzedniczek III RP, czyli Polski międzywojennej oraz PRL. Ich portret daleki jest od prze-filtrowanych przez polityczne sympatie (antykomunizm, mit piśsudczykowski) opisów znanych z bieżącej publicystyki ekonomicznej. Piątkowski analizuje polską gospodarkę w XX w. za pomocą innowacyjnych narzędzi dostarczanych przez najciekawszych ekonomistów. Pokazuje też, że dopiero PRL przygotował niezbędne inwestycje w kapitał ludzki, które pozwolą na ekonomiczny skok w czasach III RP.

Rafał Woś, „Dziennik Gazeta Prawna”



Marcin Piątkowski, *Europejski lider wzrostu. Polska droga od ekonomicznych peryferii do gospodarki sukcesu*, Poltext, Warszawa 2019

Wojciech Osiński

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

Dzielski – kim był?

Mirosław Dzielski, którego kolejną rocznicę śmierci przyjaciele właśnie obchodzili, zajmował szczególne miejsce w ruchu opozycyjnym i nasuwa się pytanie, do jakiej partii, nurtu politycznego lub jakiej odmiany religijności należałby dziś, gdyby nie przedwczesna śmierć. Według mojego rozeznania tylko kilka publicznie czynnych osób może uchodzić za kontynuatorów jego politycznych, a można dodać też: filozoficznych poglądów.

Ustrój, jaki panował w Polsce Ludowej i innych państwach opianowanych przez Związek Radziecki, jak też w samym Związku Radzieckim w szczególności, wywodził się z rewolucji bolszewickiej. Rewolucja ta była

z czasem jednak się wyklarować. Przewagę zdobyli ludzie o mentalności bolszewickiej, jak ich z małą przesadą określano, których celem było (i jest) karanie i poniżanie ludzi biorących udział w odbudowie Polski, w jej uprzemysłowieniu, w rozszerzeniu edukacji na całe społeczeństwo. Kontrrewolucja „bolszewicka” ze szczególną zajądłością zwróciła się przeciw wojsku, co czynią nie prawdziwe kontrrewolucje, lecz wszystkie rewolucje. Do jakiego stopnia ludność uległa tej psychozie, świadczy fakt, że do dziś nie podniosły się na większą skalę głosy oburzenia, gdy rewolucyjna kontrrewolucja wprowadziła praktyki dyskryminujące i poniżające wojska obrony granic i wszystkich oficerów służących w armii Polski Ludowej, w czym widać jeden z przejawów przekreślenia państwa, jakie rewolucja – kontrrewolucja zastała.

Programem Dzielskiego było skierowanie zainteresowań opozycji na zagadnienia ekonomiczne, co dawało nadzieję na zepchnięcie nurtu rewolucyjnego na dalszy plan.

obiektem czci, wzorów postępowania politycznego i nie tylko politycznego. Nawet gdy rewolucyjne wzory postępowania w praktyce przestały być obowiązujące, bo niemożliwe, to sama rewolucja pozostawała do końca obiektem czci. Wróg był rozpoznawalny jako kontrrewolucjonista i największa czujność aparatu kontroli myśli była skierowana na przejawy myślenia kontrrewolucyjnego. Mit rewolucji i utopia komunistyczna rządziły najpierw w sposób tyrański, a następnie w sposób mniej tyrański na całym obszarze panowania radzieckiego. Z czasem sposób rządzenia złagodniał i nie był tyrański, ale tyrania charakteryzuje się nie tylko sposobem rządzenia, lecz także nieprawowitością pochodzenia władzy, jak twierdzili scholastycy. W tym drugim sensie ustroje pochodzenia radzieckiego były tyraniami do końca swojego istnienia, ponieważ władza do końca była nieprawowita, nawet wtedy gdy działała łagodnie, jak w Polsce.

Polska jest doskonałym terenem obserwacji, jak łagodna tyrania rewolucyjnego pochodzenia zostaje obalona przez kontrrewolucję.

Istnieją dwa rodzaje kontrrewolucji. Jedna obala zły ustrój, aby wprowadzić liberalny porządek prawny, i druga, która jest w istocie rewolucją przeciwnie skierowaną. W Polsce początkowo obie te kontrrewolucje wywołane przez Solidarność były ze sobą zmieszane, podział był nieklarowny,

z czasem jednak się wyklarować. Przewagę zdobyli ludzie o mentalności bolszewickiej, jak ich z małą przesadą określano, których celem było (i jest) karanie i poniżanie ludzi biorących udział w odbudowie Polski, w jej uprzemysłowieniu, w rozszerzeniu edukacji na całe społeczeństwo. Kontrrewolucja „bolszewicka” ze szczególną zajądłością zwróciła się przeciw wojsku, co czynią nie prawdziwe kontrrewolucje, lecz wszystkie rewolucje. Do jakiego stopnia ludność uległa tej psychozie, świadczy fakt, że do dziś nie podniosły się na większą skalę głosy oburzenia, gdy rewolucyjna kontrrewolucja wprowadziła praktyki dyskryminujące i poniżające wojska obrony granic i wszystkich oficerów służących w armii Polski Ludowej, w czym widać jeden z przejawów przekreślenia państwa, jakie rewolucja – kontrrewolucja zastała.

Dzielski był antykomunistą w sensie ścisłym, uważał, że łagodniejąca tyrania (niemniej istniejąca) nie opiera się na wojsku, lecz na ideologii. Uważał on, że przeciwnik komunizmu może wchodzić w porozumienia z ludźmi aparatu władzy, ale zdradą jest czynienie ustępstw ideologii komunistycznej. Trzeba o tym wiedzieć, jeśli się chce zrozumieć jego stanowisko z wczesnej działalności opozycyjnej. Na ugrupowania „opozycji demokratycznej” patrzył pod tym kątem: które z nich będzie czysto polskim bolszewizmem, a które chce walczyć o prawo i wolność. W tych rozpoznaniach niekiedy się mylił, ale to inne zagadnienia. Programem Dzielskiego było skierowanie zainteresowań opozycji na zagadnienia ekonomiczne, co dawało – jego zdaniem – nadzieję na zepchnięcie nurtu rewolucyjnego na dalszy plan.

Mirosław Dzielski pozostawił wielu przyjaciół, ale niewiele kontynuatorów swojego sposobu myślenia.

E-prenumerata PRZEGLĄDU
to wybór,
który się opłaca

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wojciech Ganczarek Korespondencja z Ameryki Południowej

Jeszcze na początku października prezydent Chile Sebastián Piñera zapewniał, że jego kraj to oaza spokoju i dobrobytu. Niecałe dwa tygodnie później w stołecznym Santiago płonęły autobusy, instytucje publiczne i kilkadziesiąt stacji metra. W największych miastach wprowadzono godzinę policyjną, mimo to na ulicę wyszło ponad milion obywateli. Co się dzieje w Chile?

Jeśli oprzeć się na liczbach i statystykach, mało kto mógłby się spodziewać tam niepokoju. Według danych Banku Światowego Chile może się pochwalić drugim po Urugwaju PKB w Ameryce Łacińskiej – ok. 16 tys. dol. na osobę, czyli nieco więcej niż w Polsce i dwa lub nawet trzy razy więcej niż w innych krajach regionu, takich jak Kolumbia czy Gwatemala. Do tego dochodzą systematyczny wzrost gospodarczy, przychylna opinia rynków finansowych i stabilność instytucjonalna. Ale najwyraźniej suche dane gospodarcze to nie wszystko, skoro nieznaczna korekta cen biletów komunikacji miejskiej doprowadziła do protestów, których bilans w momencie pisania tego artykułu to 19 ofiar śmiertelnych, 600 rannych i 3-6 tys. zatrzymanych.

– Tu nie chodzi o tę podwyżkę – twierdzi Catalina Moya Catalán, chilijska dziennikarka specjalizująca się w ochronie środowiska – podwyżka była tylko kroplą, która przelała czarę.

Rosnący gniew

4 października władze ogłosiły podwyżkę ceny biletów metra – z 4,25 zł do 4,40 zł (wszystkie kwoty podajemy w przeliczeniu na złotówki – red.). Dokładnie tyle kosztuje bilet 75-minutowy w Warszawie, jednak warszawiacy mają do dyspozycji bilety miesięczne i kwartalne, które znacznie obniżają koszty podróży. Mieszkańcy Santiago de Chile z takiej możliwości korzystać nie mogą, więc jeśli ktoś w siedmiomilionowej metropolii musi się przesiadać na inną linię lub inny środek transportu,



Chile się budzi

Bunt w Chile nie ma jasnej struktury ani konkretnego lidera. Jest wyrazem niezgody na codzienność społeczną i polityczną

by dotrzeć do pracy, miesięcznie na sam dojazd wydaje 400 zł i więcej (bilet miesięczny w Warszawie to koszt 110 zł).

– Do tego masz ludzi z okolicznych miejscowości, którzy muszą opłacić kolejny bilet, by dostać się najpierw do stolicy i jej systemu komunikacji miejskiej – zwraca uwagę Catalina. – Oni na transport wydają nawet 30-40% miesięcznej pensji.

Niepokój rósł stopniowo. Zaczęło się od rozmów na ulicach i w domach, że żyje się ciężko, że wszystko jest drogie, a teraz jeszcze podnieśli ceny metra. Do akcji jako pierwsi ruszyli studenci. Młodzi ludzie przekakiwali bramki prowadzące na perony i – ku własnemu zdziwieniu – słyszeli słowa poparcia. – „Dalej, chłopcy!”, krzyczeli pasażerowie. „Przywróćcie godność Chilijczykom!” – opowiada Catalina.

Wkrótce nad bramkami przekakiwały grupy kilkudziesięciu studen-

tów, a z czasem także dorosłych. Nikt jednak nie reagował. 8 października prezydent Piñera wypowiedział słynne już słowa o oazie spokoju. Prasa popierająca rząd nazwała unikających opłaty za transport bandą kryminalistów, a minister transportu powtarzał, że wzrost cen jest nieodwołalny.

Wielu komentatorów ocenia protesty w Chile jako nagły wybuch agresji. To błąd. Obywatele stolicy dali rządzącym całe dwa tygodnie na reakcję. Potem, owszem, stracili cierpliwość. Można się domyślać, że gdy za pośrednictwem lokalnych mediów usłyszeli z ust rządzących cyniczne pocieszenie, że dla wstających najwcześniej rano przygotowane zostały rabaty, wielu powiedziało sobie: tego już za wiele! 18 października bunt społeczny przybrał na sile i zmienił formę. Pasażerowie już nie przekakiwali bramek, tylko je wyry-

W protestach chodzi nie o kilkanaście groszy więcej za bilet, ale o to, że ludzie są bardzo rozczarowani niespełnionymi obietnicami.

wali. Wkrótce zaczęły płonąć pociągi metra, autobusy, supermarkety, instytucje publiczne i 40 z ponad 130 stacji metra.

– Stacje niszczone głównie w najuboższych dzielnicach – dodaje Catalina Moya Catalán. – Dzielnicach ludności zmarginalizowanej, która od wielu lat żyje w zapomnieniu i na bardzo niskim poziomie. I to do tych ludzi będą strzelać tej nocy.

Bo jeśli przyjrzymy się innym statystykom, tym dotyczącym jakości życia obywateli, Chile nie wypada już tak kolorowo. Mimo wyższego niż w Polsce PKB nominalnego ten liczony według parytetu siły nabywczej jest znacznie niższy. Mediana płac w Chile to ok. 2 tys. zł, w Polsce – ponad 3,5 tys. zł, niemal dwa razy więcej. A tamtejsze ceny wcale nie są niższe od naszych. Miliardowe zyski z eksportu miedzi, owoców i wina zostają w rękach wąskiej grupy: podczas gdy 1% najbogatszych Chilijczyków dysponuje prawie 27% bogactwa kraju, najuboższym 50% przypada w udziale jedynie 2,1%. Bo w Chile nie wszyscy zarabiają źle. Pensja posta jest 30 razy wyższa od płacy minimalnej. W konsekwencji indeks Giniego, czyli współczynnik nierównomierności dystrybucji dochodów, wynosi dla Chile 0,47 (współczynnik 0,00 oznaczałby absolutną równość dochodów). To znacznie więcej niż w Polsce (0,32) i prawie tyle samo co w Kolumbii (0,50), gdzie nierówności społeczne doprowadziły do wojny domowej, która ciągnie się od przeszło półwiecza.

– Ludzie pracują dużo, za dużo, a i tak im nie starcza – twierdzi Catalina. We wrześniu dyskutowano na temat skrócenia tygodnia pracy z 45 do 40 godzin, ale rząd nie ustąpił.

Te dziewięć godzin pracy dziennie i długie dojazdy nie pozostawiają Chilijczykom wiele czasu wolnego. Odwiedziłem Santiago de Chile kilka miesięcy przed obecnymi manifestacjami. Przyjechałem z argentyńskiego San Juan po drugiej stronie Andów, gdzie tradycyjna sjesta przeciąga się do szóstej wieczorem. Dopiero wtedy otwierają się na nowo obiekty

handlowe, a kolacje i nocne spotkania przyjaciół ciągną się do pierwszej w nocy. Gdy w San Juan organizowaliśmy pokaz filmu dokumentalnego w miejscowym centrum kultury, za najrozsądniejszą godzinę na rozpoczęcie wydarzenia uznano dziesiątą wieczorem. W Santiago de Chile taka pora była nie do pomyślenia. – Zaczniemy najpóźniej o szóstej wieczorem – mówiono mi – jutro wcześniej rano wszyscy pracujemy!

– Dlatego mówię, że w protestach nie chodzi o te kilka groszy więcej za bilet – argumentuje Catalina. – Chodzi o to, że ludzie są już zmęczeni, rozczarowani niespełnionymi obietnicami, są wkurzeni. Wkurzeni jak nigdy wcześniej.

Prywatne Chile

Z tego, co po odliczeniu kosztów transportu zostanie z 1,6 tys. zł pensji – bo tyle wynosi chilijska płaca minimalna – trzeba jeszcze opłacić wodę i prąd, których ceny należą do najwyższych na kontynencie, a elektryczność w tym roku podrożała już o niemal 10%. Płatne są uniwersytety, także te państwowe. W publicznych szkołach podstawowych i liceach poziom jest niski, więc ci, którzy marzą o lepszej przyszłości dla dzieci, muszą oszczędzać na szkoły

W kraju w dalszym ciągu obowiązuje konstytucja z czasów dyktatury Pinocheta.

prywatne. Państwowa służba zdrowia jest skrajnie niewydolna i w dodatku płatna. Podatnik płaci nie tylko w ramach podatku, ale i za każdą wizytę, natomiast na prywatne ubezpieczenia zdrowotne może sobie pozwolić zaledwie 20% Chilijczyków. Sprywatyzowany system emerytalny wypłaca żenujące świadczenia, a kierowcy skarżą się na wysokie opłaty za drogi i autostrady.

Nawet woda w Chile jest prywatna. – Od 2004 r. woda jest produktem rynkowym, możesz sobie kupić źródło czy dopływ rzeki – mówi Catalina. Dziennikarka bada sprawę dostępu do wody, zwłaszcza w rejonie rzeki Petorca, gdzie suche niegdyś stoki górskie dziś zielenią się plantacjami awokado.

Problem z uprawą modnego superowocu jest taki, że zagranicz-

ni plantatorzy – tacy jak rodziny Schmidt czy Piwonka – wykupują wszystkie okoliczne dopływy Petorki spadające spod lodowców Aconcagua i w dół doliny nie dociera już ani kropla wody. Rzeka przestała istnieć, a chilijscy rolnicy załamują ręce. Od lat trwa oddolna walka o odzyskanie wody dla miejscowych. – I wyobraź sobie, że teraz, po protestach w Santiago, plantatorzy awokado tak się wystraszyli, że skierowali strumienie wody z powrotem do rzeki – Catalina opowiada z nieukrywaną radością. – Sąsiedzi z okolic Petorki widzą wodę tam, gdzie nie było jej przez dziesięć lat!

A jest czego się bać, bo nie o byle protest chodzi. W odpowiedzi na akcje cywilów na ulice po raz pierwszy od czasów dyktatury Pinocheta wyszło wojsko, w mieście wprowadzono godzinę policyjną od ósmej wieczorem do szóstej rano. Mieszkańcy Santiago w mediach społecznościowych udostępniali ogłoszenia: jeśli ktoś nie zdążył wrócić przed ósmą, niech wpada do mnie! Ludzie wracali do domów ze śladami po gumowych kulach na plecach, niektórzy stracili wzrok od strzałów prosto w twarz. Szybko pojawiło się mnóstwo nagrań z telefonów komórkowych, dokumentujących bestialskie traktowanie uczestników protestu przez

siły porządkowe. Do organizacji pozarządowych zaczęły napływać informacje o torturach, napastowaniu seksualnym i gwałtach na komisariatach i w aresztach. Zaczęło się mówić o powrocie dyktatury.

Droga bez powrotu

– Zobaczyłam ciężarówkę pełną żołnierzy uzbrojonych po zęby – opowiada Catalina drżącym głosem. – Uzbrojonych, na ulicy, rozumiesz? Nie sądziłam, że kiedykolwiek przyjdzie mi coś takiego oglądać. Ale ludzie są już tak wkurzeni, tak wkurzeni... – przerywa, zastanawia się i zaczyna na nowo. – To było niesamowite, bo tym razem nikt nie uciekał; ludzie są tak zdesperowani, że przestali się bać. Podchodzili do żołnierzy, darli się na nich, rzucali ▶

► w nich butelkami, popychali. Chile wyruszyło w drogę, z której nie ma powrotu.

Catalina też ruszyła. Codziennie wychodzi na ulicę z garnkiem lub patelnią i tak jak inni sąsiedzi wali w dno drewnianą łyżką, zalewając miasto hukiem. To *cacero/azo*, forma protestu dobrze znana w całej Ameryce Południowej, wyrażająca niezgodę na politykę władz, na sytuację w kraju. – Jest jedenasta w nocy – słyszę w wiadomości głosowej, w tle huczą łyżki, patelnie i bębny. – Jest jedenasta w nocy, trwa godzina policyjna, a my jesteśmy na ulicy! Pytam, co się dzieje, że nie gonią ich wojskowi. Za chwilę w odpowiedzi słyszę emocjonalny, młody głos kobiety: – Odpowiem ci jutro, teraz walczę o Chile!

Przez cztery dni prezydent Piñera udawał, że nie rozumie. Albo rzeczywiście nie rozumiał. W mediach propagował wersję o sabotażu, o wojnie prowadzonej przez tajemnicze grupy szkodliwe dla ogółu społeczeństwa. W środę 23 października, po czterech dniach od wybuchu niepokoїв, zmienił taktykę i spróbował protestujących kupić, i to dość tanio – odwołał podwyżkę cen biletów na metro i elektryczności, obiecał delikatną korektę mizernych płac. Zdecydowanie nie rozumiał.

Nic dziwnego, że nie zadziało, ludzie dalej okupowali ulice San-

tiago. W piątek zjawili się wszyscy: młodzi i starzy, bogaci i ubodzy, rodziny z dziećmi i studenci. Wyszli artyści, lekarze, robotnicy, prawnicy, kasjerki, dziennikarze, emeryci, muzycy, nauczyciele, sprzątaczk i pielęgniarki. Kierowcy zablokowali bramki poboru opłat na autostradach. 25 października na ulicach Santiago de Chile waliło łyżkami w garnki przeszło 1,2 mln osób.

– Ludzie nagle zdali sobie sprawę, że w zasadzie nic już nie ma sensu,

Do dziś wiadomo o 19 ofiarach śmiertelnych, 600 rannych i 3-6 tys. zatrzymanych.

państwo nie ma sensu, bo w tym państwie nic już nie jest publiczne – zauważa Catalina. – Dlatego masz totalną negację dotychczasowego porządku. Tu chodzi nie o jakąś podwyżkę płac czy obniżkę cen biletów, tylko o całkowitą zmianę systemu organizacji społecznej. Ludzie uwierzyli, że to możliwe, że teraz czeka ich inna rzeczywistość niż ta, na którą czuli się skazani jeszcze dwa tygodnie temu.

W rozmowie dla hiszpańskiego dziennika „El País” młoda historyczka Matilde López Atala ocenia: „System neoliberalny zapominał, że społeczeństwo składa się z ludzi. Traktują nas jak maszyny, a nasze zadanie to produkować

i konsumować. Ale popatrz na mnie: nie masz do czynienia z robotem. Masz do czynienia z człowiekiem”.

Zmęczone Chile, zmęczony świat

30 lat temu, w lutym 1989 r., spontaniczna fala rebelii totalnej przetoczyła się przez wenezuelskie Caracas. W ramach społecznej rewolty, która przeszła do historii jako *Caracazo*, miasto zostało splądrowane

przez jego mieszkańców, którzy nie wytrzymali coraz trudniejszej sytuacji ekonomicznej. Punktem zapalnym okazała się podwyżka cen benzyny, która przełożyła się na droższe bilety komunikacji miejskiej. Służby porządkowe brutalnie spacyfikowały zamieszki. Władze przyznały się do 276 ofiar śmiertelnych, nieoficjalnie mówiło się nawet o 2-3 tys. zabitych. Wśród konsekwencji *Caracazo* wymieniana się nieudany zamach stanu Cháveza z 1992 r. i jego demokratyczne dojście do władzy w 1998 r.

Dwa dni przed podwyżkami cen biletów komunikacji miejskiej w Chile prezydent Ekwadoru Lenín Moreno zniósł subsydiowane ceny paliwa (Ekwador jest eksporterem ropy naftowej) na krajowych stacjach. Za galon benzyny z dnia na dzień trzeba było zapłacić 2 zł więcej i to rozwścieczyło opinię publiczną. Zwłaszcza że ta nagła zmiana szła w parze z innymi propozycjami, takimi jak masowe zwolnienia w sektorze publicznym – mówimy o likwidacji ok. 10 tys. miejsc pracy – czy obniżki płac; wszystko z zalecenia Międzynarodowego Funduszu Walutowego, głównego zapalnika masowych protestów na kontynencie. Ceny benzyny nie zdążyły nawet odbić się na koszcie transportu, bo ludzie natychmiast zablokowali ulice – rozpoczęły się kilkudniowe protesty, które zmusiły prezydenta do czasowego przeniesienia siedziby rządu z Quito do Guayaquil. Do stolicy zaczęły napływać pokojowe marsze rdzennej ludności z ekwadorskich Andów i Amazonii, które spotkały się z brutalną reakcją służb porządkowych. Co prawda,

FUNDACJA JUDAICA
CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ
1993-2019

DZIEDZICTWO, PAMIĘĆ
WSPÓLNOTA OBYWATELSKA

BAJIT CHADASZ
SPOTKANIA Z KULTURĄ ŻYDOWSKĄ

WRZESIEŃ - LISTOPAD, 2019

Informacje: Centrum Kultury Żydowskiej
ul. Rabina Meisela 17, 31-058 Kraków, tel. (12) 430 64 49, info1@judaica.pl
www.judaica.pl facebook.com/judaica.krakow

Współorganizator programu Bajit Chadasz:
Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Urzędu Miasta Krakowa

Sponsorzy:

Kraków

kraków
CITY OF LITERATURE
UNESCO

Instituto Cervantes

KARCHER

AMERICAN ASSOCIATION
FOR POLISH-AMERICAN RELATIONS

KHK

FMPO

mpec

WOCODMGI

Województwo

Patronat medialny:

Welcome & Mięgotnia

P

SŁOWO ŻYDOWSKIE

Kazimierz.com

miasteczko

Współpraca redakcyjna: *Classie*



W odpowiedzi na akcje cywilów na ulice Santiago wyszło wojsko, a w mieście wprowadzono godzinę policyjną.

domy kultury czy szpitale przyjmowały pod swój dach protestujących z prowincji, ale mundurowi szybko przystępowali do ich obłężenia. – Za progiem czekali na nas żołnierze, karabiny, czołgi – opowiada Maria Fernanda Andrade, psycholożka i działaczka społeczna, która wspierała manifestacje. – Przez całą noc słysząc było strzały ostrzegawcze, rzucono puszki z gazem łzawiącym. Dla nas, zamkniętych w środku, to był horror.

Rząd ostatecznie wycofał się z podwyżki cen benzyny, ale próba jej wprowadzenia kosztowała życie siedmiu osób i ciężkie obrażenia prawie stu.

„Świat społeczności rdzennych w Ekwadorze charakteryzuje się wysoką kulturą uczestnictwa, poziomem organizacji nieporównywalnie wyższym niż u statystycznych obywateli Chile”, oceniał w wywiadzie dla BBC prof. Jorge Carrasco. To niezwykle istotne, bo gdy przyszło rozmawiać i negocjować możliwe rozwiązania, Ekwadorczyści byli do tego gotowi. W Chile problem pozostaje otwarty – nie wiadomo, jak się zabrać do dyskusji, z kim rozmawiać.

Bunt w Chile nie ma jasnej struktury, zdefiniowanych postulatów ani konkretnego lidera. Jest wyrazem

totalnej niezgody na wszystko, co się składa na chilijską codzienność społeczną i polityczną, a przede wszystkim na rosnące nierówności społeczne. Podobnym przykładem jest hiszpańskie 15M, fala manifestacji zainicjowanych 15 maja 2011 r. na ulicach Madrytu, w Polsce nazywana ruchem oburzonych. Tam również obok niełatwej sytuacji ekonomicznej chodziło o niezgodę na system polityczny. Ale że – w odróżnieniu od Caracas – władze nie celowały do obywateli z broni palnej,

Chilijczycy nie chcą nowego rządu. Chcą nowego Chile.

manifestanci zaczęli się organizować, zamieniać przestrzeń publiczną w miejsce obrad dzielnicowych parlamentów i debatować nad propozycjami konkretnych zmian prawnych. W konsekwencji powstały nowe ruchy obywatelskie i partie polityczne, takie jak Podemos, która dzisiaj jest istotną siłą w hiszpańskim parlamencie. W wyniku 15M doprowadzono do licznych zmian m.in. w służbie zdrowia i wymiarze sprawiedliwości, światło dzienne ujrzały afery korupcyjne w sektorze publicznym.

Podobna sytuacja panuje w Santiago de Chile – sąsiedzi zbierają się

na ulicach i dyskutują o możliwych zmianach. Z tym że tu chodzi nie o pojedyncze ustawy, ale o ustawę zasadniczą, określającą kształt polityczny kraju. Trudno w to uwierzyć, ale w Chile nadal obowiązuje konstytucja z czasów dyktatury wojskowej Pinocheta.

– W mojej dzielnicy mamy następujące propozycje: po pierwsze, nowa konstytucja, po drugie, głęboka reforma systemu emerytalnego i służby zdrowia – wylicza Catalina. – Nie może być tak, że ludzie

umierają, bo nie mają jak zapłacić za leczenie. Po trzecie, nacjonalizacja zasobów naturalnych kraju, przede wszystkim wody. Po czwarte, darmowe uniwersytety państwowe.

Po tygodniu masowych manifestacji, 26 października, prezydent Sebastián Piñera zaproponował kolejne ustępstwa: zniesienie godziny policyjnej i dymisję wszystkich ministrów, by stworzyć nowy gabinet. Ale manifestantów to nie przekonało. Obywatele trwają na ulicach Santiago. Chilijczycy nie chcą nowego rządu. Chcą nowego Chile.

Wojciech Ganczarek

Szkoła na wielu językach

W zglobalizowanych społeczeństwach coraz mniej się sprawdza model nauczania tylko w jednym języku

Mateusz Mazzini

Westborough High School w Dewsbury, miasteczku na północy Anglii mającym nieco ponad 50 tys. mieszkańców, na pierwszy rzut oka wygląda jak typowa anglosaska szkoła. Uczniowie przychodzą do niej w mundurkach z herbem i lamówkami marynarek odzwierciedlającymi barwy placówki. Wszyscy tu są równi – przynajmniej wobec szkolnych zasad – nawet jeśli niekoniecznie mówią po angielsku.

Liceum w Dewsbury wskazuje się na Wyspach jako przykład integracji w społeczności uczniowskiej dzieci, najczęściej z rodzin imigranckich, które do szkoły trafiają ze słabą lub zerową znajomością angielskiego. Tuż po rozszerzeniu Unii Europejskiej w 2004 r. do Westborough High trafiła znacząca grupa uczniów z Węgier. Placówka została postawiona przed trudnym zadaniem – jak wyedukować, a potem przygotować do egzaminów zewnętrznych dzieci, które już na samym początku pozbawione są najważniejszego narzędzia w procesie kształcenia?

W odpowiedzi na ten problem dyrekcja jako jedna z pierwszych w Wielkiej Brytanii postanowiła stworzyć swego rodzaju szkołę w szkole. Od zera zaprojektowana została tzw. sekcja EAL – *English as Additional Language*, czyli angielski jako język dodatkowy. Do sekcji tej włączono wszystkie dzieci, które do szkoły przyszły z problemami w czytaniu i pisaniu po angielsku. Przez pierwsze sześć tygodni były zupełnie wyłączone z normalnego programu nauczania, który realizowali ich rówieśnicy. Uczyły się jedynie angielskiego, choć w różnych formach – przyswajając nie tylko gramatykę, ale też słownictwo potrzebne do nauki konkretnych przedmiotów. Aby jednak ich integracja ze społecznością uczniowską nie była o te sześć tygodni opóźniona, w omijaniu

pozostałych zajęć zrobiono wyjątek – dzieci imigrantów mogły uczęszczać na lekcje wychowania fizycznego. Glyn Farrar, nauczyciel EAL w Westborough High, tłumaczył reporterom dziennika „The Guardian”, że dzięki temu nowo przybyłe dzieci nawiązały kontakt z angielskimi rówieśnikami. Jak dodał, WF był również okazją do przetestowania ich postępów w nauce na tle osób, dla których angielski jest językiem ojczystym.

Choć model prowadzenia osobnych zajęć z EAL stał się praktycznie dominującym rozwiązaniem w szkołach w Wielkiej Brytanii, nie wszyscy eksperci są zgodni co do jego skuteczności. Prof. Catherine Wallace z Instytutu Pedagogiki i Edukacji Publicznej Uniwersytetu Londyńskiego zwraca uwagę, że odseparowywanie dzieci niemówiących po angielsku od reszty uczniów już na samym

nawet jeśli w pewnym stopniu spowalnia to ich proces edukacyjny.

Wielojęzyczna edukacja staje się powoli koniecznością w zdecydowanej większości krajów rozwiniętych. Masowe migracje i coraz silniej zglobalizowana światowa gospodarka powodują, że lawinowo rośnie liczba dzieci, które przechodzą proces formalnej edukacji w co najmniej dwóch językach dominujących. I choć oczywiście wielojęzyczne nauczanie nie jest niczym nowym, bardzo zmienia się jego charakter. Wcześniej bowiem dotyczyło najczęściej żyjących na danym terytorium mniejszości etnicznych czy językowych. Przykłady tego widać nawet na Wyspach Brytyjskich, gdzie w 1997 r. rząd Tony’ego Blaira ustanowił równoległą, walijsko- i angielskojęzyczną edukację w szkołach Walii. Teraz do szkół w krajach

Wielojęzyczna edukacja powoli staje się niezbędną w większości krajów rozwiniętych.

starcie ich nauki w danej szkole może mieć bardzo negatywne konsekwencje dla ich późniejszej socjalizacji. Podkreśla też, że nie wszędzie stworzenie specjalnych sekcji EAL jest możliwe, bo często w szkole jest tylko kilku rodziców z tak dużymi problemami językowymi. Na stworzenie osobnego programu nauczania brakuje pieniędzy i zasobów ludzkich. Dlatego wiele dzieci z rodzin imigranckich musi od razu uczyć się wszystkich przedmiotów razem z Brytyjczykami.

Catherine Wallace jest zdania, że prowadzenie dzieci imigranckich równocześnie z resztą ma dobre strony. Uczniowie mówiący w innym języku rozwijają umiejętności w konkretnych kontekstach lingwistycznych, czasami przy pomocy kolegów i koleżanek z ławki obok. Prof. Wallace twierdzi, że w ten sposób nowym dzieciom łatwiej się zdomowić w obcym środowisku,

rozwiniętych coraz częściej trafiają dzieci, które w ojczyznach mówiły językiem zupełnie innym niż dominujący w nowym kraju, np. imigranci z Bliskiego Wschodu, Afryki czy Azji Południowo-Wschodniej, którzy znaleźli się w państwach Unii Europejskiej.

Według danych UNESCO, popartych badaniami lokalnych instytucji edukacyjnych, zjawisko to nie dotyczy już wcale marginalnej liczby dzieci. W samym Londynie ok. 30% dzieci w szkołach podstawowych pochodzi spoza Europy i posługuje się w domu językiem niebędącym oficjalnym językiem UE. Podobnie wysokie odsetki można znaleźć w szkołach Madrytu, Barcelony, Paryża, Amsterdamu, Monachium i Sztokholmu. Oprócz oczywistych problemów wynikających z życia na styku kultur oraz w wielu przypadkach traumą związaną z ucieczką z miejsc ogarniętych konfliktami zbrojnymi



W samym Londynie ok. 30% dzieci w szkołach podstawowych pochodzi spoza Europy i posługuje się w domu językiem niebędącym oficjalnym językiem UE.

najtrudniejszą do pokonania barierą często okazuje się brak zdolności językowych. Co ciekawe, z pomocą mogą tu przyjść rodzice.

W 2016 r. Komisja Europejska opublikowała wyniki badań na temat skuteczności różnych modeli edukacji wielojęzycznej w krajach unijnych. Konkluzje z nich płynące były dość jednoznaczne. Dzieci rzucone na językową głęboką wodę radzą sobie dobrze albo bardzo dobrze, pod warunkiem że nie są zupełnie odcinane od swoich lingwistycznych korzeni. Dlatego autorzy raportu zalecają, by dziecko z rodziny imigranckiej jak najwięcej rozmawiało w domu w języku ojczystym, nawet jeśli jest on radykalnie inny od języka używanego na co dzień w szkole. Uczniowie zmuszeni do regularnego używania więcej niż jednego języka szybciej adaptują się do nowych realiów edukacyjnych, nabierają większej elastyczności pod tym względem i robią to, o czym wspominała Catherine Wallace – lepiej rozumieją kontekst słów, których się uczą.

Na ten właśnie model postawiły władze Nowej Zelandii. W 43 tamtejszych szkołach publicznych wdrożono w ubiegłym roku pilotażowy system wsparcia językowego dla uczniów mówiących w ponad 20 językach innych niż angielski. Jak podaje tamtejsze Ministerstwo Edukacji, mieszanka lingwistyczna jest tam

naprawdę imponująca. Najwięcej dzieci mówi po samońsku i mandaryńsku, choć liczbowo niewiele ustępują im uczniowie posługujący się filipińskim, hiszpańskim i tajskim. W nowozelandzkich szkołach za ich integrację odpowiadają specjaliści turyści, którzy nie tylko uczą ich angielskiego – w systemie dodatkowych zajęć, które nie wykluczają się z resztą przedmiotów – ale prowadzą też warsztaty kulturoznawcze. Podczas tych drugich zajęć dzieci z jednej grupy językowej mogą swobodnie rozmawiać między sobą w języku

są konflikty zbrojne na tle etnicznym oraz ich konsekwencje społeczne.

Jednym z takich miejsc jest Zambia, gdzie proces edukacyjny odbywa się często w nawet czterech językach jednocześnie. Tę mozaikę sportretował Alastair Cole, brytyjski dokumentalista, w filmie „Kolory alfabetu”. Jego bohaterowie to trójka zambijskich dzieci, Steward, M'barak i Elizabeth, rozpoczynająca pierwszy rok szkolny. Na co dzień porozumiewają się w języku soli, w szkole uczą się w nyanja, pieśni religijne wykonują w bemba, ale i tak nacisk kładziony jest

Masowe migracje powodują, że lawinowo rośnie liczba dzieci uczących się w co najmniej dwóch językach.

ojczystym, a dla reszty przygotowują prezentacje na temat miejsc ich pochodzenia. Kosztujący rocznie pół miliona dolarów nowozelandzkich (ponad 1,2 mln zł) program daje bardzo dobre efekty. Dzieci biorące w nim udział poprawiły swoje wyniki w ogólnokrajowych egzaminach średnio o kilkanaście procent.

Nie wszędzie jednak wielojęzyczni uczniowie mają taki komfort jak w Nowej Zelandii. Według danych ONZ i Banku Światowego ponad 40% osób poniżej 18. roku życia na całym świecie nie ma dostępu do nawet częściowej edukacji w języku ojczystym. Często przyczyną takiej sytuacji

na angielski, który pozwala na szybszy awans społeczny. Film obrazuje wyzwania edukacyjne stojące zarówno przed dziećmi, jak i przed nauczycielami – brak zrozumienia kontekstów, nieustanne mieszanie słów. Nawet jeśli bohaterowie nauczyli się czytać z tablicy, często widać po nich, że nie wiedzą, co właśnie przeczytali. Jednocześnie „Kolory alfabetu” niosą silny przekaz pozytywny, bo mimo wszystko cała trójka robi wyraźne postępy w nauce, opanowuje angielski, a przede wszystkim cieszy się szkołą. Ten ostatni aspekt najłatwiej zrozumieć – radość, nawet z uczenia się, brzmi tak samo w każdym języku. ■

Rozmawia Krzysztof Pyzia

Pokusisz się o przypuszczenie, że nie było parafii, na której nikt nie donosił?

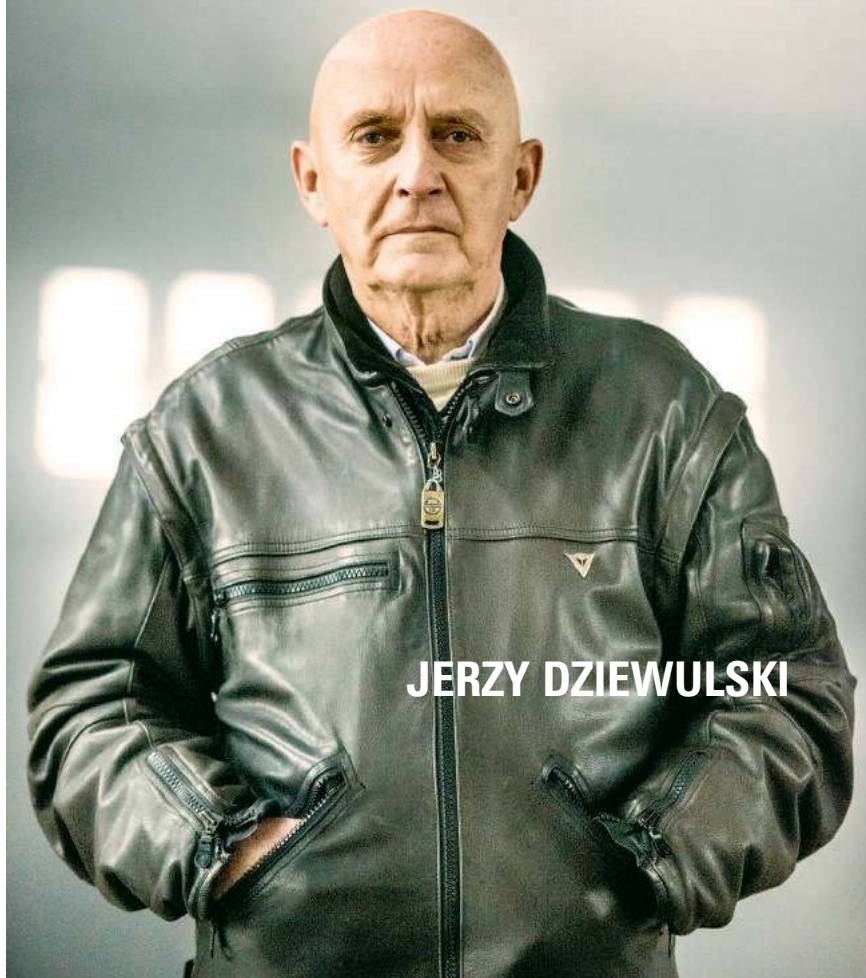
– Według mnie nie było, choć wiadomo, że to tylko przypuszczenia. Skoro infiltracja w Kościele była na poziomie 30-40%, to trudno byłoby znaleźć parafię, która nie byłaby na uchu esbecji. Duchowni wcale nie byli werbowani przy pomocy haseł ideologicznych, że w Kościele jest np. zabobonne be, a socjalizm to raj... Wymuszali na nich pożądane reakcje, a że tak łatwo ulegali... W tamtych czasach życie w Kościele było dla nich jedynym możliwym życiem – poza Kościołem oni nie istnieli, nie byli przygotowani do życia, w którym musisz mieć twarde łokcie. Po drugie, niech nikt mi nie wciska kitu, że można pohamować samczą fizjologię przy pomocy adoracji sakramentu i dyscypliny zdrowasiek. A więc słabość tych ludzi była jakby motorem dla działania służb. I stąd bezpieczeństwa miała w tych pozornie świątobliwych kręgach pełne rozeznanie. Ktoś, kto się służbom przeciwstawiał, musiał być naprawdę czysty, ale też i silny, gotowy na wszystko, bo SB nie odpuszczała i wcześniej czy później i tak by mu skopała dupę. Ale z zasady w środowisku duchownych nie było chojraków, nawet seksualność, która się tam pokątnie krzewiła...

Co jakiś czas pojawiają się sprawy związane z homoseksualizmem czy molestowaniem nieletnich. Niby w każdym stadzie znajdzie się czarna owca, ale...

– Zawsze tak było i to się nie zmieni. Jeden donosił, że drugi molestował. To jak łańcuszek, ten, który donosił, stawał się jednocześnie agentem werbującym. No bo jak doniósł na „molestującego”, a tamten nie był dotąd zwerbowany, to automatycznie stawał się nim. W efekcie molestujący i molestowany mieli kontrolę podwójną, a czasem potrójną. Otwarcie ci powiem: rzadko była „czysta” parafia, chyba że na jakimś zadupiu, ale w miastach każda była infiltrowana, miała swój zespół uchołi. Trzeba powiedzieć, że jeśli ktoś z wiernych wiedział o takich przypadkach nadużyć, to słabości osób duchownych stawały się nierzadko powodem odejścia od Kościo-

Agentura w Kościele

Kościół był i jest poważnym graczem, z którym należy się liczyć



JERZY DZIEWULSKI

ła. Wiesz, czystsza byłaby sprawa, gdyby Kościół zdecydował się na małżeństwa. Wówczas nie byłoby takiego problemu, obszar seksualny zostałby unormowany, ojczulkowo znaleźliby legalne zaspokojenie. Kiedy byłem posłem, zacząłem się interesować skalą infiltrowania społeczeństwa przez bezpieczeństwo. Pracowaliśmy nad ustawą lustracyjną, ale gdy tak się nad tym głębiej pochylić, może to być miecz obosieczny. Czasem taka komisja lustracyjna może zdziałać więcej złego niż dobrego, jeśli ktoś nią steruje. Ujawnianie tego typu informacji często okazywało się błędne, wiele państw, które miały podobne do naszych problemy, wy-

cofało się z lustrowania wszystkiego i wszystkich. A u nas, niestety, poszli na żywioł. Tu konieczna jest pewna uwaga, chcieli lustrować wszystko, z jednym zastrzeżeniem. W końcu nieprzypadkowo Kiszczak zawarł porozumienie z Kościołem i pewne materiały zaczęły znikać.

Wierzysz w to?

– To nie kwestia wiary, ale wiedzy. Kościół zdawał sobie sprawę z tego, że ujawnienie tych materiałów jest gorsze niż bieżąca współpraca ze służbami PRL. Wybrał mniejsze zło – dla siebie. Ja ich nie obarczam winą, ale widzę w tym przyrodzoną słabość: biskupów, kardynałów, czyli elity Kościoła. Część z nich ma takie

same słabości jak my wszyscy, a grają świętoszków...

Jest takie staropolskie powiedzonko: Księżę prałacie, czemuż tak nie żyjecie, jako nauczacie.

– Otóż to. Wtedy zadawałem pytanie: co wy robicie z tą lustracją, do czego zmierzacie? I zwróć uwagę: charakterystyczne było to, że nigdy na temat Kościoła nie mówiono. A wiesz dlaczego? Bo żadnej ze stron to nie pasowało. Kościół nie miał się czym chwalić, a SLD nie chciał być znowu posądzony o walkę z Kościołem. W związku z czym przeszło to po cichu, bez bólu. Byłem chrzczony i bierzmowany, ale wraz z dojrzałością i krytyczną obserwacją świata przestałem wierzyć w to, co oni robią i co mówią. Wiadziałem, że jest potężny rozdźwięk pomiędzy moją wiedzą o ich agenturalnej działalności czy choćby o różnych wynaturzeniach, chociażby o praktykach molestowania. (...)

Trzeba powiedzieć sobie jasno, że wiele dokumentów na temat Kościoła uległo celowemu zniszczeniu. 24 sierpnia 1989 r. Czesław Kiszcak wydał tajne zarządzenie nr 075/89, co w efekcie doprowadziło do likwidacji pionu IV, zajmującego się Kościołem. Kilka dni później zaczęto systematycznie niszczyć dokumentację na ten temat.

Być może nigdy prawdy na ten temat nie poznamy. Za to niemal pewne jest, że Watykan ma jeden z najlepszych wywiadów na świecie, choć głośno o tym się nie mówi.

– To dla mnie oczywiste. Watykan ma swoje wtaczki, czyli duchownych, w najbardziej oddalonych miejscach na świecie. Misjonarze są tam, gdzie świeckim służbom byłoby trudno dotrzeć... Monitorują sytuację w biednych krajach Afryki, ale i są w bliskich kontaktach z najważniejszymi przywódcami w Europie. Każdy polityk chce mieć dobre stosunki z duchownymi. W końcu to oni wyznaczają drogę swoim wiernym i w kazaniach klarują, jak żyć, a nierzadko wskazują też, na kogo należy głosować. Dlatego niezależnie od rządzącej ekipy w Polsce infiltracja Watykanu zapewne nadal ma się bardzo dobrze. Na przykład Tomasz Turowski. Zostaje zwerbowany do pracy w wywiadzie PRL, dalej trafia do zakonu jezuitów i zaczyna działać w bliskim otoczeniu Jana Pawła II. Swoją drogą Karola

Wojtyłę Turowski miał znać jeszcze z czasów studiów, dlatego przed wyjazdem do Rzymu dostaje m.in. od przyszłego papieża list polecający. Później na wniosek ministra spraw zagranicznych Władysława Bartoszewskiego został ambasadorem na Kubie. Wyjątkowo ciekawa postać. A na Turowskim świat się nie kończy, są inne oczy i uszy... W Polsce nie ma właściwie miasteczka, w którym nie byłoby duchownego. A kto, jeśli nie ksiądz, najlepiej zna swoje owieczki i wszystko wie o swoim parafialnym stadku? A kto chodzi po kołędzie, zna

W miastach każda parafia była infiltrowana, miała swój zespół uchoi.

wszystkich mieszkańców, wie, kto z kim sypia i z czego się spowiada? Tak że powiadam wam, Kościół był i jest poważnym graczem, z którym należy się liczyć. Zresztą poza Solidarnością Kościół w PRL był uznawany za wroga publicznego numer jeden. Polscy szpiegowie w Watykanie mieli nadstawiać dobrze uszy, by z wyprzedzeniem donosić o ruchach wykonywanych przez Państwo Kościelne. Ówczesne władze twierdziły, nie bez racji, że duchowni swoją działalnością psują polskie państwo, stąd te obawy i chęć uprzedzenia ruchów.

Podobno polskie służby były w tym całkiem niezłe.

– Od wielu ludzi z różnych krajów wielokrotnie słyszałem, że szpiegowanie Watykanu było polską specjalnością. Informacje, które nasi wynosili, szybko docierały do Moskwy, by ta mogła ustalać politykę wobec Watykanu. Polscy szpiegowie rozpracowywali m.in. Kongregację do spraw Biskupów, Sekretariat Synodu Biskupów, Papieską Akademię Dyplomatyczną, Sekretariat Stanu, kurie generalne dominikanów, salezjanów i wiele innych ośrodków. W ogóle polski wywiad w Watykanie podobno odniósł wiele sukcesów. Choćby w listopadzie 1960 r., kiedy to zaraz po swoim wyborze na stanowisko prezydenta USA John F. Kennedy wysłał do papieża Pawła VI list, gdzie przedstawiał swoje polityczne cele, a tym samym Ameryki. Były tam cenne informacje dla nas, Polaków, i naszych zwierzchników z Moskwy. Kennedy przekony-

wał, że Ameryka nie cofnie się przed komunizmem. Zapewniał, że USA nie wycofają swoich wojsk z Berlina, ani w ogóle wojsk z Europy. I co się okazało? List nie zdążył dotrzeć do papieża, a już go przechwycił nasz wywiad, przekazał go do Warszawy, a ta oczywiście do Moskwy. Polska agentura w Watykanie była liczna, ale jak widać, przynosiło to efekty. Zresztą tych sukcesów mieliśmy więcej, zbieraliśmy międzynarodowe żniwo. Polski wywiad miał swoich ludzi w polonijnych ośrodkach, chociażby we Francji, w USA, RFN, Belgii czy nawet w Luksemburgu.

Wróćmy do Watykanu. Wybór w 1978 r. Jana Pawła II na papieża ograniczył, czy – wręcz przeciwnie – wzmógł działalność szpiegowską naszego wywiadu?

– Według mojej wiedzy skala zjawiska zdecydowanie się nasiliła. PRL-owscy decydenci chcieli niczym gąbka chłonać wszystkie informacje wpływające z Watykanu. Zresztą Karol Wojtyła apelował o zwiększenie liczby polskich duchownych w strukturach Kurii Rzymskiej, co było doskonałą wiadomością dla polskiego wywiadu. Otworzyło to nowe możliwości. Nie od dziś wiadomo, że decyzje Watykanu mają wpływ na światową politykę. A jest to szczególnie istotne, kiedy głową państwa zostaje nasz rodak.

Polskie władze maczały palce w bułgarskim zamachu na Jana Pawła II?

– Jestem przekonany, że wręcz przeciwnie. Dmuchały z każdej strony, byle tylko do niego nie doszło. To oczywiste, że pierwsze podejrzenia padłyby na PRL-owskie państwo. Dlatego doszło nawet do tego, że polscy agenci, jeśli tylko dostali informacje o potencjalnych zamachach, mieli je bezzwłocznie przekazywać bezpośrednio do watykańskiego szefa ochrony papieskiej. A jak ktoś nie wierzy, niech sobie przypomni, jak decydenci PRL dosłownie wychodzili ze skóry, kiedy papież przylatywał z pielgrzymką do Polski. Władze dosłownie na wszystko chuchały i dmuchały, byle tylko nie doszło do jakiegos zamachu. Wiem coś o tym, bo sam byłem odpowiedzialny za przygotowanie pielgrzymek w zakresie mojej służby. Chociaż, żeby być obiektywnym, muszę dodać, że są głosy mówiące, jakoby jacyś polscy duchowni byli zamieszani w ten

► zamach. Tak powiedział np. John Koehler, były doradca prezydenta Reagana, a do tego oficer wojskowego wywiadu Stanów Zjednoczonych. Na łamach włoskiego dziennika „La Stampa” stwierdził, że nie można wykluczyć, że polscy duchowni mogli być zamieszani w ten zamach. I, jeśli się nie mylę, nadto stwierdził, że głównym organizatorem zamachu było KGB. No ale to wiadomo, gry operacyjne.

Poza tym nie mam wątpliwości, że Jan Paweł II miał świadomość tego, że wokół niego roilo się od polskich szpiegów. Co się dziwić, od lat wywiadowczym narybkiem byli studenci i seminarzyści katolickich uczelni. Co więcej, zdarzały się przypadki werbunku już w liceach, pośród tych, którzy nosili się z zamiarem pójścia między teologów, ojców Kościoła. A to później przynosiło wymierne efekty. W końcu w wywiadzie bardzo często najważniejsza jest cierpliwość. Bywali też polscy szpiedzi, którzy z polecenia wywiadu zawczasu szli na stosowne studia, by kiedy nadejdzie czas... trafić do Watykanu. Zresztą Jan Paweł II był pod okiem bezpieki już od 1949 r., a KGB kazało później naszemu wywiadowi prowadzić politykę mającą pogłębiać rozbieżności między Watykanem z Karolem Wojtyłą na czele z USA. Do tego polscy agenci mieli wywoływać podziały wewnątrz Watykanu. Nadto oczywiście esbecja dążyła do ulokowania jak największej liczby tajnych współpracowników w jak najbliższym otoczeniu Jana Pawła II. Wiedzieli o nim wszystko, podam przykład... Esbecja znała ulubioną markę żyletek Jana Pawła III! **Wszystko w myśl zasady, że nawet najbardziej błaha wiadomość, osadzona w odpowiednim kontekście, może okazać się cenna. A jak księża tłumaczyli swoim sumieniom takie donoszenie na innych?**

– Tutaj do gry wkraczali oficerowie prowadzący, którzy wmawiali im, że informacje, z których – jak to się mówiło potocznie – się wysypują, nie wyrządzają nikomu krzywdy, a wręcz im pomagają. I duchowni oczywiście

w to wierzyli albo chcieli wierzyć. Zresztą większego wyboru nie mieli. Zapewne, jeśli ktoś się zgodził na współpracę, to esbecja miała na niego jakieś haki albo argumenty, które pozwalały dojrzeć do decyzji o współpracy. Tutaj jednak bym nie generalizował, że każdy ksiądz był zły. Zdarzały się przypadki charakterne. Zresztą pamiętajmy o jednym – w końcu to tylko ludzie.

À propos materiałów obciążających. Jakiś czas temu pojawiły się oskarżenia o to, że ks. Jankowski był pedofilem. Styszałeś coś więcej na ten temat w czasach swojej aktywności?

– Już dawno temu krążyły informacje na ten temat. Pamiętam, że kiedy pokazywano Wałęsę z Jankowskim, to mówiło się, że Wałęsa jest agentem, ale nikt tak naprawdę wówczas w to nie wierzył. Dzisiaj ta ocena nie jest taka jednoznaczna. Powiem więcej, trzeba pamiętać, że funkcjonariusze milicji nie mówiliby o tym w kuluarach, gdyby ich wiedza nie była oparta na mocnych podstawach... W końcu wiedzieli o tym od naprawdę dobrze zorientowanej bezpieki, z którą byli struktu-

Wizyta Jana Pawła II w Polsce w 1983 r.

ralnie, na pewnym poziomie połączeni. (...)

Dlaczego dopiero dzisiaj wychodzą te wszystkie problemy związane z Kościołem?

– Z prostej przyczyny. W PRL każdy, kto mówił coś złego o tej instytucji, był wrogiem Kościoła, bo Kościół jawił się jako jedyne zbawienie od komunizmu... I ludzie to akceptowali. Społeczeństwo miało też świadomość, że Kościół jest wsparciem dla Polaków i w takiej sytuacji nie warto go atakować, nawet jeśli ktoś słyszał, że jakiś duchowny lubi młodych chłopców. Poza tym ludzie też niewiele wiedzieli. Przecież wszystkie informacje na ten temat o konkretnym księdzu były w rękach bezpieki. A bezpiece nie zależało na ich ujawnianiu. Ksiądz, na którego miało się twarde haki, był wartościowy i nie

było potrzeby, by likwidować takich informatorów. Inna sprawa, że nawet gdyby opublikowali takie informacje, to i tak nikt by w to nie uwierzył. To prawda. Każda negatywna informacja o działaczu politycznym czy duchownym, opublikowana przez bezpiekę, była niezbyt wiarygodna dla przeciętnego Kowalskiego. Ludzie by to skomentowali: „Bezpieka robi to specjalnie, żeby męża opatrznościowego udupić”. Wtedy można było wobec wiernych tgać w żywe oczy, uchodząc za świętego, a w istocie od rana do nocy oddawać się praktykom, że tak powiem, bezecnym... Pamiętaj, że w tamtych czasach, gdy pojawiała się coś negatywnego, co dotyczyło Kościoła czy Solidarności, to od razu jak mantrę powtarzano słowo „prowokacja”. Nikt nie brał na poważnie żadnych oskarżeń, choćby miały mocne podstawy, wiadomo, „prowokacja”.

Fragment książki
Jerzy Dziewulski o kulisach III RP. W rozmowie z Krzysztofem Pyzią, Prószyński i S-ka, Warszawa 2019



Kto, jeśli nie ksiądz, najlepiej zna swoje owieczki? Kto chodzi po kolędzie, zna wszystkich, wie, kto z kim sypia i z czego się spowiada?



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Potworny, cudowny pięćdziesięcioletni

Był nieporadny i trochę śmieszny, jego raczkowanie niosło jednak obietnicę ziszczenia niewiarygodnych utopii i wyzwolenia niewyobrażalnych mocy, choć na początku były tylko dwie rozbrajające litery LO, to za nimi szły w oszalałym tempie i przyroście zmiany wszystkiego, co dotąd znaliśmy i czym dysponowaliśmy jako ludzie. 50. urodziny internetu przechodzą jednak bokiem, niejako wstydliwie, w ciszy nieadekwatnej do roli, jaką odgrywa w naszym życiu, do znaczenia, jakie ma w jego organizacji, do wszechobecności w podejmowaniu decyzji, od tych najmniejszych, jednostkowych, drobnych aż po te wyznaczające nowe horyzonty rozwoju czy zniewolenia, jak mówią krytycy.

Urodziny internetu przechodzą bokiem, niejako wstydliwie, w ciszy nieadekwatnej do roli, jaką odgrywa w naszym życiu.

A miało być inaczej... Edward Snowden, informatyk, pracujący w amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i dla CIA, sygnałista, który ujawnił światu globalny system inwigilacji nas wszystkich za pomocą internetu (systemu, który sam współprojektował, nie zdając sobie do pewnego momentu sprawy z tego, że podejrzany, których inwigiluje cyfrowy moloch amerykańskich służb, jesteśmy wszyscy, każdy i każda z nas, a informacje o naszym życiu zostają zapisane i zmagazynowane na zawsze – bez naszej wiedzy i zgody), pisze w swojej autobiograficznej „Pamięci nieulotnej” o nadziejach przy narodzinach tego cudu nad cudami ludzkiego umysłu: „Był przyjacielem i rodzicem. Społecznością bez granic i barier, głosem w równej mierze jednostek, co milionów, otwartym na wszystkich Dzikim Zachodem, przestrzenią, gdzie osiedliły się bez wyzyskiwania kogokolwiek najróżniejsze plemiona, by żyć obok siebie i gwarantować swoim członkom swobodny wybór imion, historii i zwyczajów. Wszyscy

nosili maski, a mimo to kultura tej anonimowości osiąganą pseudonimizacją generowała więcej prawdy niż fałszu – stawiała na kreatywność i współpracę, a nie na komercję i współzawodnictwo. Nie był jej obcy konflikt, oczywiście, ale przeważały dobre intencje i pozytywne uczucia. Przepętniał ją prawdziwy, pionierski duch”.

Czytamy te słowa amerykańskiego (choć po ujawnieniu skali inwigilacji w dobie pozbawionego obywatelstwa USA, uwięzionego azyłem w Rosji, nie mogącego się ruszyć nigdzie bez ryzyka aresztowania lub zamordowania przez amerykańskie służby) 35-latkę, jakby pochodziły z jakichś przedcyfrowych Pompejów, a minęły tylko dwie dekady,

zdegenerowanie marzenia zajęło jeno chwilkę nam i naszym komputerom, a właściwie tym, którzy je przejęli i wykorzystali (giganci netu: Google, Apple, Facebook, Amazon, no i służby). W czasach dawnych wojen pojedynczych żołnierzy, tych najliczniejszych, na samym dole hierarchii, tych, którzy szli do boju, nie wiedząc, za jaką, a na pewno nie swoją, sprawę ginęli, nazywano mięsem armatnim. My jesteśmy dzisiaj powietrzem i wodą dla garstki bogacących się, sprawujących kontrolę i wyznaczających trendy konsumpcji i zniszczenia planety w jednym.

Żyjemy w najpotężniejszej dyktaturze, która zarządza, organizuje, ogranicza, zmusza i kontroluje życie miliardów ludzi każdego dnia, 24 godziny na dobę, zawsze i wszędzie. I jest dla nas niewidoczna, chociaż zmienia wszystko. Prowadzi nas w otchłań niewyobrażalnej dystopii. Marcin Napiórkowski, semiotyka kultury, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, kreśli krajobraz polityczny tej kroczącej, wszechwładnej

dyktatury: „Od nieoliberalnej demokracji, przez pelżający autorytaryzm, ku coraz bardziej totalitarnej rzeczywistości rodem z dystopii SF. Obala kolejne rządy, wynosząc na urzędy tych, którzy krzyczą najgłośniej. Przeciwników władzy paraliżuje i zamienia w koncesjonowaną opozycję zajęta samozachwytem, inwetywami i topornymi memami. Knebluje dziennikarzy skuteczniej niż najlepszy urząd cenzorski i manipuluje emocjami biegłej niż XX-wieczni mistrzowie propagandy. A wszystko to pod hasłami powszechnego dostępu do informacji, wolności słowa oraz walki z establishmentem o równość i demokrację.

To dyktatura clickbaitu. Dyktatura, która przeorganizowała nasze media, społeczeństwo i politykę. Tu klikalność jest bogiem, oburzenie – wartością, limit znaków i *attention span* – jedynymi uznanymi prawami”.

Chwila przerwy, młody ukraiński kurier, przywiózł mi właśnie zamówione w sieci opony zimowe, niewiele ponad dobę po tym, jak przy użyciu karty kredytowej je kupiłem. Sąsiadka w SUV-ie trąbi na niego, bo musi 20 sekund poczekać na wjazd na podwórko. A przecież już moglibyśmy w tym czasie klikać. A ja krytykować internet.

Będiesz jeszcze kiedyś nasz, wspólny, publiczny – dziadu.

ROMAN KURKIEWICZ

MONDAY / 07:00 - 10:00
THURSDAY / 21:00 - 23:00

SLUCHAJ NA WWW.HALO.RADIO
LUB PRZEZ APLIKACJĘ MOBILNĄ
HALO.RADIO NA IOS I ANDROID

Przelot drona
ze stacji krwiodawstwa
na Saskiej Kępie
w Warszawie
do Instytutu Kardiologii
w Aninie na trasie 8 km
ma trwać kilka minut



Dronowy most medyczny

Ewa Smolińska-Borecka

Bez medialnego szumu trwają ostatnie przygotowania do rewolucji na polskim niebie. Już w listopadzie ma się odbyć pierwszy przelot drona medycznego, który wyruszy z Regionalnej Stacji Krwiodawstwa na Saskiej Kępie w Warszawie, a wyląduje w Instytucie Kardiologii w Aninie. Odległość 8 km dron ma pokonać w zaledwie kilka minut. Wielokrotnie szybciej, niż jechałaby karetka transportująca krew. Poznamy wtedy to lepsze oblicze drona, który nie musi podglądać nas, gdy grillujemy w ogrodzie, ale może ratować życie.

Dron Hermes, który wykona historyczny lot, ma osiem wirników, każdy o długości ok. 60 cm. Będzie leciał poza zasięgiem wzroku, bez udziału człowieka jako operatora, lot bowiem będzie całkowicie zautomatyzowany – sterowany przez komputer, a precyzyjnie przez czujniki i inteligentne algorytmy. Po wylądowaniu drona w Aninie wkroczy w nową erę wykorzystywania naszej przestrzeni powietrznej.

Wszędobylskie

Teraz, kiedy drony są do kupienia w marketach i stały się jednym z najbardziej pożądanych prezentów komunijnych, trudno sobie wyobra-

zić świat bez nich. W filmach i programach telewizyjnych coraz częściej pojawiają się ujęcia z powietrza, które kiedyś zdarzały się sporadycznie, bo wymagały kosztownego wynajęcia helikoptera. Drony sterowane przez operatora wykorzystuje się np. do poszukiwania ludzi. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja, kiedy dron jest sterowany przez komputer i przeszukuje teren według z góry określonego planu.

Szacuje się, że rynek dronów w Polsce w latach 2017-2026 osiągnie wartość ok. 3,25 mld zł. 30% będą stanowić zastosowania konsumenckie, czyli drony traktowane jako źródło rozrywki. Jednak, jak twierdzą

dronami. W 2016 r. narodził się pomysł, by wykorzystać je do transportu krwi z regionalnych centrów krwiodawstwa i krwiolecznictwa, których jest w Polsce 21, do szpitali, których mamy ok. 900. Pomysł z krwią pojawił się nieprzypadkowo, bo Werschner był absolwentem fizyki medycznej na Wydziale Fizyki i Informatyki Stosowanej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, a po studiach zaczął pracę w firmie dystrybuującej odczynniki do badań krwi przed transfuzjami. W branży krwiodawstwa pracował siedem lat. Sceptyków nie brakowało. Można powiedzieć, że Werschner głównie ze sceptykami miał styczność. Dziś

Już teraz trwają prace na dronem do transportu człowieka.

specjaliści, postanowiono wreszcie zaprząć drony do pracy. A jednocześnie dzięki nim nieco odblokować zakorkowane miasta, przenosząc część transportu na wysokość 150 m nad ziemią. Zsynchronizowanie tego ruchu w taki sposób, by nie było kolizji, to nowe wyzwanie.

Wizjoner

W 2017 r. powstała Polska Izba Systemów Bezzałogowych, której prezesem został Dariusz Werschner, już wcześniej zafascynowany

wspomina, że trzeba było nie mieć piątej kleпки, by się uprzeć, że możliwe jest stworzenie mostu łączącego branżę dronową i medyczną. Na forach internetowych o pomysłach dostarczania krwi za pomocą dronów zwykle dyskutowano krytycznie: że się nie opłaca, że drony nie mają racji bytu w transporcie towarów albo że w kraju nie ma warunków do rozwoju tej technologii.

Wizjoner – tak można by krótko określić Dariusza Werschnera. Myśl o transporcie krwi za pomocą dronów nie opuszczała go. Sławomir

Huczała z firmy Spartaqs projektującej i produkującej drony pamięta, jak Werschner przyszedł do nich, postawił na stole specjalistyczny pojemnik do transportu krwi i powiedział: „Słuchajcie, są takie i takie uwarunkowania, mamy do przelecenia 8 km, weźcie to, co jest na stole, i zróbcie z tego produkt”. A oni pojemnik obudowali dronem.

Teraz ich praca dobiega końca. Werschner jest zadowolony. Udało się pokonać wiele barier. – Jesteśmy w absolutnej czołówce, jeśli chodzi o przygotowanie transportu towarów dronami – mówi. – Stworzyliśmy kompleksową usługę – dronowy most medyczny. Wyzaczyliśmy trasę przelotu w taki sposób, by była jak najbezpieczniejsza dla ludzi. Przebiega przez tereny zielone, rzeki, ciekły wodne, przez obszary, gdzie nie ma placów, szkół czy przedszkoli. Zaczynamy od transportu krwi dlatego, że transport medyczny jest najważniejszy dla ludzi i spotyka się z najmniejszym oporem społecznym. Ludzie inaczej reagują niż w przypadku transportu zachcianek: pizzy czy książki. Drony medyczne uważają za pożyteczne.

Dzięki dronom da się odblokować zakorkowane miasta, przenosząc część transportu na wysokość 150 m nad ziemią.

Werschner jest przekonany, że pierwszy w Polsce automatyczny lot drona nad obszarem miejskim zakończy się sukcesem, a Ministerstwo Zdrowia zainteresuje się projektem. Aby możliwe było wprowadzenie transportu dronowego, należało pokonać kilka barier. Pierwszą – prawną, bo konieczne było przygotowanie odpowiedniego prawa regulującego ten transport. Duże wsparcie uzyskali od Pawła Szymańskiego, dyrektora Departamentu Bezzałogowych Statków Powietrznych w Urzędzie Lotnictwa Cywilnego. Potem trzeba było pokonać bariery technologiczną, organizacyjną, infrastrukturalną, społeczną, a na koniec biznesową.

– Bariery biznesową można będzie pokonywać dopiero wtedy, gdy dronostrada zacznie funkcjonować – precyzuje Werschner. – Kontrahenci zainteresowani zakupem usługi transportu dronem pytają nas o cenę, a my teraz nie jesteśmy w stanie

jej oszacować. Kiedy usługa zacznie funkcjonować, określimy faktyczny koszt utrzymania mostu dronowego i opłaty dla kontrahentów. Polska to niełatwy kraj do wprowadzania innowacji, ale naszej grupie, w skład której wchodzi m.in. producent dronów Spartaqs czy firma informatyczna Pentacomp, udało się pokonać problemy. Myślę, że za 10 lat drony będą ważnym środkiem transportu i nikt z tym nie będzie dyskutować. Obecnie prędkość dronów wynosi kilkadziesiąt kilometrów na godzinę, ale trwają prace nad nowymi systemami napędowymi i na pewno będzie większa.

Krok przed innymi

– To będzie pierwszy taki przelot w historii, nie tylko polskiej – mówi z przekonaniem Sławomir Huczała z firmy Spartaqs. – W Europie nie było przelotu nad miastem typu BVLOS, czyli poza zasięgiem wzroku, całkowicie skomputeryzowanego. Próby podejmowano w Szwajcarii, ale nieudane, więc projekt został zatrzymany. Widziałem tę szwajcarską konstrukcję – bardzo duże kwoty

w Centrum Naukowo-Badawczym Ochrony Przeciwpowodziowej – Państwowym Instytucie Badawczym.

– Gotowość osiągniemy w listopadzie – dodaje Sławomir Huczała. – Ale o terminie lotu zdecyduje zespół osób odpowiedzialnych za takie loty w Polsce, a więc instytucje i urzędy do spraw żeglugi powietrznej, które muszą wyrazić na to zgodę. Pierwszy przelot nad miastem zakończony sukcesem będzie przełomowy. Wtedy instytucje i wszyscy zainteresowani zobaczą, że ta technologia jest zaawansowana i możemy próbować z niej korzystać. Jesteśmy w pewnym sensie królikiem doświadczalnym. Chcemy otworzyć polskie niebo dla wszystkich służb. Proponujemy nie tylko drona, ale również całą strukturę zarządzania przestrzenią z użytkowaniem dronów i kompleksowe rozwiązania, które będą tańsze od zagranicznych, bo są krajowe.

W sieci można znaleźć informację o dronie chińskim, który ma udźwig 200 kg, a pod nią uwagę internauty, że jeśli udźwig uda się zwiększyć 10 razy, straż miejska będzie mogła za pomocą dronów odholowywać źle zaparkowane samochody. Specjalista z firmy Spartaqs nie jest tym zaskoczony, bo już przygotowują drona, który będzie mógł transportować człowieka. ■

Kiedy Polska będzie stepem,
na którym uchodźcy
z Afryki Północnej i Bliskiego
Wschodu będą wypasać bydło
należące do Niemców?
**Odpowiedź w nowym numerze
tygodnika „NIE”.**



Toksyczne poświęcenie

Niektórzy zaspokajają wyłącznie potrzeby innych. Nawet ich nastrój zależy od innych, czują się dobrze jedynie wtedy, kiedy ich bliscy czują się dobrze

Rozmawia Katarzyna Wierzbicka

Taka sytuacja: matka przygotowuje na święta tyle jedzenia, że nikt nie jest w stanie tego zjeść. Ale każdy wmusza w je siebie, bo przecież się starała. „Nie po to robiłam, żeby się zmarnowało”, mówi. I tak zamiast odpoczynku mamy pretensje. Kto tu jest toksyczny? Matka, która nagotowała za dużo, czy dzieci, które nie szanują jej starań?

– W psychologii mówi się nie o toksycznych osobach, ale raczej o toksycznych relacjach. Nikt nie jest „toksyczny” jako taki, natomiast może być stroną toksycznej relacji.

Na czym polega toksyczny związek?

– Toksyczna jest każda relacja, w której jedna strona czuje się słabsza, a druga silniejsza, i ta nierówność staje się podstawą do wykorzystywania swojej silniejszej lub słabszej pozycji. Niektórzy budują tożsamość na sile – np. poniżając drugą osobę – inni na słabości, poniżając siebie. Jednym z podstawowych celów rozwoju każdego człowieka jest autonomia, czyli samodzielność w myśleniu, działaniu, decydowaniu o sobie i zaspokajaniu swoich potrzeb psychicznych. Jeśli te rzeczy są uzależnione od drugiej osoby – słabszej lub silniejszej – autonomia jest zaburzona, a relacja z niej wynikająca – toksyczna.

Potrąfię sobie wyobrazić budowanie własnej siły na poniżaniu innych. Ale na czym może polegać budowanie własnej siły na poniżaniu siebie?

– Są ludzie, którzy żyją, zaspokajając wyłącznie potrzeby innych, a ignorując własne. Nawet ich nastrój uzależniony jest od innych. Czują się dobrze jedynie wtedy, kiedy ich bliscy czują się dobrze. Kiedy bliscy czują się źle – oni także funkcjonują gorzej. Żyją w rodzaju symbiozy z innymi. I czerpią z tego siłę – w ten sposób czują się potrzebni. Trzeba jednak pamiętać, że zdrowa dynamika w relacji opiera się na poczuciu, że „ja” jest tak samo



MAGDALENA SĘKOWSKA

– psycholog, psychoterapeutka, wykładowczyni na Uniwersytecie SWPS w Poznaniu. Prowadzi psychoterapię par, rodzin i indywidualną. Dyrektorka Kliniki Uniwersytetu SWPS Rodzina – Para – Jednostka.

ważne jak „ty”, i na odwrót. Tylko na takim założeniu można budować zdrowe „my”.

W nadmiernym skupieniu na potrzebach innych ludzi jest chyba jakiś element kontroli. Bo jeśli ktoś czuje się ze sobą OK tylko wtedy, kiedy jego bliscy są zadowoleni, to im z kolei trudno wyrazić jakąkolwiek frustrację z obawy przed sprawieniem tej osobie przykrości. Tak jak w przykładzie ze świętami: dzieci oczekują nie jedzenia, ale spokoju,

jednak nie mogą tego powiedzieć, bo to popsuje atmosferę.

– Ta kontrola jest nieuświadomiona, chociaż, rzecz jasna, w przytoczonej na początku sytuacji nie chodzi o jedzenie. Jedzenie odgrywa w naszej kulturze rolę symboliczną. Przyczyna naszych określonych zachowań jest właściwie zawsze ta sama – chcemy zaspokoić jakąś swoją potrzebę psychiczną. A jedną z najważniejszych potrzeb psychicznych każdego człowieka jest poczucie, że jest się ważnym. To nas łączy – każdy chce być ważny. Tylko mamy różne sposoby, żeby tak się poczuć. Jeśli matka dorosłemu synowi albo córce wręcza przy okazji każdego rodzinnego obiadu 10 jajek, to chce słyszeć nie: „Mamo, przecież tydzień temu też dałaś nam jajka”, tylko: „Jak dobrze, że jesteś”. Wiadomo, że nigdy nie chodzi o te jajka.

Rzecz w tym, że jeśli matka nadaje komunikat emocjonalny za pomocą jedzenia, to informacja zwrotna może dotyczyć jedzenia, a nie tego, co się za nim kryje. Ona tymi jajkami mówi: „Chcę być potrzebna”, a odpowiedź: „Nie chcę twoich jajek” rozumie jako „Nie chcę ciebie”.

– No właśnie. Toksyczność polega czasem na tym, że ludzie będący w relacji posługują się dwoma zupełnie różnymi kodami bliskości. Dla jednej strony mogą to być jedzenie albo prezenty, dla drugiej – czułe gesty albo rozmowa. Skutkuje to tym, że komunikaty, które wysyłają, są dla drugiej strony zupełnie nieczytelne. Ci, którzy wyrażają przywiązanie do drugiej osoby za pomocą słów, mają trudność z zauważeniem wyrazu uczuć np. w prezencie od partnera, bo to odpowiednie słowa kojarzą się im z bliskością. Nie rozumieją przy tym, że partner może się posługiwać innym językiem emocjonalnym. Z tym problemem często mierzą się przychodzące do mnie pary. On nie posprzątał, bo zapomniał, a w awanturze, która z tego się wywiązała, chodzi nie o porządek, tylko o to, że jego partnerka traktuje to jako wyraz braku miłości

czy szacunku. Często jednak jest tak, że on nigdy nie sprząta, bo ona go o to nie prosi – wtedy w niej narasta poczucie, że ona robi więcej, czeka zatem, aż on to doceni. Ale on nawet nie widzi problemu. Oczywiście te role nie są przyporządkowane do płci. Nie dotyczy to zresztą wyłącznie związków czy bliskich relacji. Niektórzy czerpią napęd i motywację do działania poprzez zaspokajanie potrzeb innych ludzi. Wśród znajomych albo w miejscu pracy są znani jako ci, których zawsze można o wszystko poprosić, którzy nigdy nie odmawiają. A potem przychodzą na terapię i mówią: „Wszystkim pomagam, wszyscy mnie lubią, ale moje własne życie się wali, nie wiem, kim jestem”.

Powiedziała pani, że podział na silniejszych i słabszych niekoniecznie pokrywa się z podziałem na mężczyzn i kobiety. Odnoszę jednak wrażenie, że to kobiety częściej wychowywane są do tego, żeby „poświęcać się dla rodziny”.

– To prawda, że głównie dziewczynom stereotypowo przypisuje się takie cechy jak bezkonfliktowość, łagodność, uступliwość czy bierność. Chłopcom z kolei przypisuje się inicjatywność, sprawczość. Jeśli dziewczynka nie radzi sobie z jakimś przedmiotem w szkole, stwierdza się, że „nie ma predyspozycji”, a o chłopcu mówi się wtedy: „Zdolny, ale leniwy”. Podobna logika przejawia się w sposobie ich wychowania i w stawianych wobec nich oczekiwaniach, a więc również w ich sposobie funkcjonowania w dorosłym życiu. Trzeba jednak pamiętać, że poświęcanie się dla innych jest, zwłaszcza w naszym kraju, szczególnie gratyfikowane. Zapominanie o własnych potrzebach spotyka się z uznaniem, czasami wręcz z podziwem. Proszę zwrócić uwagę, że ludzie, widząc np. matkę, która studiuje i pracuje, mówią: „Jaka jesteś dzielna, jak ty to robisz!”, niż pytają, w czym pomóc albo czy ona to w ogóle lubi. W poświęceniu kryje się coś agresywnego, bo jego idea wyklucza przyjemność z robienia czegoś. Jeśli robisz coś, czego nie lubisz, łatwo mi powiedzieć: „Jeśli ja mogę, to wy też możecie”, „Jeśli ja tak się postarałam, to wy macie teraz to zjeść”.

– I odwrotnie: człowiek, który jest autonomiczny, uważa swoje potrzeby za tak samo istotne jak potrzeby innych i potrafi znaleźć kompromis

między sobą a resztą świata. Nie robi czegoś, jeśli tego nie lubi, a jak coś robi – wystarczy mu to za nagrodę. Jednak w poświęceniu jest jeszcze coś głębszego: przekonanie, że na miłość trzeba w jakiś sposób zaspokoić. Miałam kiedyś klientkę, wikłającą się w związki z mężczyznami, którzy nie traktowali jej tak, jak ona by tego chciała. Kiedy ktoś traktował ją dobrze, czuła dysonans, nie potrafiła tego przyjąć jako czegoś naturalnego. Niektórzy przez lata tkwią w relacjach przemocowych, bo skłania ich do tego obietnica jakiejś nagrody. Łudzą się, że ich partner pewnego dnia zrozumie, że nikt go bardziej nie kocha, i odwzajemni się tym samym. Często są to związki oparte na symbiozie, współzależności. Jedna strona, żeby poczuć się ważna, poniża drugą, a druga to znosi z tego samego powodu. W istocie między partnerami nie ma żadnych granic – trudno im żyć razem, ale nie potrafią żyć bez siebie.

Niektórzy budują tożsamość na sile – np. poniżając drugą osobę – inni na słabości, poniżając siebie.

Ta wizja jest w gruncie rzeczy bardzo romantyczna, bo oparta na przekonaniu, że miłość oznacza cierpienie. Takimi przekazami zresztą prześiknięta jest kultura. Od dzieciństwa słyszymy chociażby, że „trzeba nieść swój krzyż”.

– Poświęcenie, bycie męczennicą, dobra praca kojarzona z zamęceniem się, osiąganie przyjemności stawiane na samym końcu – to przekazy ciągle jeszcze tkwiące w naszym społeczeństwie. „Najpierw obowiązek, potem przyjemność”, „Nie chwal dnia przed zachodem słońca”, „Zabieraj się do roboty, nie trwój czasu”. Zresztą jesteśmy narodem ludzi narzekających. Przy przypadkowym spotkaniu raczej powiemy o tym, co nie wychodzi, albo że jest tak sobie, albo że mogłoby być lepiej. Nie potrafimy się chwalić, mówić dobrze o sobie i o innych, stajemy się podejrzliwi. W tym narzekaniu i poświęceniu jest jednak jakiś ukryty sens – to nasz sposób na bycie w kontakcie z innymi, na bycie zauważonym. **Do tego dochodzi obraz matki Polki, dobrej o tyle, o ile jest odpowiednio umęczona. Wychodzi więc na to, że tzw. tradycyjna polska rodzina to układ, w którym wszyscy trochę zaciskają zęby: matka lepi kolejną**

porcję pierogów, chociaż wcale jej się nie chce, a cała reszta ostatecznie je zjada, choć czuje, że już nie może. Wszyscy są odpowiedzialni za wszystkich, ale nikt za siebie. Jak z tego wyjść?

– To długi proces, bo często chodzi o wzorce zachowania utrwalone przez lata. Terapia par opiera się w dużej mierze na przełamaniu tych wzorców i wynajdywaniu innych. Chodzi także o to, żeby postawić granice między własnymi potrzebami a potrzebami innych, żeby się oddzielić.

Należy jasno określić sobie, na co ma się wpływ, a na co nie. Czy tak naprawdę jest problem, który przeżywasz jako własny? Gdzie kończy się moja odpowiedzialność, a zaczyna innych? Branie odpowiedzialności za innych oznacza, że zakładamy, że nie mają oni zasobów, sił czy zdolności potrzebnych do poradzenia sobie z daną sytuacją. Kiedy myślimy i podejmujemy działania za nich, brakuje

już miejsca na ich działania i często wchodzi oni w rolę ofiary, utwierdzając nas w naszej roli „pomagacza”.

Budowanie zdrowych relacji zaczyna się od sposobów wychowania dzieci. Ważne, by już od początku życia dziecka nie traktować go jako swojego projektu życiowego ani nie wchodzić w rolę tzw. helikopterowych rodziców, którzy działają, zanim dziecko zdąży pomyśleć o tym, czego potrzebuje. Dziecko to oddzielna jednostka, która nigdy nie będzie taka jak my ani taka, jaką chcielibyśmy widzieć.

Żeby jednak postawić granice między sobą a światem, trzeba je najpierw rozpoznać. Wyobrażam sobie, że to musi być niezwykle trudne dla kogoś, kto całe życie definiował się poprzez innych i jest wyćwiczony w zapominaniu o sobie. Skąd ten ktoś ma wiedzieć, co właściwie lubi, a czego nie?

– Czasami warto wyobrazić sobie taką sytuację, w której nie ma żadnej „nagrody”, i zadać sobie pytanie, czy wtedy też robiłabym lub robiłbym to wszystko, co robię teraz. Trzeba pamiętać, że autonomia oznacza czasami odwagę bycia „niefajnym”, podjęcia decyzji, które nie wszystkim będą odpowiadać. ■



Baranina z wieprzowiny

Falszowanie żywności dotyczy niemal jednej czwartej produktów

Dorota Bartosewicz

Zakupy z ostatnich kilku dni: wołowina w sosie własnym z ciemnoszarymi kawałkami mięsa, dodatkowo z chrząstkami i skórkami, plus kebab barani bez baraniny i „kaczka na gorącym półmisku”, która jednak okazała się... indykiem. Przykłady pokazujące podwójne standardy producentów żywności można tylko mnożyć. Mielona wołowina, która w rzeczywistości była wieprzowiną, czy dorsz, a w praktyce czarniak. Z ostatniego raportu UOKiK wynika, że falszowanie żywności dotyczy już – bagatela – 23% produktów! Co najczęściej podrabiają polscy producenci, dlaczego i jak przed tym się bronić?

Piersi z wodą

Pod względem ilościowym – wbrew pozorom – nie mięso przoduje, ale ryby. Aż 35% skontrolowanych przez UOKiK produktów nie odpowiadało obowiązującym przepisom lub deklaracji producenta. (W przypadku wyrobów garmazeryjnych „tylko” 25,3%, a mięs i przetwo-

rów mięsnych – 13,7%). I tak wyszło na jaw, że niektóre firmy glazurowały je na potęgę – do tego stopnia, że zamrożonej wody było więcej niż samej ryby. „W filetach z mintaja stwierdzono 52% glazury zamiast deklarowanych 35%, w filetach z limandy żółtopłetwej z wodą dodaną – 43% glazury zamiast 35%. Z kolei masa filetów z morskiczka kapskiego w opakowaniu wyniosła 259,6 g zamiast deklarowanej 300 g”, zapisali potem kontrolerzy w raporcie.

Pod względem ilościowym pierwsze miejsce wśród podróbek zajmują ryby.

Tyle że producenci potrafią być jeszcze bardziej przebiegli. W grę wchodzi zarówno zaniżanie wagi, głównie sardynek i tuńczyka, jak i zamiana gatunku ryb. Zamiast soli mrożonej czy np. halibuta można było trafić na limandę żółtopłetwą, a dorsza zastępowano jego kuzynem czarniakiem. Późniejsze analizy w laboratorium wykazały też, że w kotletach rybnych znalazł się tośś atlantycki zamiast deklarowanego dorsza atlantyckiego. Inna była także zawartość związków fos-

Sprawdźmy, czy płacimy za produkt netto, a nie dopłacamy za tackę.

foru (8305 mg/kg przy maksymalnym poziomie 5000 mg/kg) czy np. białka (deklarowano 21 g/100 g, a było 6,6 g/100 g).

Na podobnej zasadzie producenci oszukiwali zresztą na: ozorach w galarecie – niższa masa netto, pyzach z mięsem – mniej nadzienia czy pierogach z soczewicą – za małą zawartość białka. Więcej za to było kwasu benzoesowego i sorbowego oraz soli, głównie w żółdkach wołowych w bulionie warzywnym. I to znacznie powyżej dopuszczalnej normy! Afery z rybami i garmazerką szybko jednak zostały przykryte kolejnymi, w tym dotyczącymi mięs (surowych). Kontrolerzy fałszywki wyliczają, jak Kowalski listę zakupów: dorzucanie do cielęciny lub wołowiny dużych ilości wieprzowiny (nawet 62%), dodawanie do fileta z piersi kurczaka... wody (nawet ponad 14%), a do parówek wieprzowych, a jakże, drobiu. I to powyżej 1%. Inne przykłady? W baraninie w przyprawach curry czy kebabie baranina-wołowina nie było baraniny, zamiast tego: wołowina/wieprzowina i drób. Większa niż deklarowana była też w mięsach ilość tłuszczu, np. w kiełbasie codziennej i w konserwie z dzika, czy soli – to w parówkach wieprzowych. A nawet, co gorsza, azotynów – także w parówkach. W tych reklamowanych hasłem „bez dodatku E”.

Chleb z cegłą

Kontrolerom nie spodobały się też inne kategorie produktów. Nic dziwnego, skoro teraz normą stało

się podrabianie miodu pszczelego (23,7% skontrolowanych partii), jaj (14,9%) i wyrobów cukierniczych (13,7%). Czytaj: w miodach więcej było cukru z syropu buraczanego „wzbogacanego” potem barwnikami i aromatami oraz antybiotykami, a mniej pyłku przewodniego (np. w lipowym do 7,7%, a nie co najmniej 20%). W czekoladzie z kolei było mniej, niż deklarował producent, nadzienia bądź orzechów (40,3%, a nie 50%). Jaja? Połowa jaj

w partii oznaczonej jako L, czyli duże, miała masę odpowiadającą klasie M – średnie.

Wcześniej wątpliwości ekspertów budziły także: miks tłuszczowy i tłuszcz do smarowania (z emulgatorami i konserwantami) w opakowaniach do złudzenia przypominających masło, olej z pierwszego tłoczenia zrobiony z wytluszczyn, to znaczy z przerobionej już masy (tak, to autentyk!), i pieczywo wieloziarniste – nie mylić z pełnoziarnistym – z reguły tylko posypywane ziarnami, by wydawało się zdrowsze. W praktyce nierzadko zabarwiane karmelem z dodatkiem syropu glukozowo-fruktozowego. W jogurcie *light* tłuszcz zastępowano wodą i zagęstnikami.

– Jest w ogóle produkt, którego nie da się podrobić? – nie dają za wygraną. – Nie ma – pada najczęściej w odpowiedzi. – Skoro podrabiane mogą być nawet ogórki kwaszone... Do ich fermentacji dodaje się np. ocet czy roztwory kwasów sorbowego lub benzooesowego.

Samo zjawisko fałszowania żywności nie jest jednak nowe, zastrzegają przy tym specjaliści. Zajmowano się nim od starożytności. W Grecji i w Rzymie najpopularniejsze było oszukiwanie na winie i mleku, do których dolewano wody. Do chleba dodawano kredę lub paszę zwierzęcą. W późniejszych wiekach czy to w pieczywie, czy w orientalnych przyprawach znajdowano również sproszkowane kwiaty, orzeszki ziemne, a nawet zmielone... muszle, pióra i cegły.

„Przemysł Spożywczy”, powołując się na jedną z prac naukowych, donosi: „Na początku XX w. herbatę barwiono siarczanem żelaza, kawę naturalną zaprawiano prażonym grochem czy cykorią, a nawet żużlem! Korniszony przyprawiano związkami miedzi, aby były zieleńsze, jęczmień zastępował płatki owsiane, węglanu ołowiu i miedzi dodawano do cukru, do piwa ekstrakt z trującej rośliny *Anamirta Paniculata*, której używano do otepiania ryb, a w piwie podnosiła sztucznie jego moc, co pozwalało na dalsze rozcieńczenie”.

Gorzej, znaczą drożej

Jeśli spytać ekspertów, czy w Polsce jest aż tak źle, odpowiadają: a skąd. Kilka lat temu po publikacji

„Weekly Hong Kong” stało się głośno o produkowanym tam ryżu. W rzeczywistości wyrób nie miał z nim nic wspólnego. Powstawał z dwóch odmian ziemniaków i... plastiku. Tego ostatniego było tyle, że zjedzenie trzech miseczek oznaczało zjedzenie jednej reklamówki, jak wyliczyło Stowarzyszenie Chińskich Restaura-

Najczęściej klienci byli wprowadzani w błąd w przypadku niepakowanych ryb, wędlin, jaj i pieczywa.

torów. Ostatnio sfalszowano nawet jajka. Do ich wyprodukowania wystarczyły: potas, żelatyna, chlorek wapnia, kwas alginowy i woda z syntetycznym barwnikiem. Skorupki też były sztuczne.

To skrajne przypadki, co nie oznacza, że za granicą skala zjawiska jest mała. Szacuje się, że dwie trzecie produktów sprzedawanych jako włoskie wcale nimi nie jest, bo powstają z reguły w Chinach, Australii i USA. Ba, fałszują je także sami Włosi – do co czwartej mozzarelli dodają co najmniej 30% mleka krowiego, a przecież oryginał powinien powstawać w 100% z mleka bawolego.

Również porównania wyrobów w poszczególnych krajach nie są optymistyczne, co pokazała analiza Komisji Europejskiej z 2017 r. (Polski wówczas nie uwzględniono, bo nie przeprowadziła własnego badania podwójnej jakości produktów

spożywczych). Rozbieżności między tymi samymi produktami jednej marki były bardzo duże. Jogurt truskawkowy w Słowenii miał 40% mniej owoców niż w Austrii. Ta sama mielonka w puszcze zawierała mięso oddzielone mechanicznie, jeśli kupiono ją w Czechach, a jeśli w Niemczech – wieprzowinę. Paluszki rybne w Sło-

wacji miały ryby 58%, w Austrii 65%. W skład lodów mógł z kolei wchodzić niezdrowy olej palmowy (Węgry) albo olej słonecznikowy (Austria).

Podobnie było nawet z daniami dla dzieci, często produkowanymi z większą ilością ryżu (Chorwacja) albo warzyw (Niemcy). „Produkt różnił się też barwą i aromatem. Niemiecka wersja zawierała także więcej oleju rzepakowego, będącego źródłem korzystnych dla zdrowia kwasów tłuszczowych omega-3. Warto dodać, że cena produktu w Chorwacji, ewidentnie gorszej jakości, była o 54% wyższa niż w Niemczech”, zauważył Instytut im. Mikołaja Sienickiego.

Policja od żywności

Kreatywność lub – jak wolą niektórzy – beczelność producentów żywności zadziwia nawet ekspertów. ▶



Wyślij SMS o treści AGNES

7412

koszt SMS 4,92 zł z VAT

91950

koszt SMS 23,37 zł z VAT

7910

koszt SMS 11,07 zł z VAT

i kup tapetę

Agnes miała wszystko. Chociaż splendor w końskim świecie wiele nie znaczy, to łączące się z nim dodatki są bardzo smaczne! Miała... Czas przeszły. I to właśnie czas pokonał Agnes. Nogi zaczęły ruszać się wolniej, mięśnie opadły, nawet błysk w oku przyszedł.

„Trzepot skrzydeł ptaka lecącego przez ogród. Potem nic. Nic. Chmura sunie po niebie. Znowu nic. Światło zagląda przez okno, pada na mnie, wnika we mnie.

Chwile. Wszystkie zgromadzone w tej jednej.”

Ten moment, kiedy organizm przegrzywa. Moment wątplenia, bo czujesz tylko smutek i żal. Moment, w którym ludzie się odwrócili.

Agnes ma około 20 lat. Nie jest już olśniewająca, a czasów jej świetności nikt nie pamięta. Wielokrotnie nie potrafiła sama się podnieść po śnie, który miał dać ulgę... Jeszcze teraz opuchlizna nad okiem o tym przypomina. Potrzebowała pomocy ludzi, więc ludzie się jej pozbyli.

Jesteśmy dla tych koni, które zawiódł świat. Dla których nie ma miejsca, bo zostały wymienione na lepszy model. Widzimy je, chociaż wielu odwraca wzrok. Pokazujemy je, żeby zobaczyli ci, którzy posiadają serca.

Czas do 11 listopada. Cena 4480 zł - bo tyle kosztuje życie i transport w bezpieczne miejsce - Zdajmy?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem AGNES na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 03

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

► Wielu mówi wprost, że pieniądź rządzi rynkiem. Albo że producenci traktują klientów jak dojne krowy. Inni zauważają, że jeszcze kilka lat temu nie do pomyślenia było oszukiwanie na produktach postrzeganych jako zdrowsze. Ale nie dziś. Pogoń za zyskiem, szukanie oszczędności i zacięta walka konkurencyjna zrobiły swoje. Do

przepisów związanych z fałszowaniem żywności, w tym podniesienia kar i konsekwentnego ich ściągania, drudzy akcji zwiększających świadomość społeczną. A jeszcze inni wdrożenia brakujących regulacji dotyczących np. przetworów owocowo-warzywnych.

Na razie Agnieszka Orlińska z Urzędu Ochrony Konkurencji

czy płacimy za produkt netto, a nie np. dopłacamy za tackę. Po trzecie, szukamy adresu producenta na opakowaniu – dzięki temu wiemy, kto i za co odpowiada. W końcu chodzi o nasze zdrowie. I po czwarte, sprawdzamy daty ważności na każdym opakowaniu. W naszym badaniu przeterminowane produkty pojawiły się w 14% partii. Czasem była to pojedyncza sztuka, a czasem cała seria.

– A co z parapolacją ds. żywności, jak chcieliby niektórzy? – dopytuję.

– Z tym będzie trudno. Zwłaszcza że na razie jakość żywności w Polsce kontrolują dwie instytucje. Główny Inspektorat Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych sprawdza producentów, a Inspekcja Handlowa – sklepy i hurtownie – wyjaśnia Agnieszka Orlińska.

Co prawda do Sejmu trafiały projekty ustaw, które zakładały, że kontrolą żywności miałyby się zajmować jedna instytucja, ale konkretny akt prawny nie został przyjęty.

Dorota Bartosewicz

Przedrostek bio- czy eko- to często tylko chwyt marketingowy.

tego stopnia, że nawet przedrostek bio- czy eko- nie gwarantuje już, że produkt tak opisany spełnia odpowiednie standardy, mówią specjaliści, prosząc o anonimowość. To po prostu chwyt marketingowy. Tym popularniejszy, że już 7% Polaków stawia na zdrową żywność.

Gorzej, że skutecznego sposobu na chronienie się przed oszustwami producentów nie ma – bo ci używają coraz bardziej skomplikowanych metod. Nic dziwnego, że wciąż pojawiają się nowe pomysły, jak z tym walczyć. Jedni chcą zaostrzenia

i Konsumentów radzi, by uważnie czytać etykiety, w tym spis składników („im krótsza lista, tym lepiej”). To szczególnie istotne w przypadku produktów sprzedawanych na wagę – kontrola wykazała, że najczęściej klienci byli wprowadzani w błąd lub niedoinformowani w przypadku niepakowanych ryb, wędlin, jaj i pieczywa. – Po pierwsze, nie bójmy się pytać o szczegóły. Takie informacje powinny być ogólnodostępne albo w postaci katalogu, albo plakatów czy wywieszek – zaznacza Agnieszka Orlińska. – Po drugie, sprawdzajmy,

Szkolenia WORDPRESS

Dedykowane szkolenia dla firm:

- projektowanie stron internetowych
- zarządzanie stroną www
- administrowanie stroną www
- modyfikacja / rozbudowa strony
- sklep WooCommerce

www.cmswordpress.edu.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Martwi i żywi

Święto Zmarłych już się oddala jak ostatni wagon żałobnego pociągu. Nie lubię tego czasu, listopad kojarzy mi się z gniciem liści, z wilgotnym chłodem i z depresją. Cmentarze w ten czas to supermarkety śmierci, wielkie tłumy jeszcze żywych odwiedzają już całkowicie martwych. A w tym wszystkim polska tradycja, która czyni z tego święta swoiste misterium. Czy dzięki temu Polacy są szczególnie uduchowieni? Jakimś cudem nie. Jednak to znamienne, że Święto Zmarłych jest polską specjalnością. To też celebrowanie klęski, bo śmierć jest jednak porażką. Pamięć ma ją ułagodzić. Mógłbym bez trudu zacząć teraz udowadniać, że to piękne i wzruszające święto, ale zostawiam to innym. Sam ostatnio jeżdżę na cmentarz kilka dni przed Zaduszkami, by nie jechać w czas ogromnego tłumu.

Grób rodziców jest na Powązkach, inne groby gdzieś się rozpięchły i popadły w nicość. Idąc teraz do rodziców, wpadam na wieczny dom przyjaciela z dawnych lat. Mimo śmierci nie mogę mu wybaczyć, że zdradził zdrowy rozsądek i stał się narodowym prawicowcem. Jeśli istnieje Bóg, wybił mu to z głowy, ale nie istnieje, o czym biedak nigdy się nie dowie.

To moja stara trasa, ale po raz pierwszy dostrzegam na dostojnym i starym grobie rodzinnym nazwisko Zofia Chączyńska. Pisarka, tłumaczka z hiszpańskiego, przez lata mieszkała w Argentynie, przyjaźniła się tam z Witoldem Gombrowiczem. Jest rok bodaj 1974 r., robię z nią wywiad. Pamiętam tylko wrażenie jej postaci, już nie młoda, ale ładna kobieta. I słyszę tylko jedno zdanie – kiedy mówi, że latynoski typowy mężczyzna nie ma poczucia, że miał kobietę, dopóki nie posiadał jej... – tu się zawahała – *per rectum*. Powiedziała to, patrząc mi w oczy. Tak wiele umarło w międzyczasie, a te słowa żyją, pewnie mnie zaskoczyły. Często z pogromu czasu wychodzą cało jakieś osobliwe drobinki. Blisko rodziców leży Leśmian, jak nie zająć na jego grób. Największy w polskiej sztuce specjalista od śmierci.

Nie tak dawno umarł Andrzej Żuławski. Ola Szarlát napisała ciekawą jego biografię, „Żuławski. Szaman”. Andrzej to było bardzo nieszcześliwe dziecko szczęścia. Miał, zdawało się, wszystko: świetnych przodków, talent, studiował we Francji, francuski znał jak polski, niezwykle przystojny, był z pięknymi, niezwykle kobietami. Zrobił karierę międzynarodową. Rozkochiwał w sobie ludzi, szczególnie kobiety, ale budził też wiele niechęci. Kaleczył i obrażał. Opisywał ludzi, jakby im wypruwał flaki. Bo życie to dla niego był spektakl, sam go reżyserował i grał w nim

główną rolę, więc wszystko było mu wolno. Utalentowany artysta, ale w swoim talencie poważnie wybrakowany, wszystko mu się jakby ulewało, nie trzymało brzegów. Jak celnie powiedziała jego żona (przez trzy lata), Basia Baranowska, on nigdy nie miał wątpliwości, nie zadawał pytań, gardził wszystkimi, cierpiał z tego powodu, ale to było od niego silniejsze. (Z Barbarą jadłem w Paryżu nie tak dawno obiad, ma już ponad 80 lat i nadal jest piękna, a pamiętam ją z czasów, gdy miałem lat sześć, już wtedy jej uroda robiła na mnie wrażenie). Ten brak wątpliwości Żuławskiego był artystycznym dramatem, bo dobrej sztuki nie da się tworzyć bez wątpliwości.

Andrzej, chociaż mało co i mało kogo cenił, bardzo lubił moje felietony, poczynawszy od tych drukowanych w paryskiej „Kulturze”. Była mu bliska moja krytyczna wizja Polski. Wśród niezwykłych jego kobiet znalazła się aktorka Sophie Marceau, przez lata jego żona. Piękna, inteligentna, miła, a to rzadkie u człowieka połączenie. Spędzaliśmy kiedyś razem sylwestra i byłem pod jej wrażeniem. Jego

Cała edukacja cofa się. Wchodzą idiotyczne, sztywne podstawy programowe, pachnie nacjonalizmem.

autodestrukcja dotyczyła też związków, wszystkie dramatycznie się rozpadały. Potem pisał o byłych partnerkach, jakby chciał je zamordować. Pamiętam, pijemy herbatę w jego domu w Wesolej, cierpiał po rozstaniu z Marceau, mówię mu, zaskakując sam siebie: „Andrzej, ty przecież nikogo nigdy nie kochałeś”. Drgnął, jakbym go obudził, i powiedział: „To prawda, ale nie mów o tym nikomu”. Wybacz, że mówię...

•
Nauczycielka historii z małego miasteczka opowiada mi, że w szkole jest regres. Cała edukacja cofa się. Wchodzą idiotyczne, sztywne podstawy programowe, pachnie nacjonalizmem. Uważa, że w nauce historii nauka patriotyzmu powinna być budowana na patriotyzmie lokalnym. I dopiero z tego lokalnego winno wynikać przywiązanie do tej wielkiej ojczyzny. A u nas w historycznej pedagogice coraz więcej wielkich słów, sztandarów, celebrowania klęsk, mitologizowania sukcesów. Coraz mniej prawdy, coraz więcej frazesów.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeklad.pl

Rozmawia Kuba Armata

„Malowany ptak” Jerzego Kosińskiego w chwili wydania wywołał w Polsce duże poruszenie. Nie obawiał się pan atmosfery kontrowersji, jaka towarzyszy tej książce?

– Wydaje mi się, że w tym wszystkim chodziło nie o samą książkę, ale o osobę Jerzego Kosińskiego. W „Malowanym ptaku” trudno się doszukać jakiegokolwiek śladu, że ta historia rozgrywa się w Polsce czy że bohaterowie posługują się językiem polskim. Problem dotyczył autora i jego życiorysu. Kosiński był mitomanem, bardzo często zmieniał wersje tego, co mówił, i trudno było się połapać, co jest prawdą, a co kłamstwem. Powszechnie wiadomo, że pisarz żydowskiego pochodzenia podczas wojny ukrywał się z rodzicami w domu polskiej rodziny, której zawdzięcza życie. Tymczasem przekonywał, że „Malowany ptak” to powieść autobiograficzna, przez co wiele osób zarzuciło mu kłamstwo. Ta książka to fikcja, podobnie jak mnóstwo innych dzieł, chociażby Hemingwaya czy Balzaka. Poza tym pojawiły się oskarżenia o plagiat. Wśród Polaków panowało przekonanie, że Kosiński zaatakował ojczyznę, wystąpił przeciwko niej. Nawet jeśli to absurdałne zarzuty, trudno niektórym to wytłumaczyć, zwłaszcza teraz. **Dlatego zabrakło Polski wśród ko-producentów „Malowanego ptaka”?**

– Najwyraźniej uznano, że ten film opowiada o Polakach. Przez to nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Polski Instytut Sztuki Filmowej dwa razy odrzucił nasz projekt. Odezwałem się też do 16 (!) firm producenckich. Żadna nie była zainteresowana współpracą. Co więcej, „Malowany ptak” nie ma na razie polskiego dystrybutora i nie zapowiada się, żeby to miało się zmienić. Pokazuje to skalę problemu i obawy przed filmem, który jest moją miłością. Może już nigdy nie zrobię kolejnego, bo nie wiem, czy to uczucie pojawi się znowu. Jeżeli sam starasz się szukać miłości, nigdy jej nie znajdziesz. To tak nie działa. To musi być przeznaczenie, które może przyjść, a może nie.

Pamięta pan pierwsze spotkanie z książką Jerzego Kosińskiego?

– Doskonale pamiętam, tak jak pierwszą refleksję, która mi towarzy-

Kiedy widz wychodzi przed końcem seansu

Jeśli chcesz zrobić film na podstawie książki, przeczytaj ją uważnie, a potem otwórz okno i wyrzuć ją bez żalu



VÁCLAV MARHOUL

– reżyser i scenarzysta „Malowanego ptaka”, czeskiego kandydata do Oscara

szyla podczas lektury. Miałem poczucie, że książka nasuwa wiele pytań. Podobnie jak w przypadku filmu nie powiedziałbym jednak, że jest o przemocy, raczej o miłości i humanizmie.

Doświadczenie podpowiada mi, że zarówno czytelnicy, jak i teraz widzowie podzielą się na trzy grupy. Pierwsza to ludzie, którzy nie dali rady przebrnąć przez całą książkę. Przeczytali, dajmy na to, 40 stron i doszli do wniosku, że już wystarczy. Szanuję to. Druga grupa to osoby, które książkę przeczytały, są nią poruszone, jednak wyłącznie za sprawą formy. Brutalności, przemocy, wielu okrutnych scen. W trzeciej są ci myślący, że to jedynie forma, a książka niesie też jakąś opowieść, refleksję.

Od samego początku obcowania z „Malowanym ptakiem” czułem, że należę do ostatniej grupy.

Z jakimi wyzwaniem i musiał pan się mierzyć, adaptując tę książkę?

– Uważam, że jest bardzo powtarzalna. Wiele dzieje się tam według tego samego schematu. Muszę przyznać, że druga część „Malowanego ptaka” nie jest dla mnie wybitna. Ktoś kiedyś powiedział, że jeśli chcesz zrealizować film na podstawie książki, przeczytaj ją uważnie, a potem otwórz okno i wyrzuć ją bez żalu. Scenariusz napisz na podstawie tego, co pamiętasz. Wydaje mi się, że to naprawdę działa.

Dlaczego zdecydował się pan opowiedzieć tę historię w czerni i bieli?

– Zdecydowałem się na to dziewięć lat temu, kiedy w Bieszczadach rozglądałem się za plenerami. Był wtedy wspaniały letni dzień. Piękne słońce, niebieskie niebo, soczysta trawa, las. Coś cudownego. Nagle trafiłem na niewielki cmentarz. W tamtym momencie zdałem sobie sprawę, że to nie zadziała, jeśli film będzie w kolorze. Brakłoby autentyczności, prawdziwości, a w tę historię ludzie musieli uwierzyć. Poczuję, że kolor mógłby to wrażenie odebrać. Pomyślałem też o Stevenie Spielbergu i jego „Liście Schindlera”. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie towarzyszyła mu podobna myśl.

„Malowany ptak” z uwagi na sceny bestialskiej przemocy nie jest łatwy do oglądania. Podczas premierowych weneckich pokazów ludzie wychodzili z sali, bo najwyraźniej było to dla nich za dużo. Myślał pan o widzu i jego wrażliwości, realizując film?

– Nie mam problemu z tym, że niektórzy widzowie wychodzą z seansu przed końcem. To tylko potwierdza, że „Malowany ptak” wzbudza spore

emocje. Wydaje mi się, że najgorszą rzeczą, jaka mogłaby spotkać reżysera, jest obojętność i znudzenie publiczności. Sprawiają, że o filmie bardzo szybko przestajemy pamiętać. Kiedy potem trafiamy na niego w telewizji, zastanawiamy się, czy go widzieliśmy, czy może nie. To byłaby dla mnie osobista tragedia. Prawem każdego widza jest opuszczenie sali w trakcie seansu. Rozumiem takie reakcje. Uważam jednak, że przemoc i brutalność nie są na pierwszym planie w moim filmie. Starłem się potraktować to zagadnienie z pokorą. Myślę, że daleko mi do podejścia, jakie reprezentuje w tej kwestii chociażby Quentin Tarantino. Uważam też, że publiczność kręci ten film razem

„Malowany ptak” miał być powieścią autobiograficzną, tymczasem jest fikcją.

ze mną, gdyż to, co widzowie zrobią z daną sceną, jakie nadadzą jej znaczenie, jest wyłącznie w ich głowach. Wydaje mi się, że ci, którzy zdecydowali się wyjść, nie zrobili tego ze względu na mnie. Zrobili to ze względu na siebie. Ich doświadczenie, wyobraźnia zadziały.

W filmie, podobnie jak w książce, na całe zło, okrucieństwo patrzymy oczami małego chłopca, świadka i uczestnika tych wydarzeń.

– Sam jestem ojcem i mam czwórkę dzieci. Mam świadomość, że seans będzie szczególnie bolesny dla rodzica. Egzystujemy przede wszystkim dla swoich dzieci. Tylko one są niewinne, dorośli już nie. Dlatego chłopiec jest tu symbolem ludzkiego losu, przeznaczenia. Zawsze bardziej porusza, kiedy mówimy w tym kontekście o dzieciach. Nie zrobiłem tego jednak, by przesunąć granice czy wycisnąć z ludzi emocje.

Dlaczego zatem?

– Kiedy przygotowywałem się do realizacji filmu, przeczytałem wiele książek, nie tylko powieści. Sporo

dotyczyło psychologii dziecka oraz najmłodszych w obozach koncentracyjnych podczas II wojny światowej. Było to dla mnie zaskakujące, ponieważ doszedłem do wniosku, że dzieciom przeżyć w tych miejscach było znacznie łatwiej niż dorosłym. A to dlatego, że ci drudzy są obciążeni mnóstwem wspomnień. Przypominamy sobie okres dzieciństwa, moment, kiedy poszliśmy do liceum, pierwszą miłość, ślub, narodziny potomka. Dzieci z kolei mają bardzo płytkie wspomnienia, dzięki czemu nie mogą w nich utonąć.



Malowany ptak

Podobnie jest z przyszłością. Kiedy my planujemy, co chcielibyśmy robić przez następne 10 lat, horyzont dzieci obejmuje raptem kolejny dzień. Nie potrafią sobie wyobrazić nawet następnego tygodnia. To bardzo pomocne w takich miejscach jak więzienie, zamknięcie, obóz koncentracyjny.

Wspomnienia były zatem największym problemem dorosłych w obozach koncentracyjnych?

– Sentymentalizm, marzenia, pamięć o tym, jak życie wyglądało przed wojną. Zastanawianie się, jak będzie się rysowała codzienność, kiedy przetrwają tę gehennę. Może

to się wydawać pomocne, ale wcale takie nie było. Tymczasem dziecko żyło z godziny na godzinę. Brało tę sytuację za fakt. Podobnie jest w filmie. Mój bohater przyjmuje te wydarzenia jako fakt. Nie mówi, co jest dobre, a co złe. Po prostu stara się przetrwać. Budzi się w nim zło, bo wszyscy dookoła tacy są. Ten chłopiec jest jedynie myszką starającą się uciec z potrzasku. On jeszcze nie ma takiej wiedzy, jaką mamy my, widzowie. Rozdział po rozdziale się zmienia. Zaczyna jako niewinne dziecko, a na końcu staje się oprawcą. Nie

zdaje sobie jednak sprawę, że to złe, bo dokładnie tak wygląda rzeczywistość, w której przyszło mu funkcjonować. Moją największą ambicją związaną z tym filmem było zadawanie pytań, a nie udzielanie odpowiedzi. To może sprawić, że ludzie będą chcieli nad tą historią się zastanowić, znaleźć własne wyjaśnienia, bo ani film, ani książka Jerzego Kosińskiego ich nie przynoszą.

Pierwszym pytaniem, które narzuca się w trakcie projekcji czy lektury, jest to, skąd w ogóle bierze się zło.

– Zło pochodzi z wnętrza człowieka, każdy z nas je w sobie nosi. Podobnie jak dobro. Każdego dnia toczy się w nas permanentna walka między tymi dwiema siłami. Warto zauważyć, że zło najczęściej jest kwestią okazji. Dobrze ilustruje to eksperyment Philipa Zimbarda. Zebrał 24 studentów i podzielił ich na dwie grupy – więźniów i strażników. ▶

Václav Marhoul – czeski scenarzysta, reżyser, aktor. Absolwent praskiej FAMU. W latach 90. dyrektor Studia Filmowego Barrandov. Jego reżyserski debiut „Sprytny Filip” z 2003 r. to adaptacja opowiadań klasyka amerykańskiego kryminału Raymonda Chandlera. Nad „Malowanym ptakiem” pracował 11 lat.

► Po kilku dniach ich relacje podążyły w stronę ekstremum. Pojawiły się brutalność, sadyzm, patologia. Pogodzenie się z tym, że w każdym z nas jest zło, nie jest łatwe. Musimy jednak starać się je powstrzymać i próbować czynić dobro.

Czyste zło kojarzy mi się przede wszystkim z postacią Garbosa, w którego wciela się Julian Sands.

– Początkowo o tej roli rozmawiałem z Johnem Malkovichem. Spotkał się dwa razy. Johnowi bardzo

przyprawia chłopca do domu. Chodziło o skłonności pedofilskie. Uznałem, że to będzie lepiej działało. Garbos, tak jak mówisz, jest ucieleśnieniem czystego zła i najbardziej negatywną postacią w całym filmie.

W ogóle udało się panu zebrać świetną międzynarodową obsadę – Harvey Keitel, Udo Kier, Stellan Skarsgård...

– Ze Stellanem wiąże się specjalna historia. Wszystko zaczęło się w 1994 r. Zadzwoił do mnie

nie znają turyści. Po dwóch dniach był pod dużym wrażeniem i wyjechał z mnóstwem wspomnień.

Co było dalej?

– Pisałem scenariusz „Malowanego ptaka”. Kiedy doszedłem do jednej z postaci, zaświeciła mi się lampka w głowie: „O mój Boże, przecie to Stellan”. Złożyło się też tak, że w 1995 r. był w Pradze, gdzie kręcił film, po którym zyskał status gwiazdy, czyli „Przełamując fale” Larsa von Triera. A ja po tych wielu latach napisa-

łem SMS: „To ja, Vaclav, Praga 1994. Pamiętasz?”.

Odpowiedź przyszła po trzech minutach: „Oczywiście, że pamiętam. Za-

dzwoń do mnie”. Opowiedziałem mu o swoim pomysle, on zresztą dobrze znał książkę Kosińskiego. Powiedział jednak, że musi mu się spodobać scenariusz, by w to wszedł. Taki był początek. Z kolejnymi aktorami było stosunkowo łatwo, bo każdy reagował entuzjastycznie, gdy dowiadywał się, że mamy już Stellana (śmiech).

Kuba Armata

Kosiński był mitomanem, bardzo często zmieniał wersje tego, co mówił, i trudno było się połapać, co jest prawdą, a co kłamstwem.

się spodobał scenariusz, ale ostatecznie zdecydował się na inny film, w którym miał 25 dni zdjęciowych, a nie pięć jak u nas. Było to całkowicie zrozumiałe. Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Angażując Juliana, przepisałem cały rozdział dotyczący Garbosa w scenariuszu. Potrzebowałem mocniejszego motywu, dla którego ten bohater

przyjaciel, ceniony szwedzki dziennikarz, i zapytał, czy mam jakieś plany na najbliższy weekend. Wspomniał o swoim znajomym, nieznanym aktorze Stellanie Skarsgårdzie, który wybiera się do Pragi i dobrze by było się nim zaopiekować. Powiedziałem, że nie ma problemu, i tym sposobem spędziliśmy fantastyczny weekend. Pokazałem Stellanowi Pragę, jakiej


Kraków

Prezydent Miasta Krakowa Jacek Majchrowski oraz Fundacja Piosenkarnia Anny Treter zapraszają na

XII FESTIWAL TWÓRCZOŚCI KOROWÓD 2019

KONCERT GALOWY

Autor! Autor!



Krzysztof DAUKSZEWICZ

Łukasz JEMIOŁA

Robert KASPRZYCKI

Monika KOWALCZYK

Krzysztof PIASECKI

Adam STRUG

Grzegorz TOMCZAK

Anna TRETER

Hanka WÓJCIAK

16.11.2019, godz. 19:00, OPERA KRAKOWSKA

WWW.PIOSENKARNIA.PL

organizator festiwalu:



partnerzy festiwalu:




przyjaciele festiwalu:





gości festiwalu:






48 PRZEGLĄD 4-11.11.2019

epresa.pl 5fd8d88f84



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zespół niespokojnych bioder

Znajomy dziennikarz sportowy opowiedział mi, jak kiedyś leciał na mecz razem z delegacją kiboli. Stosownie podchmieleni postanowili w pewnym momencie sprawdzić, czy potrafią rozhuścić samolot. Rytmicznie skacząc, skandowali dla otuchy „Nigdy nie spadnie! Samolot nigdy nie spadnie!”. Przypomina mi się ta anegdota, ilekroć słyszę rytualne już bez mała zdumienie z mojej strony barykady – znowu afera, znowu świństwo, a słupki ani drgną. „Nigdy nie spadnie, PiS-owi nigdy nie spadnie!”. Przyjmijmy asekurancko, że za milion lat, kiedy na Ziemi zostanie już tylko jeden człowiek i przypadkiem będzie to statystyczny Polak, zanim spróbuje splądrować jadalne resztki po ludzkości lub zasiać coś na poletku, odnajdzie dawny lokal wyborczy i zgłasza na PiS. Wypada wreszcie się zorientować, że kaczym nie spada nie p o m i m o notorycznego przekraczania granic przyzwoitości, lecz w ł a ś n i e d ł a t e g o, że są przekraczane. Sam kiedyś stałem przed kordonem policyjnym, trzymając szeroki na całą ulicę transparent z hasłem „Tu są granice przyzwoitości”, i czułem podwójny dyskomfort – po pierwsze nikt mnie nie upoważnił do wyznaczania granic, poza tym czemużby suweren i jego reprezentanci mieli ku przyzwoitości zmierzać? Granice przyzwoitości teoretycznie winny wyznaczać np. mury klasztoru, by nie rzec plebanii. W praktyce wygląda to nieco inaczej, lud boży dowiaduje się wciąż o nader swobodnym stosunku kapłanów do moralności, a przynajmniej o sporym rozżewie między praktyką a katechezą. Lud z inspiracji wciśbiskich reżyserów i dziennikarzy naoglądał się takich bezeceństw, że – choć wciąż karnie się stawia na mszy – zaczął sobie wyobrażać to i owo, a nawet rozpuszczać niszczycielskie plotki. Na przykład urlopowany ks. Tymoteusz Szydło może mieć kłopot z powrotem do zawodu, skoro za zwracanie się do niego *per* ojciec człowiek się narazi na sprawę karną. Cokolwiek opóźnione dementi ze strony adwokatów syna byłej premier sugeruje, że mieliśmy do czynienia z ciążą urojoną (przez lud, rzecz jasna). Wzrusza mnie prostoduszność tej wieści gminnej: ksiądz, jak już złamał nieszczęsny celibat, na pewno uczynił to spontanicznie, uległ słabości, „darzył się” z wybranką bez zabezpieczenia, *ergo*: obdarował poczęciem. Rozumiuję, że dla katolików to mniejsze zło niż np. folgowanie zespołowi niespokojnych bioder w sposób metodyczny, z użyciem antykoncepcji.

Lęk przed seksem, obecnie przeżywany przez naród jako lęk przed seksualizacją, u katotalibów (tak nazwę fundamentalistów dla ich odróżnienia od katolików racjonalnych) paradoksalnie idzie w parze z pochwałą wielodzietności. W środowisku radykałów mężczyzna, który

spłodził mniej niż pięcioro dzieci bywa krotocwilnie nazywany impotentem. Zwichwost, śmigus dyndus – zwał jak zwał, narząd, który nie jest dość wydajny to wisząca nieprzyzwoitość; suche sny o niewydolności płciowej przyprawiają prawicowych wojów o nerwicę. W ich imaginariu idealny mężczyzna to taki, który wiecznie walczy, a z wojny wraca na przepustkę tylko po to, by zrobić kolejne dziecko, najlepiej płci męskiej. Stąd ciągoty prawej strony do alternatywnych światów *fantasy* oraz umiowanie średniowiecza. Gwoli sprawiedliwości dodać muszę, że radykałowie z lewa też mają swoje dogmaty seksualne. Zdarzyło mi się zostać pouczonym przez jedną z lwic najnowszej fali feminizmu, kiedy zapytałem, jak jej się mieszka z chłopakiem. „Nie mieszkamy ze sobą, jesteśmy poliamoryczni”. Zachnęła się przy tym, jakby chciała dodać: „to chyba oczywiste”. Znowu zapomniałem, że idea sharingu w kręgach ideologów z ul. Foksal uległa totalizacji – ostatnio zostałem zrugany, kiedy odesłałem do swojego tekstu w gazecie, zamiast udostępnić darmową

Lęk przed seksem, przeżywany przez naród jako lęk przed seksualizacją, u fundamentalistów idzie w parze z pochwałą wielodzietności.

pastę w necie. Zeswojszczyłem sobie zatem czym prędzej termin poliamorysta na wieloryp i zanotowałem w kaje-ciku, że tych ze skrajnej lewej nie wolno pytać o pożycie małżeńskie, tych z prawej zaś absolutnie nie zagadywać o to, jak się czuje ich córka jedynaczka.

Będąc młodym poetą, wywiedziałem się niegdyś od starszyny literackiej, że nieprzyzwoicie jest używać w wierszu słowa kocham. Wskutek czego zostałem prozaikiem. Zapytywany przygodnie, o czym są moje książki, mogę od 20 lat bezpiecznie odpowiadać, że o miłości. Wszelako nie stałem się od tego autorem przyzwoitym. Niedawno zrozumiałem zresztą, że starszyna literacka nie miała racji. Najpiękniej dowiódł tego ostatnio mój sąsiad, który przez dwie dekady kisił w szufladzie prześliczny poemat pt. „Uważam, że cię kocham”. Piotr Jasek, bo o nim mowa, właśnie wydał swój czule sensualny zestaw wierszy miłosnych w wydawnictwie Wolno i jest to rzecz nieprzyzwoicie dobra. Liryczna edukacja seksualna przeprowadzona z takim rozmachem, że wzruszy i rozjuszy wszystkich od lewego do prawego skraja. Po tej lekturze chce się kochać.

Wojciech Kuczok jest prozaikiem, poetą, krytykiem filmowym i scenarzystą. Laureat Paszportu „Polityki” w dziedzinie literatury za rok 2003 i literackiej Nagrody Nike 2004 za powieść „Gnój”.

TEJ WOJNY NIE BYŁO?

„Damaszek 2045” to sztuka z gatunku *political fiction*, wyraźnie inspirowana twórczością Orwella i Saramago. Ukazuje Syrię, w której dokonano podmiany historii – wprowadzono do zbiorowej świadomości wypręparowaną jej wersję, która wymazywała rzeczywisty charakter wojny domowej, zastępując to obrazem walki z ISIS jako siłą poniekąd zewnętrzną. Kiedy pewnego dnia fałszywa historia zaczyna się kruszyć – w muzeach i wszystkich archiwach ze zdjęć ofiar wojny w niejasnych okolicznościach znikają twarze – sprawą muszą się zająć tajne służby. Wtedy prawda dochodzi do głosu. Syryjscy artyści, autor i reżyser, próbujący opisać wojnę domową z dystansu, korzystając z poetyki *science fiction*, muszą na koniec skapitulować. Nie można o tym mówić bez emocji.

Zabieg opowiadania o wojnie *à rebours*, za pośrednictwem wyparcia jej ze społecznej pamięci, to intrygujący sposób uprawiania refleksji nad istotą historii i pamięci. Autor nie wikła się w opis sposobów, jakich użyły władze,

aby ingerować tak głęboko w świadomość całego narodu, unikając grzechu wielu tekstów SF, opartych na kruchych podstawach pseudonaukowych. Interesuje go nie to, jak władzy udało się dokonać zamiany, ale jakie były tego konsekwencje.

Inscenizacja wiernie trzyma się wizji autora dramatu (m.in. wprowadza cyberpostacie na

ekranie, obrazy zniszczeń wojennych), który, podejmując ważny temat tak chętnie uprawianego przez ideologów majstrowania w przeszłości, zaniedbuje jednak rysunek głównych postaci. Mamy do czynienia raczej z inteligentnym szkicem politologicznym niż z utworem wyposażonym w atrybuty dramatycznego konfliktu. Dlatego i poszczególne postacie to zaledwie szkice.

Tomasz Miłkowski

Mohammad Al Attar, „Damaszek 2045”, przekład Agnieszka Piotrowska, reżyseria Omar Abusaada, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 20 września 2019



„Aida”, musical Eltona Johna i Tima Rice’a, przekład Michał Wojnarowski, reżyseria Wojciech Kępczyński, kierownictwo muzyczne Jakub Lubowicz, choreografia Agnieszka Brańska, Teatr Roma, polska prapremiera 26 października 2019

MIŁOŚĆ AIDY

Teatr Roma sprowadził do Warszawy musical „Aida” oparty na znanej historii operowej. Zamiast wielkich arii Verdiego mamy tutaj współczesne jazzujące songi Eltona Johna, sporo tańca i fabułę pokazującą bliżej i bardziej przekonująco, jak narodziła się zakazana miłość więtej do niewoli księżniczki i egipskiego wojownika Radamesa. Bardzo interesująca jest strona wizualna spektaklu, w niewielkim tylko stopniu stylizowana na starożytny Egipt. Pokaz mody dla Amneris, córki faraona, mógłby z powodzeniem odbywać się współcześnie w Mediolanie czy Paryżu. Publiczności to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Głośno wyraża zachwyt. Ci zaś, którzy nie lubią historii ze smutnym zakończeniem, będą mieli namiastkę happy endu.

Bronisław Tumitowicz

NA POWAŻNIE

SEN BEZ MELATONINY

Opera Krakowska sięgnęła po scenarzystę wszech czasów, Williama Szekspira, i jego „Sen nocy letniej”, zilustrowany muzycznie przez Feliksa Mendelssohna-Bartholdy’ego. A dokładniej, sięgnął włoski choreograf i reżyser Giorgio Madia, który wcześniej dał się poznać w Krakowie inscenizacjami „Kopciuszka” i „Orfeusza i Eurydyki”.

Trzeba powiedzieć, że pierwsza premiera w nowym sezonie – nietypowa, bo to balet – zaczęła z wysokiego c. No, może z bemolem. Przedstawienie tchnie nowością, choć wiele w nim z *commedii dell’arte*, w dobrym tego słowa znaczeniu, komizmem, który wywołuje śmiech widzowi, ale nie rechet znany z telewizyjnych powtórek kabaretów. Madia znakomicie połączył taniec solistów z grą aktorską i akrobatyką (świetny Gabriele Togni jako Puk). Doskonale wykonawców było więcej, w zasadzie należałoby wyróżnić wszystkich. Do tancerzy dołączyła grupa aktorów, którzy umiejętnie wkomponowali się w konwencję inscenizacji.

Bemolem, ale tylko przy pierwszych dźwiękach, była orkiestra, która jakby strachliwie podeszła do rozbudowanej

dosyć muzyki twórcy „Marsza weselnego” – ten jednak zabrzmiął już całkiem paradnie.

Premiera „Snu” odbyła się w obchodzony po raz pierwszy Światowy Dzień Opery. Krakowska inscenizacja w pełni dowiodła zasadności ustanowienia takiego święta. Był to bowiem „Sen”, do którego nie potrzeba melatoniny.

Paweł Dybicz

Felix Mendelssohn-Bartholdy, „Sen nocy letniej”, choreografia Giorgio Madia, dyrygent Marcin Nałęcz-Niesiołowski, Opera Krakowska, premiera 25 października 2019



ZAJRZYJ TU



STANISŁAW HAWRUS Moje góry

Dla tego fotografika obdarzonego ogromną wrażliwością na piękno świata góry są lekarstwem na problemy i zawiłości losu. „Cały ich romantyzm sprawia, że odzyskuję chęć do życia, że znów pojawia się uśmiech na mojej twarzy. Góry są dla mnie miejscem niezwykłym, bez którego nie potrafię egzystować. Od nich zaczęła się moja przygoda z fotografią i stanowią one moją nieustającą inspirację”, mówi Stanisław Hawrus. Jak mało kto potrafi on uchwycić wyjątkowość chwili, choć twierdzi: „Uczę się nadal, a każde zdjęcie to kolejna lekcja fotografii. Fotografia to dla mnie coś miśtycznego: prawie zawsze rezultat jest niespodzianką”.

**ELCKIE CENTRUM KULTURY,
GALERIA ŚLAD, OD 8 LISTOPADA
DO 15 GRUDNIA**



DISCO RELAKS

Disco polo to ścieżka dźwiękowa polskiej transformacji, której 30-lecie przypada w tym roku. Wystawa zrealizowana w ramach projektu Rzeczy Kultowe przedstawia fenomen disco polo na tle przemian społeczno-gospodarczych lat 90., złotego wieku tego gatunku, gdy na rynku grasowali piraci, a kasety nagrywano w garażach. Prezentuje bogate materiały wizualne, a zwłaszcza sylwetki kobiet, których twórczość wniosła ożywczy, zmysłowy powiew w zdominowany przez mężczyzn *show-biznes*. Pomysł wyszedł od Anny Grunwald, kierowniczki Działu Edukacji PME w Warszawie: „Pomiędzy uwielbieniem fanów a nienawiścią krytyków oczyma naiwnej wyobraźni widzę most, na którym spotkają się, by porozmawiać. W tworzeniu okazji do tego widzę największy potencjał edukacyjny”. Wystawie będą towarzyszyć oprowadzania kuratorskie, debaty i warsztaty. Wstęp bezpłatny.



**WARSZAWA, PAŃSTWOWE MUZEUM
ETNOGRAFICZNE, DO 1 MARCA**



IDZIE MŁODOŚĆ. I GRUPA KRAKOWSKA

Nowa wystawa w kamienicy Szołajskich poświęcona jest historii I Grupy Krakowskiej, do której należeli tacy twórcy jak Aleksander (Sasza) Blonder, Blima (Berta) Grünberg, Maria Jarema, Leopold Lewicki, Adam Marczyński, Bolesław Stawiński czy Jonasz Stern. Poznajemy ich za pośrednictwem prawie 300 prac: rysunków, grafik, rzeźb i obrazów oraz prac o charakterze abstrakcyjnym. „Silnie reprezentowana jest tematyka społeczna oraz twórczość projektowa w zakresie scenografii i kostiumów teatralnych. Prace te ilustrują wielotorową twórczość Grupy Krakowskiej. Ujawniają nie tylko piętno, jakie odcisnęli na jej członkach profesorowie Akademii Sztuk Pięknych, ale też wpływ artystów z kręgu Komitetu Paryskiego, a przede wszystkim recepcję sztuki awangardowej”.

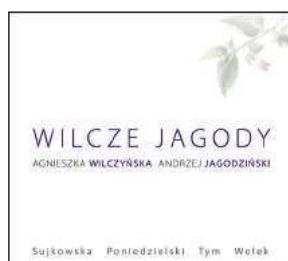
**MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, KAMIENICA SZOŁAJSKICH,
DO 5 STYCZNIA**

ZASŁUCHAJ SIĘ

Agnieszka Wilczyńska,
Andrzej Jagodziński
Wilcze Jagody
Studio Realizacji Myśli Twórczych

Poezja! To o jakości, co do gatunku zaś – poezja śpiewana, na jazzowo. Wokalistka Agnieszka Wilczyńska z pianistą, kompozytorem i aranżerem Andrzejem Jagodzińskim współpracuje od 2004 r., realizując

różne projekty w mniejszych lub większych składach, m.in. nagrodzony



w 2016 r. Fryderykiem album „Tutaj mieszkam”, ale to ich pierwsza płyta w duecie. Liryczna, kameralna muzyka zagrana na fortepianie i akordeonie przez jej autora, poetyckie teksty i ciepły, pełen uczucia głos. Piosenki wolne od lęku przed delikatnością i czułością – rzadkość w świecie zdominowanym przez hałas i agresję. Z drugiej strony,

jeśli płyta ma taki tytuł, to nie może o życiu, a zwłaszcza o miłości mówić słodko, bo tylko wyjątkowych szczęściarzy to uczucie nie uraczyło jakąś dawką truciizny. W końcu „w słowie miłość drzemie, drzemie »ość«”. A wykonawczyni też pokazuje pazur w bogatych wokalizach.

Aleksandra Pańko

Kolumny przygotowała
Aleksandra Pańko

Herbata dobra na wszystko

Początkowo była niezwykle drogim towarem i tylko zamożni mogli sobie pozwolić na gościnę przy filiżance



Obraz Borysa Kustodiewa „Portret kupcowej” z 1918 r.

Patrycja Spytek

Dzień bez filiżanki aromatycznej i pobudzającej zmysły herbaty dla wielu z nas jest dniem straconym. Jedni piją czarną, drudzy zieloną, jeszcze inni czerwoną. Jej gatunków i technik parzenia nie sposób zliczyć. Usiądźcie wygodnie w fotelu i rozkoszując się smakiem ulubionego naparu, dowieście się, jak wyglądała ceremonia picia herbaty u naszego wschodniego sąsiada.

W 1638 r. mongolski chan przekazał carowi Rosji Michaiłowi Fiodorowiczowi wielki dar – sześć pudów

W Rosji, gdy uczestnik spotkania wypił dość herbaty, kładł filiżankę bokiem, dając sygnał gospodyni, że się nasycił.

herbaty. Postowie w obawie przed gniewem cara prosili, aby zamienić herbatę na sobolowe skóry. Jak się domyślamy, chan kategorycznie odmówił; niepokieszeni postowie wrócili do Rosji z tajemniczym towarem. Na szczęście nadwornemu lekarzowi napar przypadł do gustu i następnego dnia herbata pojawiła się na carskim stole. Niestety, zapasy szybko się skończyły, została więc zapomniana na kolejnych 40 lat. Traf chciał, że w 1675 r. inni dyplomaci przywieźli herbatę tym razem z Chin. I tak powstał Wielki Szlak Herbaciany.

Na początku XVIII w. picie herbaty na Rusi było już obrzędem i miało rytuały. Przy filiżance herbaty podejmowano ważne decyzje, dobijano

targu, a nawet prowadzono negocjacje. W przydrożnych zajazdach delektujący się gorącą herbatą milionerzy podpisywali umowy handlowe.

Od dawien dawna herbatę stosuje się w celach kulinarnych oraz w kosmetyce. Sekretem popularności naparu jest smak i aromat, ale przede wszystkim jego naturalne właściwości. Herbata gasi pragnienie, działa ożywczo na organizm, zawiera wiele biologicznie aktywnych substancji, pobudza pracę centralnego układu nerwowego, podwyższa wydajność fizyczną człowieka, stymuluje układ krwionośny, a także zawiera witaminy C, B₁, B₁₂ i PP.

Dzisiaj herbatę piją wszyscy. A jeszcze do niedawna Europejczycy nie potrafili z nią się obchodzić. Rosyjska pieśń ludowa opowiada historię, jak jeden z bojarów nakazał kucharzowi przyrządzić herbatę. Ten, nie wiedząc, jak się ją podaje, ugotował herbatę, doprawił pieprzem i natką pietruszki. Gdy pan zaczął go besztuć, szybko zrozumiał, że nie dodał soli.

Rosjanie wnet pokochali smak herbaty. Bez względu na pogodę za oknem, czy to lato, czy zima, pito ją z samowara. Gospodyni wlewała do jego wnętrza wodę, rozpałała palenisko i po kilku minutach woda wrzała, a samowar wesoło pogwizdywał. Gdy para zaczynała się unosić, gospodyni stawiała na samowarze czaj-

niczek z esencją. Samowar królowała na stole. Stał dumnie pośród porcelany. Na stół podawano mleko, konfitury, cukier, owoce oraz bliny.

Z tradycją picia herbaty w Rosji wiązało się wiele zwyczajów. Gdy uczestnik spotkania wypił dostatecznie dużo, nie stawiał filiżanki na spodeczku, lecz kładł ją bokiem, dając sygnał gospodyni, że się nasycił. Ustawienie filiżanki do góry dnem oznaczało, że chcielibyśmy jeszcze się napić. Gdy herbata była zbyt gorąca, można było przelewać ją na spodeczek i z niego pić. Taki sposób był mało elegancki i na tego typu swawolę można było sobie pozwolić jedynie w gronie najbliższych. W ciekawy sposób herbatę słodzono. Nikt nie wsypywał cukru łyżeczką do filiżanki, gdyż nie miał on wówczas postaci ziarnistej. Występował w bryłkach. Brało się bryłkę między zęby i zasysało herbatę.

Warto podkreślić, że herbata początkowo była towarem niezwykle drogim i tylko zamożni mogli sobie pozwolić na gościnę przy filiżance. Znajduje to odzwierciedlenie w sztuce. Na obrazach rosyjskich malarzy widać, że to głównie kupiectwo delektowało się aromatem cudownej chińskiej rośliny.

Dzisiejsze samowary elektryczne pozbawione są magii, w ich sercu nie żarzy się już ogień. Często pełnią już tylko funkcję dekoracyjną i mało kto pije herbatę z samowara. Wielkim Szlakiem Herbacianym nie podążają już karawany, a w sklepach dostępne są wszystkie gatunki herbaty. Każdy znajdzie coś dla siebie. ■

Tak, ale



Agnieszka Wolny-Hamkała

Szkoda, że nie pisze się już plotkarskich felietonów, sprawozdań z kłótni, towarzyskich omówień premier. Nie drży się, że M. nie klaskał, nie ekscytuje, że M.P.M. pił ukradkiem, w ciemnym rogu knajpy, wino z P. – i co to oznacza dla historii literatury. Że J.G. wstał i wyszedł „na oczach”. Że J. położyła rękę na cudzym kolanie. Że Z. się radykalizuje w stronę oświeconego marksizmu i chce rewolucji, jeździ na seminaria do Poznania, by tam zdradykalizować się ostatecznie.

Takie felietony potrafił pisać Iwaszkiewicz, a ostatnim bandytą tej Ziemi był Janusz Głowacki, który nikogo nie oszczędzał, a wszystko mu wybaczano. Ale co to były za czasy! Celebrytami byli Jeremi Przybora i Agnieszka Osiecka. Bez żadnej przenośni, po prostu ich piosenki nadawało radio. Nie tęsknią Państwo za złotymi myślami Himilbacha przemycanymi w okolicznościowych tekstach

tekst kuratorski, jego prace „ukazywały nastroje, pełniły funkcje komentarza do życia społecznego czy krytycznie widzianej polskości”. Kuratorka zaznacza, że artysta był w stosunku do swoich prac pobłażliwy, że robił je naprędce, z tego, co miał pod ręką (adhokizm), rozdawał znajomym. Liczył się moment przepływu, czyli witalność, nazwijmy to „życiem” – pomysł i szybki szkic. Finalny obiekt miał znaczenie drugorzędne. Może dlatego jest w tej wystawie smutek, coś sentymentalnego (Susan Sontag uważała, że każde zdjęcie jest patetyczne i że wybieranie obiektu do zdjęcia jest działaniem nobilitującym obiekt). Ale przecież to także zwykła tęsknota: moment, w którym zdjęcie było robione, stawał się kumulacją życia, ekscysem, świętem, teraz jest chłodnym powidokiem, zredukowanym do płaskiego wydruku. Nigdy nie rozumiałam ludzi, którzy z przyjemnością oglądają pamiątkowe fotografie.

Życie towarzyskie, badania terenowe z początku XXI wieku

wziętych felietonistów? Metanarracje wydają się zbędne, kiedy wszystko jest na Facebooku – gremialne upokorzenia, spektakularne kompromitacje – wystarczy kliknąć, nie trzeba nawet wkładać butów. Może siedzi ktoś w jakimś mieszkaniu albo w redakcji, w zielonym polarze, z kubkiem z napisem: *Live is the battle*, i robi z tego print screeny, które kiedyś opracuje jakiś socjolog i wyda w niszowym wydawnictwie jako „badania latającego pola literackiego”. Ale na razie zostaje z tego niewiele – trochę śmiechu i strachu, więcej niesmaku, najczęściej zwykłe wzruszenie ramion. Tymczasem głośnie filmowe dystopie – *sequel* „Blade Runnera”, ale także olśniewająca krótka seria HBO „Rok za rokiem” – przepowiadają powrót papieru jako najtrwalszego nośnika informacji (prześmieszna scena, kiedy filmowane przez fotoreportera studentki przyszłości trzymają w rękach wydruki i zastanawiają się, „co z tym robić”). Wciąż jeszcze ważny jest papier, ciągle śledzimy, odkopujemy to stare, zapomniane, nikomu niepotrzebne literackie życie – z dzienników, środowiskowych powieści, dokumentów epoki.

Jak mało zostaje z życia towarzyskiego środowisk artystycznych, uświadamia wystawa prac Wiesława Dymnego w krakowskim MOCAK-u. Nagość artysty, która w latach 70. i 80. miała znaczenie emancypacyjne, wydaje się dziś niegroźna. Niczego już nie manifestuje, może jest ekspresją jakiejś osobistej nadwyżki energii, bólu. Z wybranych rysunków i zdjęć można odczytać słynną charyzmę artysty. Ale ta skromna wystawa pokazuje właśnie losy działań – nazwijmy je performatywnymi – sytuujących się na styku teatru i życia (literackiego, towarzyskiego). Zostaje po nich dokumentacja, do której historycy i kuratorzy dobudowują kontekst, korzystając ze swoich narzędzi. W przypadku Dymnego to wrażenie jest szczególnie dotkliwe – jak głosi

Ale zróbmy to, bądźmy staroświeccy, zabawmy się w „niewinnych czarodziejów” ten ostatni raz, żeby spisać w kilku impresjach przygody Festiwalu Conrada, który odbył się właśnie w Krakowie. Żeby przypiąć do korkowej tablicy dwie śliczne, lekko pijane blogerki, które niechcący ukradły bransoletkę, a potem wypaliły wielkiego dzoin-ta w podwórku, co im tylko pomogło w nonszalanckim omawianiu gorących nowości wydawniczych. Żeby do tej tablicy przypiąć też elegancką, skupioną Ingę Iwasiów, która starała się nie przegapić żadnej dyskusji w Pałacu Czeczotka. Żeby zaraz obok wpiąć tam Krzysztofa Środę, patrzącego surowo i jednocześnie pogodnie (coś jakby zmęczona pogoda ducha, coś jakby lichy wesoło machało spod ziemi). A do tego ten początek dyskusji, kiedy K.Ś. już, już chciał dać wykład o naturze podmiotu, ale tylko bokiem się ustawił, zaznaczył swój mały bunt w kwestii nomenklatury i natychmiast się zresocjalizował. Żeby zrobić miejsce i dla Łukasza Musiała, bo przygotował do druku „Prozy utajone” Franza Kafki – rzecz przed ingerencją Maksa Broda – wydanie, powiedzmy, punkowe, trochę bardziej na golasa, trochę bardziej z gołą głową i boso. Chociaż jest to oczywiście kolejny jakoś jednak „przetworzony” Kafka – z incipitami, solennie wymyśloną kolejnością tekstów, w wyborze Musiała. Który o tej swojej pracy ujmująco, ciekawie opowiadał. Żeby przypiąć na tablicy korkowej i samego dyrektora programowego Grzegorza Jankowicza, który pojawiał się za każdym rogiem, o każdej porze, zmultiplikowany drastycznie & mistycznie. Tak powinien się zachowywać każdy porządny dyrektor festiwalu, ot co! Żeby przypiąć na chwilę wszystkie wojujące rewolucjonistki, radykalizujące się księgarki, które woła seminaria zamiast wymyślenia w garażach świetnie rokujących start-upów (świat należy do was, dziewczyny!). To zostanie.



Plemię Shanenawa





W zachodniej Brazylii, w stanie Acre, nieopodal granicy z Peru, żyje rdzenne plemię Indian amazońskich. Jego członkowie, a jest ich zaledwie 720, posługują się urzędowym językiem portugalskim oraz – głównie ludzie starsi i dzieci – własnym dialektem. Wielką wartością jest dla nich przyroda i troskę o nią wyrażają m.in. w rytuałach.

Od kwietnia do września Indianie Shanenawy oddają cześć naturze oraz swoim duchom leśnym. Głównym obiektem kultu jest Jusin Tsaka, a świętym dla nich miejscem – drzewo Sumauma w puszczy.

Wraz z szamanem rytuały prowadzi Tekahayna, wódz plemienia. Najpierw palone są wspólnie lokalne zioła o właściwościach odurzających,

po czym członkowie społeczności oddają się tradycyjnym tańcom, do których może przystąpić każdy pod warunkiem kultywowania wiedzy na temat plemiennej tradycji.

Na uroczystości członkowie społeczności wykonują tradycyjne makijaże *annato* i *genipap* oraz zakładają stroje wykonane z pasków kory drzew.



Z założenia nienaprawialne

Zamaskowane postarzenie produktów



Tara Button

Pewnego sierpniowego dnia w 2016 r. zaprosiłam mojego przyjaciela Toma Lawtona, żeby zerknął na kilka tosterów. Tom jest dość osobliwą kombinacją inżyniera, wynalazcy i prezentera telewizyjnego, a ja postawiłam przed nim zadanie polegające na porównaniu tosterów od sześciu różnych producentów. Przy okazji miał się zastanowić, jak wykonanie wspomnianych sprzętów mogło wpłynąć na ich trwałość.

Zostaliśmy wytrenowani, aby spodziewać się marnej jakości.

„Szukamy najłabszego ogniwa – stwierdził Tom. – O jakości produktu świadczy jego największa wada”.

Przyjrzelśmy się tosterom, żeby zyskać ogólny pogląd na to, jakich wyborów muszą dokonywać inżynierowie. Interesowały nas materiały, z jakich je wyprodukowano, to, jak zostały złożone, i obszary, na których narażono na szwank trwałość. Najbardziej uderzyło nas jednak to, jak trudno było dostać się do środka. Niektóre z tych sprzętów zostały

nawet skręcone za pomocą specjalnych śrub zabezpieczających, z gwintem w kształcie gwiazdki. W końcu jedna z nich puściła i naszym oczom ukazał się wyszczerbiony metalowy brzeg, o który Tom skaleczył sobie rękę. Nasze toasty z całą pewnością nie zostały zaprojektowane tak, aby umożliwić rozłożenie ich na części pierwsze.

Niektórzy producenci tak właśnie chronią swoje interesy. Gdyby ktoś sam postanowił naprawić sprzęt i coś poszłoby nie tak, mogłoby to oznaczać katastrofę wizerunkową

dla marki. Rozumiesz więc, z czego wynika taka postawa. Jednocześnie wprowadzanie do sprzedaży produktów zaprojektowanych tak, aby nie dało się ich naprawić (nawet takim wprawnym inżynierem jak Tom), sprawia, że czujemy się bezsilni, kiedy nasze rzeczy się psują. Kiedy więc puszcza ich najłabsze ogniwo, ogłasza się ich „zgon” i wysyła je na wieczny odpoczynek na wielkie wysypisko (na dno morza czy nawet do slumsów).

Prawdopodobnie najczęściej dotyczy to smartfonów. Ich najłabszymi ogniwami są baterie. Producenci dobrze o tym wiedzą, a mimo to niektórzy uniemożliwiają użytkownikom wymianę baterii albo dokładają starań, aby było to nieoptyczne. Dlatego kiedy wysiada ta część, cały telefon nadaje się do kosza. Pojawiały się nawet głosy sprzeciwu wobec takich praktyk, ale ostatecznie tylko rozłożyliśmy ręce i pogodziliśmy się z sytuacją. A może daliśmy się zwieść, bo zwyczajnie chcieliśmy mieć wymówkę do kupna najnowszego modelu...

Tak czy inaczej, producenci uniemożliwiający nam wymianę baterii ograniczają żywotność telefonu do żywotności tego jednego komponentu. Wyobraź sobie, że zużywają się opony w twoim samochodzie, a producent mówi ci, że teraz musisz kupić nowe auto. Właśnie tak postępuje obecnie większość firm.

Telefony nie są jedynymi produktami, które ostatnio znalazły się pod ostrzałem. W 2015 r. „Which?”, wiodące brytyjskie czasopismo dla konsumentów, opublikowało wyniki badania dotyczącego pralek. Dowiodło ono, że ich konstrukcja z czasem

uległa zmianie, „i to wcale nie na lepsze”. Obecnie robi się je z bębna i łożysk uszczelnionych w środku. Oznacza to, że jeśli wspomniane łożyska zepsują się (jest to jedna z pięciu najczęstszych przyczyn awarii), trzeba wymienić cały bęben, który kosztuje ok. 200 funtów. Poza okresem objętym gwarancją zapewne dowiemy się, że nie opłaca się naprawiać zepsutej pralki i lepiej kupić nową.

Kiedy zapytano producentów, dlaczego uszczelniają łożyska w bębnach, odpowiedzieli, że dzięki temu pralki są bardziej niezawodne. Jednak taka wymówka w świetle faktu, że producent najsolidniejszych pralek, Miele, nie uszczelnia łożysk, wydaje się równie podejrzana jak pióra na postaniu mojego kota. To jasne, że zrobiono komuś świństwo...

CO ROBIĆ?

Kiedy coś się zepsuje, zwykle straty emocjonalne i finansowe nie są poważne. Ale awaria istotnego produktu podnosi twój poziom stresu. Rodzinę o niskim dochodzie może nawet uwięzić w błędnym kole ubóstwa i zmusić do płacenia raz za razem za tandetny towar. (...) Na szczęście jako konsumenci mamy moc – jeśli tylko wiemy, jak z niej korzystać.

Kiedy budują to tak, żeby się zepsuło

• Wścieknij się i zażądaj więcej. Według raportu na temat trwałości produktów jesteśmy nieusatysfakcjonowani, jeśli drobny sprzęt zepsuje

firmy przyłapaną na stosowaniu taktyki „budować tak, żeby się zepsuło” może trafić do więzienia na dwa lata, nie wspominając, że grozi mu grzywna w wysokości nawet 300 tys. euro albo 5% przychodów firmy. Uważam, że podobna regulacja powinna

Francja dorobiła się już przepisu, który zapobiega planowanemu postarzaniu produktów.

na obowiązywać na całym świecie, i zamierzam walczyć, aby do tego doprowadzić.

Kiedy się psuje

• Powiadom nas o tym na BuyMeOnce. Chcemy stworzyć największą na świecie bazę danych na temat trwałości produktów.

• Poinformuj daną firmę o swoim niezadowoleniu i zamieść w sieci recenzję, dzięki której inni dowiedzą się, jak długo dany produkt działał na twój użytek.

• Wspieraj fachowców, którzy wciąż jeszcze potrafią naprawiać różne rzeczy. Potrzebujemy więcej takich ludzi.

• Podejmij próbę samodzielnej naprawy.

Kiedy robisz zakupy

• Szukaj produktów, które według niezależnych recenzentów są trwalsze od pozostałych i objęte najlepszymi gwarancjami.

• Zapytaj „złotą rączkę”, które modele poleca.

Wspieraj fachowców, którzy wciąż potrafią naprawiać różne rzeczy. Potrzebujemy więcej takich ludzi.

się przed upływem trzech lat, a zadowoleni, jeśli przetrwa blisko siedem lat i dziewięć miesięcy. Myślę, że powinniśmy mieć większe oczekiwania. Jeśli coś pełni prostą funkcję, np. podgrzewa wodę albo opieka chleb, nie widzę powodu, żeby nie miało służyć nam przez dekady. Niepokoi fakt, że zadowala nas znacznie mniej. Pokazuje bowiem, że zostaliśmy wytrenowani, aby spodziewać się marnej jakości.

• Zainteresuj się petycjami, które mają na celu zmianę prawa w twoim kraju. Francja dorobiła się już przepisu, który zapobiega planowanemu postarzaniu produktów, a dyrektor

wadzi do jej uzyskania. Pytaj o nią i rozmawiaj o niej w mediach społecznościowych. Naprzykrzaj się! To często najlepszy sposób, żeby coś zmienić.

• Podpisz deklarację BuyMeOnce, aby dać firmom do zrozumienia,

że będziesz je wspierać, jeśli tylko zagwarantują ci trwałe produkty. W ten sposób przekonasz je do zmiany polityki.

• Zapoznaj się z niezależnymi recenzjami, aby sprawdzić, czy jakość wykonania utrzymuje się na stałym poziomie. Znajdziesz je w „Which?”, „Consumer Reports”, w linku buyitforlife na Reddit, a także na stronach BuyMeOnce i Amazon (i na polskiej stronie Pro-test.pl). Sprawdzaj najnowsze recenzje, żeby przekonać się, czy nie pojawiły się oznaki pogarszania się jakości produktu. Dobra wiadomość jest taka, że zwykle ludzie głośno wyrażają niezadowolenie, kiedy produkty nie odpowiadają ich standardom.

• Wspieraj innowacyjne firmy, które chcą robić więcej. Jeśli widzisz lukę na rynku, albo spróbuj ją wypełnić, jeśli nie brakuje ci kreatywności, albo poinformuj o tym BuyMeOnce, a my podejmiemy wyzwanie.

• Wspieraj wytwórców i rzemieślników, którzy są naprawdę związani ze swoimi produktami. Platformy finansowania społecznego, takie jak Kickstarter, są pomocne, ponieważ umożliwiają inżynierom i wytwórcom dotarcie wprost do klienta, bez pośrednictwa detalistów i hurtowników. Dzięki nim inżynierowie, którzy chcą projektować solidniejsze produkty, mogą prezentować swoje pomysły całemu społeczeństwu, a nawet zdobywać fundusze, jeśli to, co proponują, spotka się z ciepłym przyjęciem.



Fragmenty książki
Tary Button *Masz wszystko, czego potrzebujesz. Jak zachować równowagę w świecie zakupów i konsumpcji*, przekład Natalia Wiśniewska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Noah Strycker

Kilka lat temu zaczęły pojawiać się doniesienia o człowieku z prowincji w Ekwadorze, który, co nieprawdopodobnie, odkrył sposób na zwabianie kusaczek, które należą do jednych z najbardziej tajemniczych i trudnych do zaobserwowania rodzin ptaków Nowego Świata. Systematycy wyróżniają ok. 50 gatunków kusaczek, których zasięg ogranicza się do Ameryki Południowej i Środkowej. Wszystkie z nich mają krągłą sylwetkę, długie nogi, krótki ogon, wyprostowaną postawę – wyglądają z profilu jak jajka na nogach – i prowadzą skryty tryb życia. Przez większość czasu kusaczki skaczą po ziemi wśród gęstej roślinności; tradycyjnym sposobem na zobaczenie któregoś z nich jest nasłuchiwanie jej głosu, a następnie podjęcie próby podkradnięcia się do niej. Ptasiarze w równym stopniu je uwielbiają, co się ich boją.

Największym przedstawicielem rodziny jest kusaczka wielka, enigmatyczny gatunek, który ma 28 cm wysokości i waży 280 gramów. Pomimo swoich rozmiarów kusaczka wielka jest beznadziejnie trudna do zaobserwowania. Żyje tylko w pierwotnych lasach mglistych z gęstym podszytem i znana jest z kilku rozproszonych stanowisk w Ekwadorze i Kolumbii. Nie wiadomo, jak duża jest jej populacja (według najlepszych szacunków jest to kilka tysięcy osobników), jak przebiega jej biologia lęgowa i czym dokładnie się żywi. To spektakularny ptak dla tych, którzy mają dość szczęścia, aby ją zobaczyć: pomarańczowościana i delikatnymi czarnymi prążkami, niebieskawą czapeczką, długimi nogami i dużymi, wodnistymi, atramentowoczarnymi oczami.

Człowiekiem, który pierwszy zaprzyjaźnił się z kusaczką wielką, jest Ángel Paz – dosłownie „Anioł Pokoju” – a historia jego życia jest równie niezwykła jak jego nazwisko. Wcześniej, jakieś 10 lat temu, ten szczególnie „Anioł” pracował jako drwal w północno-zachodnim Ekwadorze. Jego ojciec kupił piękny kawałek lasu mglistego na zboczu Andów, a Ángel przeprowadził się tam, by rozpocząć wycinkę drzew.

– Im szybciej ścinasz drzewa, tym więcej zarabiasz – powiedział mi z du-

Człowiek, który zaprzyjaźnił się z kusaczką

Każdego ranka Ángel Paz idzie do lasu z puszką robaków, zwija dłonie w trąbkę, przykładając ją do ust i wita ptaka, który odmienił jego świat

mą. – Kiedyś byłem jednym z najszybszych drwali w tym regionie.

Na terenie jego leśnej posiadłości znajduje się tokowisko, zwane areną, słynnego i łatwo zauważalnego ptaka, skalikurka andyjskiego – neonowopomarańczowego z czarnymi skrzydłami i puszystym czubkiem. Każdego ranka ptaki zbierają się na arenie, aby samice mogły oglądać skomplikowane rytuały godowe i wspaniałe upierzenie samców. Ok. 10 lat temu ktoś poradził Ángelowi, by ten pobierał od turystów opłaty za oglądanie ptaków. Wytyczył ścieżkę do tego miejsca i rzeczywiście ludzie płacili za oglądanie niezwykle spektaklu. Ángel postanowił zostawić drzewa w spokoju w tej części lasu.

Pewnego dnia, gdy Ángel szedł swoim szlakiem z grupą obserwatorów ptaków, z podszytu wyskoczyło pulchne stworzenie i zwróciło swoje ciemne oczy na odwiedzających, którzy natychmiast stracili dla niego głowy.

– To kusaczka wielka! – wykrzyknęła jedna z nich.

Gdy wszyscy ochłonęli, powiedział Ángelowi:

– Zapomnij o skalikurkach. Jeśli potrafisz pokazać tego ptaka ptasiarzom, zapłacą podwójnie.

Ángel widywał tego ptaka już wcześniej, ale nie zaprzątał sobie nim zbytnio głowy. W rzeczywistości ten ptak czasami podążał za nim, gdy wycinał drzewa, najwidoczniej zwabiony pojawianiem się zaniepokojonych larw owadów, i nie był szczególnie płochliwy, choć zwykle trzymał się gęstej roślinności. Ángel nazwał go Marią, pieszczotliwym określeniem wielu rodzajów małych ptaków w Ameryce Łacińskiej. Zaczął

metodycznie śledzić Marię, starając się poznać jej zwyczaje.

Poczęstował ptaka pokarmem, nie będąc pewnym, co ten chciałby jeść. Zaczął od kawałków spaghetti i mięsa, ale Maria nie miała upodobania do ludzkich przysmaków. Starał się więc skombinować robaki, i oto patrzcie – ptak je pożerał. Codziennie rano Ángel przynosił świeże robaki w to samo miejsce, żeby Maria przyzwyczaiła się do prezentów, i w końcu wyszkolił ją, tak że przychodziła na zawołanie.

W tamtym czasie większość ptasiarzy pokpiwałaby sobie z pomysłu karmienia z ręki dzięki kusaczki wielkiej. W książkach podkreślano skryty i nieufny charakter gatunku (słusznie) i niewielu ludzi wyobrażało sobie, że można przyzwyczaić go do dokarmiania. Ángel nie czytał książek o ptakach; był drwalem, który dostrzegł okazję, by zarobić dodatkowo trochę pieniędzy. Być może patrząc wstecz, pomysł karmienia kusaczki nie był tak bezsensowny, ponieważ kusaczki są znane ze śledzenia dużych ssaków w lesie, najwyraźniej po to, by zbierać wypłoszone przez nie owady.

Kiedy rozniósł się wieść o możliwości zobaczenia kusaczki wielkiej, zaczęli się pojawiać zdumieni ptasiarze, chcąc przekonać się o tym na własne oczy. Sława Marii szybko się rozeszła. Wydawało się to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe: gatunek, który tradycyjnie uważano za niemal mityczny, nagle stał się rzeczywisty i możliwy do zobaczenia – nawet gwarantowany – w odległości kilku godzin jazdy samochodem od Quito.

Wkrótce tak wielu ludzi odwiedzało Ángela, że rzucił pracę przy wyrębie drzew, założył kilka upraw jeżyn

i spędzał czas, zadając się z ptakami i ptasiarzami. Odkrył, że łatwiej będzie mu utrzymać się, pozostawiając las nietknięty, niż wycinając go; tak długo, dopóki ptaki będą trzymały się w pobliżu, będzie miał stały dochód z opłat za wstęp. Stopniowo zdobywał wiedzę o innych gatunkach na terenie swojej posiadłości i stał się ekspertem w pokazywaniu ich odwiedzającym. Wywiesił karmniki z owocami i pojniki dla kolibrów, zbudował nowe ścieżki i każdego ranka szedł na spotkanie z Marią, by karmić ją robakami.

Na posesję Ángela przyjechałem razem z innym ekwadorskim ptasiarzem, Edisonem Buenano, cztery dni po wyjeździe od Manuela z Yanacocha. Do Edisona dołączyłem po krótkiej wycieczce na wschód Ekwadoru, w czasie której przemokłem do suchej nitki. Kiedy zaparkowaliśmy przed domem Ángela w lesie mglistym, rozkoszowałem się oczekiwaniem na to, co miało z pewnością być wyjątkowym porankiem.

Wyskoczyliśmy z Edisonem z samochodu, a Ángel wyszedł na podjazd, żeby nas powitać. Był ubrany w pastelowe zielone z maskującą kamizelką puchową założoną na koszulę khaki, czapeczkę bejsbolową koloru *army green* i miał lornetkę na szyi. Uśmiechnął się ciepło.

– *Bienvenidos a Refugio Paz de las Aves!* (Witamy w ostoji Paz de las Aves) – powiedział.

Bez dłuższej pogawędki ruszyliśmy w trzech prosto do lasu. Angel zabrał nas najpierw do miejsca, w którym wszystko się zaczęło – na tokowisko skalikurków andyjskich. Widziałem już te ptaki, ale nie mogłem przepuścić okazji, by obejrzeć ich toki z bliska. Zaraz po świcie poszliśmy cicho ścieżką Ángela do miejsca, w którym samce skalikurków przybierały różne pozy, podskakiwały, dygały i wyginały się, prezentując fascynującą kombinację kolorów, ruchu i dźwięku. Podczas gdy ich chrząkanie i skrzeczenie wypełniały powietrze, ja zachwycam się tym, jak te ptaki powracają przez wiele lat dokładnie na to samo drzewo. Skalikurki są poligamiczne; olśniewające samce rywalizują o uwagę pojawiających się samic, a te po odbyciu kopulacji odlatują, aby zbudować

gniazdo i samotnie odchowić pisklęta. Ptaki wykorzystują tokowiska przez pokolenia, o ile pozostają one w stanie nienaruszonym. Po kilku minutach zdałem sobie sprawę, że zostałem sam na sam z ptakami – Edison i Ángel się wymknęli. Całkowicie znieruchomiały pozostałem w miejscu, by obserwować skalikurki w pełnej krasie. Jeden z samców przysiadł przede mną, kłapał dziobem, zatrząsał skrzydłami, wygiął grzbiet, skłonił się nisko, zaskrzeczał, skinął głową, wykonał kilka manewrów przypominających pompki, i zapiał mi w twarz. Nawet w podszycie tego gęstego lasu, w stłumionym



Ángel był prawdziwym księciem lasu, komunikującym się z najbardziej płochliwymi zwierzętami.

światło świtu, jego luminescencyjne pomarańczowe pióra jarzyły się jak puszysta, zniekształcona żarówka, a on wydawał z siebie stukający głos, sygnalizując początek każdego popisu. Schlebiał mi to, ale po kilku sekundach zauważyłem, że ten ptak ma większe nadzieje: w gęszczu liści siedziała niepozornie bordowo ubarwiona samica, obserwując uważnie, jak rozwija się akcja. Nieopodal tańczyły dwa inne samce, najwyraźniej starając się przelicytować nawzajem swoje ruchy. Jeśli samicy spodoba się to, co widzi, ląduje obok samca i dziobie go w szyję, a potem od razu dochodzi do kopulacji, ale ta jedna

nie wydawała się być pod wrażeniem któregośkolwiek z nich. Chwilę później odleciała.

Wtedy właśnie usłyszałem inny dźwięk.

– Pst! Noah – tutaj! – odezwał się szeptem Edison.

Odwrociłem się i zobaczyłem, jak daje mi znak z gęstwiny listowia w małym, zarośniętym wąwozie.

– Chodź, ale po cichu! – przywoływał mnie.

Zszedłem w dół na palcach, pozostawiając skalikurki. Kiedy się zbliżałem, uważając, by nie poślizgnąć na błocie i prześiękniętej wilgocią roślinności, zobaczyłem Ángela stojącego za Edisonem, przypatrującego się czemuś na ziemi.

– To nie jest kusaczka – powiedział Edison – ale spójrz na to! Ángel karmi rodzinę przepiórów ciemnogrzbitych!

Rzeczywiście, kilka przysadzistych ptaków wielkości grejpfruta dziobało ziemię, prawie u stop Ángela, częściowo przesłoniętych wilgotnymi liśćmi. Rzucił coś w ich kierunku, a jeden z nich natychmiast to połknął.

– Kawałek banana – powiedział Edison. – Te przepióry nie lubią robaków.

Ángel podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– *Sí?* – zapytał.

– *Sí, sí, sí!* – odpowiedziałem, nie wierząc w moje szczęście.

Przepióry są równie irytujące ostrożne jak kusaczki i w ogóle nie spodziewałem się zobaczyć tutaj któregośkolwiek z nich. Najwyraźniej Ángel rozszerzył swoją działalność w zakresie karmienia ptaków z ręki. Zdołałem miłą premię do listy Wielkiego Roku.

– Okej – powiedział Edison, tłumacząc dla Ángela, który nie mówił po angielsku. – Ruszajmy dalej – musimy zobaczyć Marię. To była tylko rozgrzewka.

Wracaliśmy tą samą drogą, żeby pójść inną trasą, tym razem wijącą się ostro pod górę. Ścieżkę pokrywały wilgotne liście, ale Ángel utrzymywał ją w dobrym stanie, wyrównując jej powierzchnię względem nachylenia stoku i formując schody na najbardziej stromych odcinkach. Przedzielaliśmy się przez gęste, wilgotne zarośla w zaciemnionym podszycie, do którego przenikało niewiele światła. ►

► Las ociekał mgłą i parą, jedynymi stylszalnymi dźwiękami były stłumione odgłosy odległych ptaków.

Chodzenie po mglistym lesie uspokaja, prawie tak jak wędrówka w scenarii świeżo spadłego śniegu. Liście pochłaniają dźwięk, otulają człowieka swoim uściskiem i tłumią rozmowę. Gdy zbliżyliśmy się do stanowiska kusaczki, nikt się nie odzywał; uderzyło mnie to, jak wyjątkowo cicho było w tym miejscu – wyjątek w tej ciszy stanowił mój własny oddech.

Spokój został zburzony przez Ángela, który zatrzymał nas za kolejnym ostrym zakrętem, otoczonym ze wszystkich stron splątanymi zaroślami. Bez uprzedzenia zwinął dłoń w trąbkę i przyłożył je do ust, wziął głęboki oddech i krzyknął na całe gardło: „*MARIA! MARIA! VENGA VENGA!*”.

Przestraszyłem się tak bardzo, że ta chwila prawie straciła dla mnie na znaczeniu. Kilka sekund później korpulentny ptak wyskoczył spokojnie na otwartą przestrzeń, stanął na ścieżce kilka metrów przed nami i przechylił wyczekująco głowę.

– *Hola, Maria!* – powiedział Ángel, wyglądając na zadowolonego.

– Słynna kusaczka wielka! – powiedział Edison, jak komentator sportowy.

– O kurczę – powiedziałem.

Ángel otworzył pojemnik, który nosił w kieszeni, sięgnął do środka, chwycił dwoma palcami soczystą dżdżownicę i wprawdzie rzucił ją pod nogi ptaka. Maria popatrzyła na nas przez chwilę dużymi, czarnymi oczami, po czym pochyliła się, dziobnęła robaka i połknęła go w całości.

Ángel rzucił jeszcze kilka robaków, a Maria zjadła je wszystkie co do jednego. Ptak był tak blisko, że mogłem dostrzec pazury u jego nóg, małe haczyki na końcu dzioba i pomarańczowe pióra szczeciniaste u jego nasady. Wydawał się nieulekniorny, może trochę zaciekawiony, chociaż miałem trudności z odczytaniem jakiegokolwiek wyrazu w jego tajemniczych oczach. Kto wie, co ten ptak myślał o nas? Trudno było powiedzieć, lecz kiedy robaki się skończyły, przedstawienie najwyraźniej się skończyło. Maria rzuciła na nas okiem po raz ostatni, wskoczyła z powrotem w roślinność i zniknęła.

– Wow! – powiedziałem. – To było niesamowite!

W dwie minuty pstryknąłem dziesiątki zdjęć Marii pozującej na ścieżce, w ujęciu „w trzech-czwartych” z jedną nogą na wpół zgiętą, jak modelka prezentująca się pod najlepszym kątem. To było moje najbliższe spotkanie z jakąkolwiek kusaczką, a ta była najrzadsza. Wydawało się raczej nie *fair*, by liczyć ją jako tylko jeden gatunek na liście rocznej (numer 1607).

– *Gracias, Ángel* – rzekłem, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Och, jeszcze nie skończyliśmy – powiedział Edison i porozumiewawczo skinął głową.

Po tym skończeniu niezwykłego *tête-a-tête* z ptasią celebrytką, szliśmy dalej szlakiem, gdzie w krótkim czasie Ángel pokazał nam pięć kolejnych gatunków kusaczek: kusaczkę rudogłową, kusaczkę żółtopiersną, drobika płowego, kusaczkę wąsatą i kusaczkę

Maria popatrzyła na nas przez chwilę dużymi, czarnymi oczami, po czym pochyliła się, dziobnęła robaka i połknęła go w całości.

północną. Pierwsze trzy wyskoczyły szybko po robaki, tak jak Maria. Kusaczka wąsata była zbyt płochliwa, by się zbliżyć – wciąż w trakcie tresury – a kusaczka północna, najwyraźniej zjadłszy już śniadanie, wołała siedzieć na gałęzi i śpiewać dla nas.

To było tak, jakbym zawitał do nieba, znalazłszy się nagle w niezwykłym lesie z chmur, z „Aniołem”, który przywoływał rzadkie, barwne ptaki z krzaków z lewej i prawej strony. Może było to bliższe bajce niż mistycznemu doświadczeniu, pomyślałem sobie, gdy wracaliśmy tą samą drogą, by zjeść obfite późne śniadanie przygotowane przez żonę Ángela. Ángel był prawdziwym księciem lasu, komunikującym się z najbardziej płochliwymi spośród zamieszkujących go zwierząt. Moje wrażenie spotęgowało się, gdy Ángel zwyczajnie pokazał nam po drodze odpoczywającego lelkowca lirosternego, parę odpoczywających lelkowców andyjskich, mrówkowoda rdzawopierśnego i andobławatnika oliwkowego.

Ángel nadaje imiona niektórym ze swoich ulubionych ptaków: oprócz Marii jest też kusaczka rudogłowa Andrea, kusaczka żółtopiersna Esmeral-

da i drobik płowy Shakira – małeńkie stworzenie, które w specyficzny sposób podryguje, potrząsając piersią z boku na bok.

Również Ángelowi wszystko to musi wydawać się bajką. Pewnego razu drwał wyruszył, by wyciąć swój las, ale teraz jest bogatszy, niż mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić, właśnie dlatego że pozostawił drzewa w spokoju. Każdego roku w jego posiadłości gości ponad 2 tys. ptasiarzy, mających nadzieję zobaczyć kusaczki, i każdy z nich uiszcza opłatę za wstęp. Kiedy Edison i ja składaliśmy wizytę, Ángel dopiero co skończył budowę pięknego nowego domu, z dodatkowymi pokojami dla ptasiarzy na piętrze, zdobionego rzeźbami kusaczki, otoczonego bujnymi nasadzeniami kwiatów. Z balkonu można zobaczyć większą część jego posiadłości: kilka

pól jeżyn otoczonych jednolicie zielonym sklepieniem lasu mglistego, rozciągającego się aż po horyzont. Zastanawiałem się, dlaczego ktoś miałby pragnąć czegoś więcej, w tym miejscu pełnym życia i ciepła. To fantastyczna, prawdziwa historia, to jeden z najlepszych przykładów skuteczności ochrony przyrody w małej skali, jaki kiedykolwiek widziałem. Także pomysł dokarmiania ptaków robakami również się rozprzestrzenił; w ostatnich latach inni zaczęli promować atrakcje związane z kusaczkami w Kolumbii, Peru i innych częściach Ameryki Południowej, przyciągając jeszcze więcej dolarów z ekoturystyki na lokalną ochronę siedlisk.

Ángel nie potrzebuje reklamy. Jest tak zajęty, że aby zapewnić sobie miejsce na codziennej wycieczce, konieczne jest dokonanie rezerwacji z wyprzedzeniem. Kiedy Ángel odkrył swoje powołanie, znalazł pracę swojego życia. Każdego ranka, nawet jeśli nikt się nie zjawi – co obecnie zdarza się rzadko – Ángel Paz idzie do lasu z puszką robaków, zwija dłoń w trąbkę, przykładając ją do ust i wita ptaka, który odmienił jego świat.

– *Maria! Maria! Venga venga venga!*

Fragmenty książki
Noaha Stryckera
Ptaki nie znają granic,
przekład Michał Radziszewski,
Muza SA, Warszawa 2019



Czekając na nowe rozdanie

Jakby to powiedzieć... Niby nowy rząd wciąż jest układany, nic jeszcze nie jest zakończone, ale Jacek Czaputowicz traktowany jest już w MSZ jak powietrze, jak człowiek, którego nie ma. Wprawdzie nigdy za dużo go nie było, inni za niego karty rozdawali, ale tytularnym ministrem był. A teraz... Ech, trudno byłoby znaleźć w MSZ osobę, która by zakładała, że w nowym rozdaniu Czaputowicz utrzyma stanowisko.

Czyli kto będzie nowym ministrem?

Najpierw wszyscy mówili, że Krzysztof Szczerski, szef gabinetu prezydenta. I że w ten sposób zakończy się wielka męczarnia Andrzeja Dudy, który od miesięcy chce gdzieś upchnąć Szczerskiego i nie może.

Przypomnijmy. Najpierw Szczerski miał być zastępcą sekretarza generalnego NATO Jensa Stoltenberga. Ale przegrał z Rumunem Mirceą Geoană. Zresztą z dobrym CV, bo to były przewodniczący rumuńskiego Senatu, były szef MSZ i były ambasador w USA. Tak oto namacalnie mogliśmy się przekonać o wyższości dyplomacji rumuńskiej nad pisowską.

Potem Szczerski miał być komisarzem w UE. Tę kandydaturę proponował Ursuli von der Leyen sam premier Mateusz Morawiecki i pół PiS zachwycało się umiejętnościami kandydata. Ale po rozmowach w Brukseli prezydencki minister oświadczył, że swoją kandydaturę wycofuje i rekomenduje Janusza Wojciechowskiego.

Już te przygody powinny włączyć każdemu w głowie dzwonek alarmowy, że Szczerski to taki facet, który na różnych stanowiskach już był podobno na 100%, a potem okazywało się, że nie jest.

I żeby tradycji stało się zadość, w zeszłym tygodniu oświadczył, że nie wybiera się do MSZ, że jest umówiony z prezydentem i premierem na inny scenariusz. Mój Boże... Rzeczpospolita zamiera w niepewności – jakież to tym razem scenariusz Opatrzność przewidziała dla męża stanu z Krakowa.

A MSZ? Powiedzmy sobie szczerze, w dzisiejszym systemie władzy pozycja ministra jest tu ważna, ale nie przesadzajmy z tym, bo ważniejsze jest, jakie wpływy mają tam główne ośrodki. I jakich ludzi tam wysłały.

Wiadomo, że dziś w MSZ najważniejszy jest dyrektor generalny Andrzej Papier, czyli ekspozytura Mariusza Kamińskiego. Główny kadrowy i tropiciel śladów Polski Ludowej i geremkowszczyzny. To co? Gdy będzie nowy rząd, zostanie on w centrali, czy wyśle go gdzieś do Kazachstanu? A czy zostanie Szymon Szynkowski vel Sęk, człowiek Zbigniewa Ziobry? A co z Marcinem Przydaczem, wiceministrem, lat 34, który przyszedł z Kancelarii Prezydenta? To prawda, wygląda jak dzieciak, na dyplomacji nie zna się zupełnie, łatwo sobie z niego dworować. Ale czy zostanie w MSZ, czy nie?

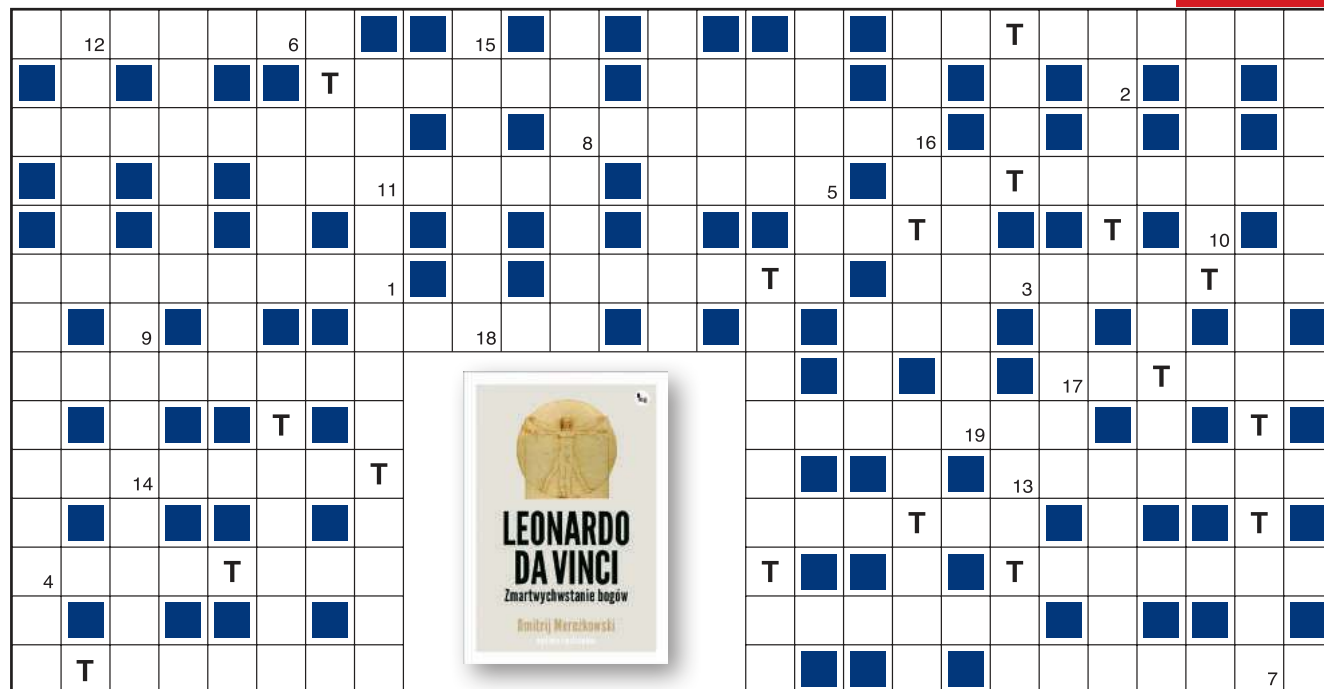
A poza tym pytanie najważniejsze: kogo do MSZ skieruje Mateusz Morawiecki, jeśli już ma być premierem? I na jakie stanowisko?

To są sprawy w MSZ najważniejsze. Prezydent, premier, Agencja Wywiadu... PiS jest tu wielopostaciowe i – jak mogliśmy się przekonać w mijającej kadencji – mocno skłócone. Tu toczy się prawdziwe życie, w tych sieciach. Ono dotyczy karier setek osób. I nie jest eksperymentem.

Attaché



Solidarni z kurdyjską Rożawą. Demonstracja przed Pałacem Prezydenckim. 28 października 2019 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- potoczna nazwa gramofonu
- polityczna, zawodowa lub słoneczna
- i Baba, i Babki
- imię Bazakbala z Witkacowskiego „Pożegnania jesieni”
- aktor Marlon
- służył do młocki
- słoła, plucha
- ostry dodatek do mięs
- wibracja
- i kornik, i Isaac Elsevier
- ubrana z klasą
- czubek jego nosa dybie
- w wielorybie
- w nim rozchodzą się fale radiowe
- pręgowane – gatunek z rodziny wołowatych
- w stroju adamowym
- słów lub hazardowa
- ubóstwiany przez fanów

- wynik działania z dzielną
- polski szkolno-treningowy samolot odrzutowy
- kąpielisko w gminie Jastarnia
- najczęściej biała papuga z czubem
- stopień Dolasa z powieści Sławińskiego
- dramat Różewicza z Bohaterem i Wujkiem
- porozumienie po wzajemnych ustępstwach
- Kondracka w Tatrach Zachodnich
- zawiera zasady doktrynalne islamu
- miasto z Górą Chełmską
- bezwład, stan pozornej śmierci
- mały fiata 126p (ale dusza wielka)
- zabił go Tezeusz
- jest nim Paweł Fajdek
- roślina z obrazów Moneta
- z trójzębem w mitologii rzymskiej
- cienki makaron do rosółu
- janusowe... to dwulicowość
- nie przeszedł kontroli jakości
- spacja albo interlinia
- zajęta doglądaniem planowanej imprezy
- imię śpiewaczki Rivoli
- sznury na nogach, rękach
- prywatna – bywa ogrodzona

- ...elektryczek w wierszu Tuwima
- posunięcie w grach planszowych
- stawia wszystko na jedną kartę
- i kielbasa, i ser
- cukrem albo ksylitolem
- używana do wyrobu świec
- w komplecie ze zmiotką
- z Trynidadem w archipelagu Małych Antyli
- promieniotwórczy izotop wodoru
- lekkomyślna i roztrzępana
- średniowieczne zawody rycerskie
- rzekomy sprawca powstawania kręgów w zbożu
- co to nie on!
- „...starszej pani” Dürrenmatta

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-933”. Do rozlosowania książki „Leonardo da Vinci. Zmartwychwstanie bogów” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ. XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 listopada 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-930” z 20 października: *Uśmiech jest jak słońce*. Nagrody otrzymują: Izabela Konieczna z Rumi, Andrzej Smoleń z Tarnowa, Adam Wnęk z Olsztyna.

PENETRACJE

FORUM za DER SPIEGEL

**EDWARD SNOWDEN,
AMERYKAŃSKI
SYGNALISTA**

Utrzymuję celowo pewien dystans do Rosjan. Żyję własnym życiem w angielskojęzycznej społeczności. Jestem prezesem pozarządowej fundacji Freedom of the Press. A poza tym jestem domatorem, *indoor cat* (kot, który nie wychodzi na zewnątrz). Dla mnie nie gra większej roli, czy jestem w Moskwie, Berlinie czy w Nowym Jorku, jeśli tylko mam ekran komputera, w który mogę się wpatrywać. Spotykam się z przyjaciółmi na mieście. Umawiam się na kolację. Chodzę z Lindsay na spacer do parku, jeżdżę metrem czy taksówką. Krytykuję władze rosyjskie za łamanie praw człowieka, brak wolnych i sprawiedliwych wyborów. Ale nie robię sobie żadnych *selfie* na tle Kremla, bo amerykański rząd wykorzystałby to, aby mnie dyskredytować.

URODA

**KRZYSZTOF ŚRODA,
FILOZOF, PISARZ**

Poprzednią książkę napisałem w znacznej mierze na podstawie rozmów z dwoma Czeczenami. Jednego z nich poznałem na dworcu, gdzie nocował. Poprosił mnie o papierosa. Po dwóch dniach zaprosiłem go do siebie. Czasem ryzykuję. Wpuścić do domu Czeczena, przenocować

wać faceta, który przeżył straszną wojnę i strzelał do ludzi? Znałem go kilka dni, ale wiedziałem, że jest w porządku. Jednak kiedy pierwszy raz zostałem z nim sam w domu, na antresolę, na której śpię, zabrałem nóż. Wiele miesięcy później powiedziałem: „Pamiętasz, jak spałeś u mnie pierwszy raz? Miałem nóż pod poduszką”. On się roześmiał i powiedział: „Ja też”. Nie wierzył, że normalny człowiek może go tak po prostu wpuścić do mieszkania. Też się czegoś bał. Spotkanie dwóch ludzi z dobrymi intencjami zaczyna się od tego, że każdy z nich śpi z nożem pod poduszką.

STYL

**ROBERT GONERA,
AKTOR**

Kiedy było ze mną źle, poprosiłem o pomoc... moją agentkę. Znalazła mi terapeutkę, dzięki której w kilka tygodni uporałem się z piciem. Szukałem w alkoholu ucieczki przed kłopotami. Taki „męski” sposób ogarniania świata, prawda? Dziś już tak nie myślę, alkohol to dla mnie wyraz bezsilności. Ten epizod nauczył mnie, że w mężczyźnie tyle jest *macho*, ile kompleksów. A lekarstwo na męskie kompleksy jest jedno: trzeba niedowartościowanego faceta przytulić i powiedzieć mu: „Jesteś wspólniaki, mądry, wszystko ci się uda”.

Aby język giętki...

OLGA LIPIŃSKA O JANUSZU GAJOSIE

Może zagrać wszystko. Jest niezwykle uczciwy zawodowo. Widzi i czuje wszystko, ma zupełnie nieprawdopodobną wrażliwość.

ANDRZEJ SZEWIŃSKI O MAMIE IRENI

Nie była surowa, ale bardzo wymagająca. Obowiązki musiały być wykonywane jak na treningu. A ten był dla mamy świętością.

JACEK DEHNEL O 1989 r.

Polacy w 1989 r. wcale nie chcieli wilczego kapitalizmu. Umawiali się na socjalizm z ludzką twarzą.

PROF. RADOŚLAW MARKOWSKI O ANDRZEJU DUDZIE

Stał się narzędziem w ręku jednej partii, która jest w ręku jednego człowieka.

URSZULA DUDZIAK O JERZYM KOSIŃSKIM

Nikt inny nie znał go tak jak ja. Byliśmy jak bratnie dusze. Mówił mi wiele pięknych rzeczy, w które z czasem uwierzyłam.

DANIEL PASSENT O ADAMIE GLAPIŃSKIM

Wysokie i reprezentacyjne asystentki prezesa NBP miały pensje proporcjonalne do długości nóg modelek na wybiegach Nowego Jorku i Paryża.

TOMASZ KOT O KŁAMSTWACH

Jest mnóstwo rzeczy, które kiedyś powiedziałem, i tego się wstydzę.

JAKUB MAŁECKI O PISANIU

Przez pierwsze cztery lata ani razu nie wstałem później niż o godz. 6.30. Przez połowę dnia tłumaczyłem książki, a przez połowę pisałem swoje.

KATARZYNA BONDA O WZROKU

W trzy sekundy skanuję nowo poznanego człowieka i staram się dostrzec, kim jest naprawdę i jaką tajemnicę w sobie nosi.

BORYS SZYC O MACIEJU ENGLERCIE

Mój kochany dyrektor teatru ciągle wpada w przydługie monologi.

WERONIKA ROSATI O MARZENIACH

Chciałam mieć kogoś, kto jest najlepszym przyjacielem, pasjonującym człowiekiem, czułym kochankiem.



Medytacja u zbiegu Gangesu, Yamuny i mitycznej Saraswati.

FOT. AFP/EAST NEWS

Bazgroły przeciwko wypadkom

Naukowcy z Wrocławia, Krakowa i Białowieży przeprowadzili pierwsze na świecie kompleksowe badania kolizji ptaków ze szklanymi wiatami przystanków komunikacji. Wyniki są jednoznaczne: przystanki, których szyby są pokryte graffiti, kurzem lub błotem, jako lepiej widoczne, powodują znacznie mniej ptasich wypadków. – Nie namawiamy do aktów wandalizmu. Nasze badania jednak jasno pokazują, że z punktu widzenia ochrony ptaków warto zmienić sposób budowy wiat przystankowych, np. angażując różne grupy społeczne do działań artystycznych lub rezygnując z całkowicie przezroczystych materiałów – skomentowała jedna z autorek badania, dr Ewa Żysk-Gorczyńska z Instytutu Ochrony Przyrody PAN.

Sztafeta mokrej roboty

Chiński biznesmen Tan Youhui zlecił zabójstwo konkurenta. Wynajęty likwidator wykombinował, że przekazać zadanie tańszemu specjalście, dzięki czemu zarobi mniej, ale bez ryzyka. Podwykonawca wpadł na idetyczny pomysł, tak samo jak jego podwykonawca, a następnie czwarty w łańcuszku płatnych zabójców. Dopiero piąty z kolei fachowiec osobiście zajął się zleceniem, jednak zaoferowana mu kwota była już tak niska, że zamiast ryzykować zaproponował skazanemu prywatnym wyrokiem wspólne sfingowanie jego śmierci. Mężczyzna się zgodził, ale i tak zawiadomił policję. Zleceniodawca spędzi za kratami pięć lat, pierwszy niedoszły zabójca trzy lata i sześć miesięcy, drugi i trzeci trzy lata i trzy miesiące, czwarty trzy lata, a ostatni – dwa lata i siedem miesięcy.



Co osiem głów to nie jedna

Tamanna Nusrat, deputowana do Zgromadzenia Narodowego Bangladeszu, została przyłapana na próbie uzyskania licencji z pomocą sobowtórek. Jak odkryła stacja telewizyjna Nagorik TV, polityczka wynajęła co najmniej osiem podobnych do siebie kobiet, które napisały za nią przynajmniej 13 testów na Otwartym Uniwersytecie Bangladeszu. Po ujawnieniu afery rektor uczelni, której władze według dziennikarzy miały wiedzieć o oszustwie, zapowiedział, że deputowana już nigdy nie wróci na studia. Nie byłibyśmy tacy pewni: zawsze przecież może zacząć chodzić na wykłady, podszywając się pod którąś ze zmienniczek!

Jak to dobrze, że są muzea

Wizyta w muzeum Camera Obscura & World of Illusions w Edynburgu uratowała życie 41-letniej Bal Gill z angielskiego Slough. Na obrazie z kamery termowizyjnej zainstalowanej w jednym z pomieszczeń zauważyła ona plamę ciepła na lewej piersi. Skłoniło ją to do wizyty u lekarza, dzięki której zdiagnozowano u niej wczesną postać nowotworu. Kobieta przeszła już dwie operacje, a dzięki trzeciej ma uniknąć chemio- i radioterapii. Strach myśleć, co by było, gdyby zamiast muzeum wybrała wizytę w wesołym miasteczku...

MEMY BEZ ŚCIEMY





Na szczudłach
przez kontynenty.
Zdjęcia finali-
stów konkursu
fotografii ulicznej
URBAN 2019
PHOTO AWARD



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodysktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Instagram z ludzką twarzą

Pod wpływem krytyki firma Spark AR usuwa stworzone przez siebie filtry do zdjęć zamieszczanych w najpopularniejszym fotograficznym serwisie społecznościowym, imitujące efekty operacji plastycznych. Decyzja jest związana z głosami, że takie narzędzia jak Beautiful Face (Piękna twarz) czy Fix Me (Napraw mnie) mogą zaburzać samoocenę użytkowników i skłaniać ich do wizyt w gabinetach chirurgii estetycznej. To kolejny krok mający chronić zdrowie psychiczne instagramowiczek oraz instagramowiczów – wcześniej serwis wprowadził nowe zasady dotyczące promowania produktów odchudzających.

Znowu w życiu im nie wyszło

Na komendę policji w Zwoleniu (woj. mazowieckie) przyjechał mężczyzna poszukujący porady prawnej. Na jego nieszczęście policjanci zorientowali się, że jest nietrzeźwy, a w dalszej kolejności – że obowiązuje go dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów. Bezmyślną fantazją wykazał się także delikwent, który w angielskim hrabstwie West Midlands zjechał autem na egzamin na prawo jazdy. Po jego oblanu, notabene po raz dziesiąty, został aresztowany pod zarzutem kradzieży pojazdu. Coś nam mówi, że z testami na inteligencję obaj panowie też mieliby problem.



Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





W paryskim Luwrze otwarto jedną z największych wystaw arcydzieł Leonarda da Vinci, jaka kiedykolwiek została zorganizowana. „Ekspozycja stulecia” – tak zapowiadały ją francuskie media. Zwiedzający mogą zobaczyć ponad 160 dzieł pochodzących m.in. z Francji, Włoch, Watykanu, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Rosji. Ekspert przypuszcza, że wystawa zorganizowana z okazji 500. rocznicy śmierci włoskiego geniusza może przyciągnąć nawet 2 mln zwiedzających, co będzie paryskim rekordem wszech czasów.

Wystawa potrwa do końca lutego 2020 r.

Leonardo da Vinci

ekspozycja stulecia



La Belle Ferronnière



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Leda z łabędziem

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Ach, jakże godnie żyli

**Beler, Czachor, Ilczuk, Jarmicki,
Kaczmarek, Kaniecki, Kłak, Liber,
Stolarska, Wawrzyniak, Więcek**
premiera 23.11.2019
kolejne pokazy: 24, 26.11.2019
i 22, 23, 24, 25.01.2020

Ach, jakże godnie żyli to podróż przez historię Teatru Ósmego Dnia, legendy poznańskiej alternatywy teatralnej. Grupa stała się symbolem teatru kontrkulturowego, reprezentującego silną postawę ideową oraz – pomimo wielu represji – aktywnie negującego i podważającego społeczno-polityczny porządek PRL-u.

Spektakl realizowany w ramach IV edycji Festiwalu Sztuki i Społeczności Miasto Szczęśliwe.



Festiwal
Miasto
Szczęśliwe



na_prawa
Warszawa

ARTYSTY
MŁODZI

WYBORCZA

wyborcza.pl
WARSZAWA

cojestgrane24

AKTYWIST



TEATR CAPITOL

Wystrzałowy

Sylwester

Przywitaj Nowy Rok w capitalnym stylu!



PREMIERA
WRZESIEŃ 2019



WYKRYWACZ
KŁAMSTW

TEATR CAPITOL • Duża Scena

START 17:00

W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:00

- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 160 zł

TEATR CAPITOL • Scena Mniejsza

START 18:00

W wydłużonej przerwie spektaklu
poczęstunek i kieliszek wina!

START 21:30

- życzenia noworoczne od Aktorów
- po spektaklu impreza sylwestrowa do białego rana!
- muzyka na żywo oraz DJ
- wyśmienite menu i toast o północy
- open bar do godziny 4:00

Bilety od 130 zł

Akt
równoległy

PREMIERA
LISTOPAD 2019

SKOK
W BOK

Multikino®

Multikino Ursynów ALKomisji Edukacji Narodowej 60

START 20:30

- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

Multikino®

Multikino Ursynów ALKomisji Edukacji Narodowej 60

START 21:00

- życzenia noworoczne od Aktorów
- w cenie biletu wino musujące i słodki upominek od Szefa Kuchni!

Bilety od 250 zł

• KUP



• Bilety już od 130 zł! • www.teatrcapitol.pl •

